

Z Elwoodem do Afganistanu

Lipiec 2008

Przygotowania

W zasadzie powinienem dzisiaj wjeżdżać do Kirgistanu, ale pomyłka szefa lokalnego serwisu Toyoty kosztowała mnie przełożenie terminu wyjazdu o tydzień, nadwyrężyła odporność mojego systemu krążenia i nerwowego, a przy okazji również pani z sekcji wizowej ambasady Kazachstanu w Warszawie.

Na dwa tygodnie przed wyjazdem wspomogłem kolegę z bliźniaczej jednostki, buszującego po Kirgistanie właśnie, wysyłając mu po szybkiej telefonicznej konsultacji serwo wspomaganie hamulców. Oczywiście zdemontowałem je z mojego auta po sprawdzeniu dostępności nowego w ASO Toyota. Demontaż, ekspresowe nadanie paczki UPS-em, dostawa do przedstawiciela spedytora w Biszkeku, gwarantowana w 4 dni.

Ja tymczasem zamawiam oryginał w Toyocie i spokojnie czekam. Serwo przychodzi na czas. Super, z Panem Edmundem znamy się już parę ładnych lat, widząc jak podjeżdżam jest już przy samochodzie z paczką i f-rą. Wie, że mi bardzo zależy, a mi się bardzo spieszy. Nawet nie sprawdzam zawartości, Pan Edmund wrzuca karton na tylne siedzenie, życzy powodzenia w wyprawie, żegnamy się i śmigam na drugi koniec Trójmiasta do warsztatu. Wpadam tam jak burza, biorę karton do ręki, ale on coś taki mały się wydaje. Gorączkowo go rozpakowujemy i jest serwo ale... wspomaganie sprzęgła! Mamy czwartek, piątek to nasze narodowe święto, potem weekend, wiele nie zdziałam. Dzwonię do pana Edmunda, a on biedak, już czuł pismo nosem! Przyjmując zamówienie telefonicznie na podstawie VIN-u auta potwierdził nr części ale otworzył katalog sprzęgła w EPC... No cóż, nigdy nie miałem zastrzeżeń do obsługi mojej osoby przez pana Edmunda, przy zwrocie serwa to ja musiałem go pocieszać. Ok, trzeba działać, "kiszkę pompować, koło zmieniać". Sprawdzamy dostępność właściwego serwa i tu kolejny cios na klatę... wycofane z produkcji! Jest zestaw naprawczy w Belgii więc osiągalny w trzy dni, nie licząc... święta i weekendu. Super, tyle, że ja nie mam nawet co naprawiać, bo moje serwo gdzieś tam w Azji Centralnej hula. Jeszcze raz się żegnamy.

Serwo serwem, ale drugi nie mniej poważny problem to ważność wize kazachskiej. Dzwonie do Warszawy, do kumpla z braci wyprawowej i proszę o szybki anons w ambasadzie, muszę koniecznie przesunąć dla bezpieczeństwa w wizie termin widełek (wjazd, wyjazd) o 5 dni. Bohdan mimo, że też już na walizach przed wyprawą w Himalaje i

ma kupę swoich spraw na głowie, wsiada w auto i jedzie do ambasady, a ja w międzyczasie wysyłam mu nowy wniosek wizowy... pociągiem. W moim imieniu przyjął dzielnie na klatę co miał przyjąć od pani z sekcji wizowej, przy okazji po raz kolejny pochował mi babcię i co tam jeszcze nakładł, to już z nerwów nie pamiętam ale co miał załatwić... załatwił!

Szukam teraz używki, tyle, że to tak, jakbym szukał dubletu biustu Pamelii. Gdzieś tam ktoś nosi ale gdzie? Tych Toyot w Polsce ze 25 szt. Jest. ale kto pójdzie na taki numer i mi serwo wymontuje?!

A jednak, zgadałem się na forum z Anatolem, jeżeli umówiony kupiec nie zdecyduje się na jego HJ-tkę do niedzieli, w poniedziałek wysyła mi swoje serwo!

Powoli dociera do mnie, że... nie jadę. Zostałem w domu sam, syn świeżo upieczony student UG poleciał do Anglii, żona nauczycielka na wieś, zbierać siły przed zbliżającym się rokiem szkolnym.

Dopada mnie ogromne zmęczenie, auto od dwóch tygodni stoi na warsztacie, bo bez serwa ani rusz, wpadam w niebyt. Ponieważ jadę sam o każdy detal muszę zadbać osobiście, poza przetopieniem słoniny i boczku na smalec ze skwarkami co z powodzeniem mogłem zlecić babci.

Dzwonię nerwowo w niedzielę wieczorem do Anatola, kupiec się nie zgłosił, hurra!

We wtorek kurier dowozi serwo na warsztat ale okazuje się, o czym nie poinformował mnie Anatol, że to zmotka, czyli składak. Problem w tym, że poza rozstawem śrub nie wchodzi na swoje miejsce z powodu innego rozmiaru i zmusiło by to do przebudowy dodatkowej instalacji 12V, mocowania dodatkowego akumulatora, które zostało spasowane na "gazetę", a nie było możliwości przełożenia go gdzie indziej. Poza tym kumple z warsztatu nie decydują się na montaż i z tego powodu, że nie dają gwarancji, że serwo to wytrzyma na pamińskich wybiegach. Nie ma, że to, że tamto, nie biorą odpowiedzialności i ręki do tego nie przyłożą. Idę się przejść, nie mogę odmówić im racji, to jeden z głównych elementów bezpieczeństwa.

Dzwonię do Traska, jego zakład to trójmiejska czołówka w obsłudze szeroko pojętego off-roadu. W zeszłym roku mi sporo pomógł, jest też uznanym dostawcą części może on coś wymyśli.

- akurat jadę do Niemiec, zobaczę co da się zrobić, krótka i rzeczowa odwiedź.

Pomijam już to, że przy okazji poruszyłem niebo i ziemię aby zdobyć info, czy coś się da dopasować. Sprawdzamy po rozstawie śrub, odzywają się w międzyczasie koledzy, którzy poza pasją do podróży, żyją z handlu. Cynk daje Mazur, który okazał się niedoszłym kupcem HJ-ta Anatola!

- dzwoń do Arka, on ma na swoim „szrocie” sporo używek do innych terenowych Toyot, może coś dopasujesz.

W międzyczasie odzywa się sam Arek☺ Ma kilka używek, mam wsiadać w auto i przyjeżdżać, wypożyczy mi bez problemu i jeszcze da na zapas, o ile będzie pasić oczywista.

No to już coś! Z kolei Michał z mego warsztatu dzwoni i podaje telefon do gościa z allegro, który wystawił serwo z pompa hamulcową od HDJ 80 i ze zdjęcia wygląda strasznie podobnie. Dzwonię więc do Słupska (mamy wtorek wieczór) i pytam kolegę o rozstaw śrub. Michał, choć nigdy tego nie robi (to jeden z tych co nie zabiera roboty do domu) podjeżdża do warsztatu i rozstaw jest ten sam! Na oko wygląda, że pozostałe wymiary też zgodne, ale to można sprawdzić już tylko montując serwo. To mimo wszystko najszybsza opcja ale w „zapasie” mam Arka.

Dzwonię jeszcze raz do Słupska i umawiamy się na wysyłkę pociągiem po uprzedniej wpłacie bezpośrednio na konto umówionej kwoty 175zł, jak nie będzie pasowało najwyżej sprzedam lub подарuję jakiemuś kumpłowi i tyle, na paliwo tam i z powrotem do Słupska wydám nie wiele mniej jak bym chciał organoleptycznie porównać oba.

Następnego dnia potwierdzamy transakcję, serwo ląduje w pociągu,, powinienem je odebrać około 13-tej, więc chłopaki zdążą jeszcze przymierzyć i ewentualnie zamontować. Czekam na pociąg na dworcu w Oliwie (ekspres z Kołobrzegu do Warszawy), ale ten zdążył na odcinku 100km złapać ponad godzinę opóźnienia! Do warsztatu docieram na koniec dnia. Porównujemy, to jest to!! W tym momencie dzwoni Trasek.

- Darek, mam Serwo, ale będę dopiero w piątek, brać?

Nie ma potrzeby, dziękuje serdecznie za pamięć. Podchodzi Bodziu i mówi, niestety... uginają się pode mną nogi. Nie pasuje!... muszę dorobić 5cm przewodu... ☺. No w takiej chwili tak sobie żartować!

Nie mogę jednak odebrać auta, bo trzeba jeszcze sprawdzić w terenie i poskładać do kupy jak należy.

Gdańsk 2008-08-25

Start

Załatwianie ostatnich formalności zajęło mi cały weekend i dzień dzisiejszy. Pakowanie się samemu to zupełnie inna bajka. Tym nie mniej pora ruszać! Hurra, hurra, hurra!!! Na.... no dobra, będę grzeczny.

Pierwszy raz jadę z zabudową w środku, to bardzo popularne rozwiązanie, więc i ja skorzystałem. Pomysł podsunął mi mój serdeczny kolega, prezes firmy SANTRAST, a ostateczny kształt dopracował szef jego stolarni. Prezes Mirek nazwał tę skrzynię trumną, ale od „oryginału” różni się zdecydowanie, ponieważ ma trzy komory, a każda jest otwierana oddzielnie, to raczej sarkofag, nie?

Pomieściłem tam prawie wszystko. Między łóżkiem a siedzeniem pasażera z powodzeniem zmieściłem komplet kluczy płasko-oczkowych, oczkowych odgiętych oraz komplet kluczy nasadowych 1/2, 1/4 cala 108 elementów z grzechotkami 1/2 , 1/4 cala, firmy VARIANT. Z tego zestawu jestem szczególnie zadowolony, te pierwsze są w materiałowej sakwie i przegrodach z tego samego trwałego materiału. Poręczna skrzynka załatwia resztę.

Obok spokojnie mogłem umieścić oleje, przekładniowy i silnikowy Petrocanady w trzech pojemnikach 5,3 galona (podoba mi się taka miara), to znaczy po 20l (ale zabieram łącznie 45l olejów) oraz pozostały szpej.

Niestety nie pojedzie ze mną Rumun, na testach w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym w sobotę złamałem ramię☹ Ta kolarzówka ma prawie 30 lat i ubłagałem żonę, aby nie wylądowała na śmietniku, szkoda weterana, zajmę się nim jak wrócę.

Czy jestem przygotowany do wyprawy? Myślę, że tak ale podchodzę do niej na luzie. Na moim osiedlu spotkałem się z mnóstwem objawów sympatii w momencie gdy okleiłem auto i można na dwóch mapach prześledzić trasę wyprawy.

Dzisiaj spotkałem Hanię Włodarczak-Klimek, była trenerką kadry pływackiej. Właśnie mocowałem kanistry na bagażniku, gdy przechodziła i pyta się, na jaką to wycieczkę się wybieram.

- poczytaj Haniu...
- Kurcze, ale fajna sprawa, nie boisz się??

To pytanie towarzyszy mi od momentu kiedy zdecydowałem się wjechać w Korytarz Wachański po afgańskiej stronie i podzieliłem się tym newsem.

Czy ja wiem..., gdybym się bał, to bym nie pojechał, ale skoro miał się tam ukrywać Osama Bin Laden, to znaczy, że musi tam być bardzo... bezpiecznie☺. Najpierw

wjechać..., a potem będziemy się martwić. Mogę tylko dodać, że z taką uprzejmością, z jaką spotkałem się w ambasadzie Republiki Islamskiej Afganistanu, to jeszcze w żadnej nie miałem takiej przyjemności. Kiedy pani z sekretariatu obiecała, że oddzwoni i poinformuje, kiedy mogę odebrać wizę, to faktycznie oddzwoniła. Kolega, który w moim imieniu odbierał paszport po informacji mailem z mojej strony, przy okazji załatwił sobie wizę od ręki. A byłem już zupełnie zaskoczony, kiedy usłyszałem głos w słuchawce:

– proszę pana, pan kolega Lichmir (Bohdan Lichmira), co ma pan z wizą, nie odbiera telefonu, czy mógłby pan zadzwonić do niego, że może pan wizę odebrać?

Wymieniłem się sms-ami z Oberżyswiatem z chińskiego Variantu wyprawy, chłopaki odkręcają licznik, pora więc mój włączyć. Jeżeli mamy się spotkać na trasie, to pozostaje mi skorzystać z betonowej autostrady Astana-Ałmaty. W każdym razie w niedzielę muszę wjechać do Kirgistanu. Mam więc na pokonanie 5 500km pełne sześć dób, to pierwszy cel wyprawy...

Rozglądam się jeszcze po pokoju, czy czegoś nie zapomniałem, najważniejsze są, bądź co bądź dokumenty. Przebiegam oczami po mapach, po literaturze. Mam przed sobą wspaniały reportaż Wojciecha Jagielskiego o Afganistanie „Modlitwa o deszcz”, przeczytam w drodze raz jeszcze.

Za oknem już zmrok zapadł, za chwilę siądziemy z żoną „na minutku”, i starym rosyjskim zwyczajem pożegnamy się przed podróżą. Pora ruszać...



Dzień drugi - 2008-08-26

Łysy świeci, ja jadę... jest cudnie. Pierwsze kilometry to stan euforyczny, czemu nagle wszystko wylądowało w dupie? Już się o nic nie martwię, niczego już nie cofnę. Gdzieś przed Suwałkami rzucam się pierwszy raz na moją trumnę. A rankiem? Pierwsza wtopka, nie zabrałem garnków! Sagan, znaczy się kazan jest ale jakiś czajnik i patelnia przydałyby się. W Kaufcośtam w Suwałkach wybór w rozsądnych cenach żaden, kiedy już zdecydowałem, że całe gotowanie spada na kazana w oczy rzucił mi się osiedlowy sklepik i wszystko za 5zyl. Tam zanabyłem czajnik i patelnię:)

Dalsza jazda bez historii, Litwa, Łotwa, nudy Panie, krajobrazy mazurskie. Za to zbliżając się do granicy rosną emocje, granicę zamierzam przekroczyć centralnie na Moskwę czyli z Rezekne na wschód ale jeżeli korek będzie znaczny, odbije na Petersburg. Jak zarzeka się jeden kolega, nie ma tam praktycznie korków na osobowym przejściu. Nie tym razem jednak, kiedy licznik pokazuje 931km staje w kolejce... drugi:)

Po godzinie i 5 minutach wjeżdżam do Imperium, humor mi dopisuje i mimo, że godzina późna to o 22.50 już tankuje za ruble. Ech gdzie te ceny z zeszłego roku! Prawie 27 wariatów za litr, to ponad dolara... he he, można ponarzekać, jak nie ma na co☺

Staje gdzieś tam w szczerym polu w sąsiedztwie stacji paliw, mija pierwsza doba w putieszestwie. Stuknęło 1093km.

Dzień trzeci - 2008-08-27

Pobudka 8.20 temp 13 st, dodaję godzinę i ruszam na Moskwę. Zatrzymuje się przy jakim barze i dostaje wrzątek, nie mam czasu gotować. Zaparzam termos kawy i w pieriod. Przed stolicą ruch na M9 z każdym km się wzmacnia, podobnie z ilością dacz, powciskanych w las, jak wysyp kurek w mchu.

Na obwodnicy moskiewskiej (A107) wypatruję pilnie ścieżki wydeptanej przez cara, jest! Śmigam nią w te pędy i znaczę teren. Notuję to z kronikarskim obowiązkiem, ponieważ to pierwsza kupa na obcej ziemi i to w sercu imperium.

Obwodnica całkiem całkiem, tylko te przejazdy kolejowe i szlabany w... ziemi. Pociągi latają tam i z powrotem, a ja stoję i tak prawie 1,5h. W końcu zjazd na M5. Pod Riazaniem wybiłem Kozaków w pień i porwałem kilka dziewczek, celem zbycia w jasyr na bazarze w Szymkecie.

Na 2220-tym kilometrze, o 3 nad ranem jestem po raz pierwszy zatrzymany do kontroli. To posterunek DPC, taka pozostałość po komunie. Posterunki te ustawione są przy rogatkach większych miast i krzyżówek głównych arterii. Obecnie zajmują się głównie kontrolą gruzawików ale...

- Skąd i dokąd jedziesz?
- Z Polski do Tadżykistanu.
- A po co?

Te ostatnie pytanie to standard. Właściwie nie potrafię odpowiedzieć po co, może kuszą mnie te proste czynności, które na wyprawie wykonuję?... ot kilka podstawowych spraw, bez tej oprawy i bieżącego blichtru. Taka ucieczka od naszej codzienności w inną, strasznie przyziemną ale o to idzie. Na wyprawie powoli wyłączam się, do tego jadąc sam odpowiadam praktycznie tylko za siebie i przed sobą. Podoba mi się to!

- Daj piwo!
- Sam bym się napił! Odpowiadam.

To jeszcze jeden plus jazdy samemu, grupa jest znacznie bardziej atrakcyjna do "wyłudzeń". Ale ponieważ jest to pierwsza kontrola po tylu km, sięgam do kufra i wyciągam koszulkę z logo wyprawy i z tej okazji mu ją wręczam.

- Naprawdę piwa nie masz?!
- A no nie mam, ale daj mi kapiatok do termosu!

Po chwili przynosi mi pełen termos i żegnamy się. No dobra, dojechałem do Penzy, pora szukać miejsca na postój. Ruszam na obwodnicę w lewo, mała górka, nieopacznie rozpędzam się, widzę znak ograniczenia prędkości do 40km i za chwilę obywatela z lizakiem... no kurna, nie cały kilometr i już druga kontrola! A obiecałem sobie być powściągliwym i na całej wyprawie nie zapłacić żadnego mandatu. Staralem się jak mogłem, do czasu jednak.

Jesteśmy w Tatarstanie, a ci Tatarzy hardzi. Zawsze wszystkich łupili, nawet jak służyli carowi, to jego poddanych też...łupili. Będzie ciężko...

Wybiega mi taki mały kurdupel, no nie więcej niż 160cm, jak on trafił do służby?! Z małymi kurdupelami to wiecie sami jak jest, dobrze, że tylko jeden:) Widząc obce auto cały szczęśliwy, ja mniej. Kiedy podszedł do drzwi i ładnie zasalutował (a tylko czapka a`la rondel sięgała szyby) zacząłem się gramolić z maszyny.

- Co wam jest?
- Pamiątka z wojny!
- Z jakiej wojny?!
- Wielkiej, ojczyźnianej! Jak Giermance odchodzili to kupę niewybuchów w ziemi zostawili i taki jeden po 30 latach od zakończenia "naszej" wojny, padło na mnie, jak w szkole średniej sadziliśmy las w czynie społecznym. Wbijam szpadel, a tu jak nie jeb... rozumiesz tawariszcz... stąd sztywna noga!
- Aaa diabli nadali faszystów!
- A nadali, nadali. Całe szczęście, ze wspólnie ich spod Lenino przegoniliśmy.
- Mój ojciec i dziadek w wojnie pogibli.
- Taki nasz los! Odpowiadam.

Kurdupel tylko coś wspomniał o 65km/h ale tak dla przyzwoitości, żebym wiedział.

- Szczęśliwej puti!

No i... pożegnalim się☺.

Jest dobrze, ale nie ma co więcej wyzywać losu, lukam na zegar w aucie, cholera, muszę dodać znowu godzinę. Wychodzi że 2.50 nad ranem. Staję zaraz za miastem, licznik pokazał 2240km.



Via Baltica



Litwo...



Pierwszy nocleg, nie kimam na stojankach, tylko tam gdzie mnie zmorzy. A zmorzyło tutaj, w połowie M9 do Moskwy



Zaczyna się konkretnie ale nie lecę na Czelanibńsk, za Penzą kierunek Samara



Przejazd kolejowy na obwodnicy moskiweskiej A107, nie wiem czy widać ale nie ma szlabanu tylko w asfalcie podnosi się taka zaporą czy coś



Tuż za Penzą drugi nocleg na trasie. Czas pędzi jak szalony.

Dzień czwarty - 2008-08-28

Pobudka o 10.30, temp 15 st, ...ale upewniam się, co do strefy czasowej i muszę jeszcze przesunąć wskazówki. Wynik? 11.30! Ale zabradziażyłem! Parę słów o zabudowie, czyli mojej trumnie. Spisuje się znakomicie, dodatkowe oparcie, o złożony fotel pasażera znaczy, że mam do dyspozycji 205 cm dechy do spania. Zrezygnowałem z gąbki na rzecz dwóch lekkich składanych karimat i nie narzekam aczkolwiek wstaje z bólem głowy. No, na pewno nie jestem wyspany, ale cieszy licznik przebytych km, bardzo dobrze rokuje to na Kazachstan i jeżeli nic nie wyskoczy po drodze, to mam spokojnie trzy doby na dotarcie do Kirgistanu.

Zaczynam od kawy, na razie spożywam wszystko w drodze, powoli się kończą kanapki zrobione przez żonę, ale dociągnę tak do bazaru w Uralsku i tam uzupełnię zapasy i po raz pierwszy się sztachnę orientem.

Cel na dzisiaj:

- dotrzeć do Samary i nadać to info, co też czynię,
- zameldować się na granicy rosyjsko-kazachskiej.

Można powiedzieć, że się udało. Sporo remontów na odcinku Penza – Samara, stąd chwilami wlokę się niemiłosiernie. Wołga rozlewa się niesamowicie, pogoda trochę nijaka, ale ciągnie mnie na biwak gdzieś w szuwarach, zależy mi jednak na czasie a trzeba by było trochę pojeździć po okolicy by znaleźć dogodne miejsce. Studiuję jeszcze ruski atlas drogowy przez chwilę, ale nie mam, pomysł więc odpuszczam. W zeszłym roku zatrzymałem się gdzieś po drodze, przy ciągu barów, teraz mijałem je w nocy. Fajny klimat i żarełko lokalne, tyle, że ceny europejskie, więc i z tego powodu odpuszczam.

Mam teraz 21.00 a do granicy niespełna 150km. Cieszy również to, że ceny diesla spadają, w końcu widziałem po drodze parę płonących szybów. Pierwsze tankowanie za 27 wariatów, drugie za 23.50 a trzecie za 21.50. Pojawiło się paliwo już za 17 rubli co mnie w pełni satysfakcjonuje.

Samara to smutne miasto, nie mam ochoty go zwiedzać, tylko ta Wołga! Ogromnie się rozlewa po okolicy. Same miasto, do nie dawna zamknięte nie jest ciekawe. Patrząc na mieszkańców i myślę, że dla nich wyjazd do drugiego miasta to tak jak dla nas do nich np:) Widać po drodze inwestycje, imperium dużo buduje. Stawia na drogi, dlatego dzisiaj tak mało km w sumie do tej pory, sporo remontów, objazdów i spory ruch. Kilka gruzawików w rowach, potężnych Tirów także, jedna czołówka Łady Nivy z jakimś dostawczym chińczykiem... to świeży meldunek z przebytej trasy.



Tatarskie domki, jakich wiele po drodze



Przy drodze zawsze sprzedaje się to co akurat dominuje w regionie lub w czym lokalesi się specjalizują

Dzień piąty i szósty - 2008-08-29/30

To był bardzo długi dzień, jeszcze wczoraj wieczorem, dwa razy przyszło mi opuszczać Samarę! Nadając Wam relację było już po 22-ej miejscowego czasu, a ja chciałem jeszcze koniecznie wymienić dolary na parę rubli, aby spokojnie się przeturłać do granicy.

Okazuje się, że w tym ponadmilionowym mieście nie ma żadnego kantoru, nawet w wielogwiazdkowych hotelach. Zatrzymuję się w końcu przy milicyjnej maszynie pytam chłopaków, jak wymienić o tej porze kasę?

- No tylko na Placu Kirowa u waluciarzy!
- Ładnie, he he.
- A gdzie ten Plac Kirowa?
- Na drugim końcu miasta.

Cholera, przebijać się teraz przez całe miasto, kiedy już jestem na wylocie? Dobra rezygnuję i jadę na granicę. Do Uralska mi na pewno paliwa wystarczy. Po drodze zjeżdżam jeszcze na stację paliw i podchodzi do mnie młody właściciel nowiutkiego LC V8. Żywo dopytuje się, co i jak, nie może się nadziwić, że jadę sam. Zaprasza mnie do siebie na daczę, która nomen omen leży po drodze. Nie tym razem jednak, z żalem rezygnuję, bo takie spontany zawsze najlepiej wychodzą, ale czeka mnie jeszcze długa droga przez Kazachstan, a trzeba być w formie. Na pewno na pogaduszkach by się nie skończyło. Dostaje też informację, że po drodze nie mam szans waluty wymienić. Chłopak rusza z piskiem opon, używając klaksonu na pożegnanie. Tankuje 50l i postanawiam... się jednak przespać. Tylko gdzie? Wracam, więc na roгатki gdzie post gaicznikow, nawet nie muszą mnie zatrzymywać, tutaj najbezpieczniej. Ucinam sobie miłą pogawędkę, przy okazji pytam o wymianę waluty. Dostaję również namiar na Plac Kirowa.

Nagle przychodzi mi do głowy pomysł:

- Rebiata, a może któryś z Was kupi od mnie 50\$?

Zaczęli dumać i w końcu się jeden zdecydował! Poszło po kursie bankowym, dodatkowo zostałem wyposażony w kpiatok. Robię więc na miejscu kawę i ruszam na granicę.

Na rosyjskim posterunku melduje się po 3 nad ranem, standardowe 15 min na bramce i zaczynamy odprawę. Dużo czasu, (jak kto nie wie) zajmuje przejście przez tą całą papierkologię. Wremienne wwozy, wywozy, świstki pierdołki... W każdym razie, ponieważ już w tym jestem biegły, po kolejnych 15 min melduje się na... bramce kazachskiej! Ta granica cieszy się wredną sławą. Tu sprawy proste stają się niemożliwe do załatwienia, a sprawy niemożliwe... a i owszem☺.

Dziwnym trafem omijają mnie te zawilości, sprawy załatwiam 5 min dłużej, bo dochodzi mi ubezpieczenie kazachskie. Zaraz potem opuszczam granicę i jestem w szoku. Całość trwała dokładnie jedną godzinę i 15 minut. Kiedy okazało się, że z jakichś tam przyczyn, mają różne strefy czasowe i w Kazachstanie musiałem z powrotem cofnąć wskazówki zegara, to wyszło, że cała procedura zajęła mi jedyne 15 minut!! He, he, no nieźle myślę, i gdy chce się już pakować do maszyny, podchodzi do mnie, tym razem młody Kazach i pokazuje na rosyjską padakę, czyli Żiguli:

– Brat, zholuj mnie do Uralska, dzwigatiel padł kompletnie...

Jest ciemno, jak w nie przymierzając dupie, no dobra, pomagać należy!

Masz hol?

– Mam i już podpinam!

Startujemy. Chłopak się namęczy dumam, przecież widzi tylko moje światła postojowe, a wokół egipskie ciemności. Do Uralska jest 50km, po drodze dopada nas wspaniały wschód słońca na stepie. Dojeżdżamy po godzinie.

Poleca mi wymienić walutę na dworcu kolejowym, bo na bazarze jeszcze pewnie nie dam rady. Tak więc robię. Zaopatrzony tankuje 100l, dokładnie tyle wchodzi mi do baku. Znaczy musiałem do tej pory spalić poniżej 10l na 100km! Pięknie, byle tak dalej.

Przejeżdżam 1700metrowy most! I wjeżdżam w bezkres stepu. Temperatura szybko rośnie, o 9-tej nie mam już siły jechać dalej. Zatrzymuję się w jakiś chaszczach, tak, aby maksymalnie łąpać cień. Teraz czas na krótkie spanie.

Po pobudce orientuję się, że przede mną ponad 2000km i słynny odcinek za Aktiubińskim do Aralska. Jadę M32, asfalt ok, ale wiem, że to tylko skromna przygrywka. Za Aktiubińskim jest jeszcze kilkadziesiąt kilometrów super asfaltu, dokładnie do Karabutak, tak równego, że mógłby na nim ćwiczyć nasz Robert w bolidzie F1. Gdy asfalt się kończy prędkość spada do 30km/h, a później do 15km/h! Szybciej się nie da jechać, dziura na dziurze. Ale te dziury są głębokie nawet i na pół metra! Droga jest wredna, bawi się z Tobą. Po jakimś czasie odczuwasz zmęczenie jazdy stepem i z nadzieją wjeżdżasz na pozostałości asfaltu, by zaraz wjechać do dziury, która wydawała się mniejsza niż była w istocie. Około 3 nad ranem nie wyrabiam już psychicznie i staję w stepie. Kiedyś poświęcę temu odcinkowi (275km) osobny rozdział.

Rano budzi mnie budowniczy drogi, mają swój plac budowy 300 metrów dalej.

– Czemu nie podjechałeś do nas?! Spałbyś normalnie zjadł kolację, śniadanie...

– Ech, wzdycham, żebym wiedział! I śmiejemy się.

Na placu tankuję tylko kipiatak i w drogę. Przyszło mi się tak męczyć łącznie 235km! Tuż przed Aralskiem droga coraz lepsza. Na chwilę wjeżdżam do miasta, które sprawia

przygnębiające wrażenie, tylko dzieci jak zwykle kipią energią. Na targu kupuję pierwsze świeże warzywa i arbuza. Dopytuję jak najlepiej dojechać do Morza Aralskiego, odległego już od portu o ponad 50km! Nie odpuszczam i jadę na azymut. Kilka razy myli mnie fatamorgana, dojeżdżam do kolejnej łachy piasku, no gdzie te bajoro?! W dali dostrzegam coś wreszcie, co je przypomina, widzę nawet zaparkowanego Moskwicza. Kilku Kazachów pluszcze się w tej sadzawce... ja nie mam ochoty, jest ciepło, ale to nie ten dokuczliwy upał. Temperatura nie przekracza 35st idzie wytrzymać. Rozbijam się kilkaset metrów dalej i postanawiam odpocząć do wieczora.

Konsumuję śledzie, a pustą puszkę z zadartym wieczkiem jak żagiel puszczam na pozostałość po Morzu Aralskim.

– No śledzie trzymajcie się!

Jadę przez całą noc, jestem nawet w formie, co mnie wprowadza w dobry humor. Moim jedynym celem na kazachskim odcinku jest Turkiestan, a w nim Mauzoleum Hodży Yassawi. Oczywiście na wlocie do miasta zatrzymuje mnie GAI i próbują wszelkimi sposobami wymusić łapówkę lub w końcu podarok. No koleś mnie rozbawili jak pytając stwierdził:

– No, ale pasów nie miałeś zapiętych?!

– A miałem...

– Szczęśliwa!

Wjeżdżam do miasta... dopada mnie jakiś zrujnowany Opel Vectra, a z pozycji pasażera święcąca milicyjna pałka (takimi tu zatrzymują swoje ofiary GAIcznicy). Kij czort, nie wygląda to ciekawie, jeszcze ciemno, może to jakieś miejscowe cwaniaczki, dumam i ani mi w głowie zatrzymywać się! Za chwilę mnie wyprzedzają i już wyraźnie widzę ten rondel na łbie. Jego z niczym nie można pomylić, chyba, że z drugim takim. Zatrzymuję się.

– Po co tu jedziecie? Dajcie dokumenty!

– No Dariusz (takie poufale zwroty celem przygotowania do drenażu portfela, powód się zaraz znajdzie), masz wizę tranzytową, to dlaczego wjeżdżasz do miasta?! I uśmiech na twarzy.

– Wjeżdżam, bo wolno!

– A nie wolno! No Dariusz i co z Tobą zrobić? I szelmowski uśmieszek.

– Jadę obejrzeć Mauzoleum.

– Na tranzycie nie wolno!

– No, to rebiata słuchajcie. Mój dziadek, przed śmiercią (a mieszkał w Turkiestanie) kazał mi koniecznie odwiedzić to święte miejsce! Był Muzułmaninem!

I tu kolesie robią rybę... Ale ten bardziej chyba wierzący, młodszy kombinuje jeszcze:

- Ale Czapko, to ukraińskie, a nie kazachskie nazwisko?!
- A ile Rosjan, Polaków, Ukraińców i innych nacji u Was pomieszkuje? Sprzeciwiacie się woli dziadka?! Muzułmaninowi to nie przystoi!

Koniec pieśni...

- Szczęśliwa!!

Powoli świta, dojeżdżam do świętego przybytku i czekam na wschód słońca...



Wyjeżdżam z Uralska "na prostą", cel Szymket. Ale zmęczenie już daje znać o sobie więc przymierzam się do zjazdu w cień. Wzdłuż drogi tak długo jak na to pozwala miejscowy klimat sadzą krzewy aby powstrzymać nawiewanie syfu na drogę.



Trzeba uważać, zwłaszcza nocą, bo zwierzę łączy do ciepłego asfaltu.

Mimo, że w ciągu dnia temp dochodzi jeszcze do 35st, to nocą leci w dół do 4-8st (na północy Kazachstanu)



...taka alternatywa. Ta akurat nienajgorsza ale kurz...



...i nic nie pomoże.



Wjechałem więc w te krzaki ile się dało aby cienia jak najwięcej. Jest 9.00 i 33st w cieniu



Nie do końca zrozumiałem...



M32 jest zajebiście urozmaicona



Klasyczna stacja pa darogje. "AZS" to jeden z głównych dostawców paliw w Kazachstanie



Takiej okazji nie można odpuścić, M32 jest remontowana na wielu niezależnych odcinkach. Zakaz w ciemny otwór i jazda, bo inaczej...



Pierwszy zachód słońca, powoli zbliżam się do Karabutak



Preludium przed...



...rzeźba...



...wpadam na dworzec PKS-u...



...nocna walką z tym, co się potem stało z drogą. Włączyłem tak do 3-ciej nad ranem. W końcu psycha kłękła i poległem gdzieś w stepie...



...i rzeźba.



...i postój taxi, gdzie dowiaduje się, że do M. Aralskiego w linii prostej około 50km



Obudziłem się i napotoczył się budowniczy drogi a baza budowy widoczna w tle. Zabrakło paru metrów do "cywilizacji"



W końcu, po niemal 300km nawierzchnia wróciła do normy, pozostaje już walka z odległością. Dojeżdżam do Aralska, miasta z portem widmo



Port widmo



A potem...



Tak wygląda standardowy wjazd do kazachskiego miasta



Spotykam Karola i Sławka



...rzeźba...



Zaliczam bazar...



Po kwasie wypad z baru



Jeszcze tylko sztuk orientem...



...i na pozostałość po M. Aralskim
puszczam pozostałość o polskich
śledziach



W Turkiestanie czekam na wschód
słońca u stóp mauzoleum Hodży
Yassawi



...i skok nad M. Aralskie



Gdzieś w połowie drogi tankuję w
środku nocy



Zostało mi około godziny



Chwila odpoczynku, kolacja...

Dzień siódmy - 2008-08-31

Mauzoleum w Turkiestanie o świcie prezentowało się okazale, mimo wczesnej pory. Co rusz pojawiały się grupki wiernych, w tym całe rodziny. Widok rekompensuje mi trudy podróży.

Tuż za miastem nie daje już rady, staję znowu pod drzewem szukając cienia, bo o 9-tej rano jest już 33 stopnie!

O 11-tej jestem za kierownicą. Dzisiaj powinienem dotrzeć do granicy. Ruch na drodze coraz bardziej się wzmaga, nic dziwnego, przecież Szymket to główny szlak w tym regionie, wiodący na południe Azji. Odbijam na Biszkek, ale nie wjeżdżam do stolicy. W Taraz będę przekraczał granicę. Spotykam się z pierwszymi objawami sympatii, wyprzedza mnie Hillux Serf i daje znak by się zatrzymać. Stajemy na poboczu i krótki razgawor, w sumie żałuję, że nie wziąłem namiarów, bo kolega reprezentował jakieś lokalne 4x4, ale czas mnie naglił. W Taraz wymieniam walutę i tankuję Elwooda na Maksa. Przyjmuje z trzema kanistrami 120l, to znaczy, że mam łącznie 220l paliwa. Elwood pali znakomicie, w Rosji wyszło 8,5l/100km i to z tym całym majdanem na dachu! Tak dobry wynik jest skutkiem nie przekraczania 100km/h i toczenia na luzie z każdej większej góry. Tu, w Kazachstanie już brak tych gór było, więc trzyma równo 10l/100km. Na granicę dotarłem w terminie, na 7 godzin przed upływem ważności wizy kazachskiej.

Tu czynności idą również nad wyraz sprawnie! Gdyby tylko nie chwilowa awaria komputera. Dostaję potrzebne kwity, ale jak zawsze przyplątał się osobnik z opasłym brzuchem i od razu zasugerował opłatę lub podarek. Językiem dyplomatów powiedziałem mu, że mam go w dupie. On jednak koniecznie chciał mi udowodnić, że przemycam broń... mało tego powiedział, że jak zechce to ją znajdzie.

- No gdzie masz broń... osobnik nie rezygnuje. Otwieraj klapę!
- Nie mogę, bo zepsuta...

To zbiło natarczywca z pantałyku.

- Jak zepsuta?!
- Sprawdź sam, wiesz jak źle się z tym jedzie w tak długą podróż?
- Szczęśliwa!

Z Kirgizami sama przyjemność. 10 minut i jestem na kirgiskiej ziemi. Po drodze kupuję wiadro pysznej czerwonej papryki, prosto z ogródka. Tuż przed granicą nabyłem lepioszkę i teraz pałaszuję na przemian, papryką zajadam się jak śliwkami.

Na Plac Kirowa w Samarze nie pojechałem, ale w Tien Szan wjechałem przez zaporę jego imienia. Zapora spiętrza wody prowadzone przez Talas. Od tej rzeki, cała dolina wzięła swoją nazwę. Czuję się pierwszy raz spełniony.

Chwilę chcę pokontemplować widok, ale dociera do mnie polecenie z jakiejś tuby, żebym się zabierał. Potężny łeb Lenina wykuty w litej skale... a być może jakiś nadlew? Dodałbym jeszcze, Marksa, Engelsa i Dzierżyńskiego, to by był taki mosfilmowy komplet. Słońce chyli się ku zachodowi, szukam miejsca na nocleg. Zjeżdżam do koryta rzeki, woda rwie się do zapory. Szybko stawiam biwak, robię notatki i posilam się Balticą. Zasłużyłem sobie na tę odrobinę luksusu, piwo moment schładzam w lodowatej wodzie, smakuje wybornie! Celebрую ten proces, bo pragnienie okrutne. Naprawą blokady tylnej klapy zajmę się jutro, teraz błogostan, czuję zapach gór, to dopiero przedsmak. W głowie nie kłębią się żadne myśli, błogi pustostan, nirwana. Oddaję się lekturze Cyryla Stanukowicza, „W poszukiwaniu Yeti”. Lata trzydzieste ubiegłego wieku, powieść o radzieckich pionierach, budowniczych Pamirskiego Traktu, badaczach pamirskiej fauny i flory, początkach kolonizacji. Ciekawe, że Pamircy to jedyna nacja, która w tej kolonizacji widzi same plusy. Chyba dlatego, że nie dało się tu, ze względu na klimat, wprowadzić kolchozów i całego tego radzieckiego gówna z systemem represji. Kończę rozdział przy świetle warsztatowej lampy podpiętej do zewnętrznego gniazda 12V mieszczącego się w tylnym słupku od strony kierowcy. Przed snem jeszcze chwila refleksji, patrząc w gwiazdy, myślę o tych pierwszych eksploratorach. W jakże odmiennych warunkach przychodzi mi mierzyć się z tą przygodą. Dokładne mapy, gpsy, bajery...czy jest jeszcze w tym, co robię, choć odrobina romantyzmu?...



No czekam na wschód



Mauzoleum Hodży, to drugie w kolejności święte miejsce Sunitów. Mówi się, że trzy pielgrzymki tutaj, to jak jedna do Mekki



Pora się pożegnać ze świętym miejscem



No i jest



Objawy sympatii na trasie



Pierwszy kontakt z Tien Szan,
między Szymketem a Biszkekem



Tama Kirowa na rzece Talas



Szukam miejsca na biwak



Już w Kirgistanie, pierwsza wiocha. Obywatelu!!... Lenin wiecznie żywy.
Tankuję wodę ze studni i zaraz Kazali zmykać przez megafon.
kupię wiadro papryki za dolara



Poziom wody w zbiorniku żaden.
Rezygnuję więc z biwaku i jadę
wzdłuż rzeki ile się da

Dzień ósmy - 2008-09-01

Pierwszy września, koniec wakacji, dzieci idą do szkoły, tu w Kirgizji również. Ja jednak za nim ruszę, robię szybko porządek z klapą. Żeby ją jednak naprawić przez blokującą dostęp zabudowę muszę całkowicie opróżnić auto. Trzy godziny walki i zrobione, jeżeli wezmę pod uwagę, że pakowałem się trzy dni... to niezły wynik! Przez chwile kłamię na te gówno małe ile wlezie ale szybko się zmitygowałem. Jeżeli jakiegokolwiek awarie, to tylko takie właśnie, bracie, tylko takie.

Ruszam, ale coś zaczyna mi klekotać! W końcu zatrzymuję maszynę i nura pod auto... urwany tłumik! A niech to chudy Mojżesz, dobry Elłudzik, co ma wyjść niech wyłazi teraz. Muszę to gdzieś pospawać. W Talas, głównej mieścinie doliny, zatrzymuje mnie GAI.

- Będzie sztrafa za brudne auto!

A niech go donder świśnie! W zeszłym roku w tym mieście przez milicję (i chyba tego samego absztyfikanta) zmarnowaliśmy trzy godziny! Ale się nie daję.

- Najpierw czyste drogi a potem czyste auta, może?...

- Będzie sztrafa!

Na szczęście drugi z osobników zainteresował się moim przedsięwzięciem - co, kto, jak i zacz, po co?...

- Kto mi tu może pospawać głośzyciela? - pytam się go, starając się ciężar dyskuszyn przenieść na temat daleki od sankcji.

- Wskażę drogę.

No i wsiada do maszyny głuchy na nieustające naciąganie kolegi.

W warsztacie mała kolejka, ale po 2h już wyjeżdżam z całym tłumikiem - cały szczęśliwy. Po drodze mijam dziesiątki dzieci, ładnie ubrane w czarne uniformy z białymi koszulami lub koronkami u dziewcząt. Okazuje się, że tu tak ładnie, na co dzień a nie tylko z okazji pierwszego dnia w szkole, bo mamy 1-szego września właśnie.

Trochę źle się scenariusz na dzisiaj pisze, bo 5h zmitrężyłem na nie zaplanowane historie i w sumie niespodziewane. Pozostaje dojechać do Jalalabad, bo do Osz już się chyba nie wyrobię, by z rana puścić Wam kolejne wieści. Mijam drugą zaporę i jezioro Toktogul, które gromadzi wody rzeki Naryn by wypuścić już Syr-darię.

Po drodze pierwszy sprawdzian dla auta i ponad 3300m. Tuż przed przełęczą, gdy kontempluję widoczki z piskiem opon staje audi ogórek. Kirgiz, jak się okazało menedżer, z żoną, pani doktor koniecznie chciał mnie zaprosić do siebie do Biszkeku. Niby nic

dziwnego w tym, poza faktem, że 3 promile to dałbym w ciemno. Po wymianie grzeczności Kirgiz wsiadł do ogórka, po lewej oczywista i z spiskiem opon odjechał...

Za przełęczą zatrzymuję się przy pierwszej jurcie i od razu zostałem zaproszony na kefir i czaj mimo, że to bar przydrożny jakich wiele na zjeździe. Miło gwarzymy, jak wszyscy pasterze latem siedzą w górach i wypasają stada, by po 15-tym września zejść w doliny. W zeszłym roku był tu jeszcze szuter, teraz dobrej jakości asfalt.

Tuż za przełęczą wjeżdżam na Pamirski Trakt - słynna M41, budowana w pocie czoła w latach trzydziestych ubiegłego wieku, aż trudno wyobrazić sobie skalę takiego przedsięwzięcia w tamtym czasie. Ilu ludzi zginęło przy budowie Traktu? Statystyki radzieckie milczą.

Ruch na drodze spory, droga znakomita, trzeba się również przebić przez morze gór w tym jeden tunel - oczywiście płatny. Na samym Toktogulem zjeżdżam na chwilę nad jezioro i dewastuje kawałek pola arbuźów! No myślałem, że to jakieś chwasty, poprzez daltonistyczne zapędy w ogóle nie widziałem owoców. Dostałem solidny opieprz od właścicielki, która się zaraz znalazła. Winy odkupiłem... kamizelką ratowniczą i szybko uciekłem, paląc się ze wstydu.

Nad jeziorem mgła, która po kilku kilometrach okazała się gryzącym w oczy dymem z płonących gór. Przez chwilę się nawet zastanawiałem czy nie stanąć, bo „mgła” ograniczała widoczność do kilkudziesięciu metrów i co rusz wyłaniały się z niej kolejne gruzawiki. W zachodzącym słońcu góry mieniły się tysiącami ogników niczym najazd robaczków w noc świętojańską.

Wkładam płytę Purpli i puszcza Smoke on the water..., kawałek powstał w podobnych okolicznościach, tyle, że nad jeziorem Genewskim. Nastrojowo, w każdym razie, pokonuję kolejne podjazdy i zjazdy, tunele, bramki, by w kompletnych ciemnościach wjechać do Jalalabad. Fabryka wyłączyła prąd...

Tu mały wtręt. Wielokrotnie spotykałem i spotykam się z opinią, że jazda w Azji nocą to jakiś horror, powielaną potem nagminnie chyba dla podkreślenia jakiegoś szczególnego przeżycia. Otóż... gówno prawda. Trzeba oczywiście uważać na niespodzianki, typu dziura w drodze, osioł lub krowa, ale są to zjawiska doskonale widoczne w światłach drogowych. Tak samo doskonały sposób na bicie km, o ile taka potrzeba zachodzi. Brak wtedy kontroli gdzieś tam „na ciągłej”, na zadupiu, mniej zasadzek, spokój po prostu.

Nie pozwoliłbym sobie na taką uwagę, bo każdy ma święto prawo do własnej opinii ale moim zdaniem, nie wiele tu prawdy. Moja relacja wynika z egoistycznych pobudek i potrzeby akceptacji oraz chwalipięctwa, ale jest też drogowskazem dla mniej odważnych i to w jakiś sposób usprawiedliwia moje gadulstwo. Fotoreportaże z przed lat kilku

spowodowały wzrost zainteresowania regionem, „Pamir na kołach” jest znakomitym przykładem. W tym roku przeżyliśmy istny najazd na Pamir i... o to chodzi Broda, o to chodzi!

Ale... jazda w ciemnym mieście, to inna bajka, zwłaszcza gdy pora na główne wydanie dziennika. Szybko przebijam się przez gąszcz z rzadka oświetlonych pojazdów i robię wypad z miasta.

Parkuję na górze za miastem.

Spragnione tego światła ćmy wielkości dłoni, boksują się z moją warsztatowa neonówką. Nie zwracam na nie uwagi. Jak Alicja, po kilku stronach lektury Cyryla, znajduję drzwiczki do innego, mojego świata...



Poza trumną cały mój dobytek wyprawowy na zewnątrz, lepszego przykładu nie będzie.



Spawanie mocowania głośzyciela... 200 somów, 35 somów = 1an\$



Manager - 3 promile, Pani Doktor - pilot



Co to jest,: czarno-białe, czarno-białe, czarno-białe?...



Ten kołes mocno popularny w regionie



Przełęcz Otmek, po szutrze ani śladu, klasyczny alpejski podjazd, bez historii



... zakonnica spadająca ze schodów. Tu mały szkolnik



Dolina Talas



Ekipa z baru na zewnątrz...



... autor wewnątrz



Kto nie lubi asfaltów niech się spieszy



... przyjechał kałboj do baru



Powszechny obrazek



Open



Kirgiskie Puebla



Także powszechny tu sposób komunikowania o zagrożeniach na drodze



Stamtąd zjechałem, w lewo Pamirski Trakt!



Kolejna furtak do Pamiru



Typical krajobraz



Direct nach południe



A górski miód to badziwie, w zeszłym roku robił za kosmiczne masło na kazachskiej granicy. Nie krystalizował po dwóch m-cach...



Żniwa



Alio...

Za flaszkę po litrowej pepsi zapłaciłem 150 somów, w zeszłym roku. Naturalnie to on z H2O mieszany



Deep Purple



To stoi to kymyz (mongolski kumyz). Kymyz wyrabia sie w worku po baranie, czy kozle. Wlewa się doń kobyle mleko i ubija przez cały boży dzień. Zadanie to dla kobiet, jak chłop w pole

wychodzi. Nie jest to lekka robota, ubijaczka to jak taki tłuczek do ziemniaków. Po 10 minutach mdlały mi "naramienne" jak przerabiałem zagadnienie w dolinie Alajskiej a trzeba tłuc cały dzień, cały!! Następnego dnia rankiem napój jest gotowy o rozległych zaletach. Ponoc bity dwa dni procentem sięga 16 pkt bazowych a korzuch, który się zbiera na górze to i ponoć 40% ma... ponoć.

Kudriuk to to, co konsumuję parę zdjęć wcześniej, czyli wątróbka barania... moja mina mówi wszystko. Krut to zaszuszony ser sprzedawany w grudkach lub charakterystycznych białych kulkach. Trzyma długo, to główny posiłek pasterzy zimą. Moj tokocz, to... moj tokocz.

Dzień dziewiąty - 2008-09-02

W Jalalabad moja misja sprowadza się do szybkiego nadania info i wizyty na bazarze. Niestety internetu nie ma! Byłem tu w ubiegłym roku i doszedł nawet jeszcze jeden punkt, ale oba zamknięte na głucho i nikt nic nie wie. Budynek jest czteropiętrowy, a to dużo jak na tutejsze warunki. Mieści się w nim szereg firm i instytucji. Nigdzie nie ma jedna dostępu do netu.

Dobra zbieram się migiem, nie wchodzę już na bazar, ten zaliczę w Osz i tam nadam relację.

Osz jest odległe od Jalalabad o 60 kilometrów, ale przy podziale terytoriów część głównej drogi przypadła Uzbekistanowi, więc czeka mnie sporo objazdów przez okoliczne wsie i małe miasteczka. Strasznie to spawalnia jazdę, do tego posterunki GAI. Nikt mnie nie zatrzymuje, ale do Osz docieram dopiero po trzech godzinach! Bardzo szybko odnajduję punkt z internetem, kilka pytań do taryfiarzy i po 20 min siedzę przed kompem.

Po godzinie pisania, tego, co mieliście już do tej pory przeczytać, wyłączają prąd! I cała moja pisanina na darmo. Nie mam laptopa, więc nie mogę zrzucić tekstu. Próbuję pisać w ichniejszym wordzie, ale nie da się ustawić europejskiej czcionki. Tak bym przynajmniej mógł na bieżąco zapisywać to, co piszę.

Druga próba i po półgodzinie kolejne wyłączenie! Nie, no spadam stąd, nie płacę ani kopiejki, a przy targu kwiatów szybko odnajduję drugi punkt. Tu jednak siedzi jakiś ichni administrator i walczy z siecią, rybami, czy Bóg wie, z czym... ale internetu nie ma.

- Jeszcio minutku...
- Jeszcio minutku...
- Jeszcio minutku...

Po trzydziestu takich minutkach wstaje zrezygnowany i jadę na targ. Targ w Osz to przykład targu ulicznego, poza przykuwającym uwagę, dobiegającym zewsząd wrzaskiem i ogromnym ruchem nie robi wrażenia.

Kupuję świeże owoce, warzywa, cukier i szare mydło, dzięki któremu pozbędę się łupieżu najdalej w dwa tygodnie. Tu jest najtaniej. Lepiej tak kupować, w małych wsiach, na pewno wszystko jest świeże i bez konserwantów... a jak przy tym smakuje?!

Opuszczam Osz zde gustowany, tyle zmarnowanego czasu, ostatnie tankowanie do pełna i do Sary Tasz. Pora już tak późna, że nie dojadę do tur bazy pod Pikiem Lenina, a taki był cel na dzisiaj... zaliczę ją w powrotnej drodze. W Sary Tasz, ostatniej cywilizacji przed Pamirem ciekawy jest tylko... cmentarz. Tym nie mniej widok wjeżdżając doń przyprawia o

zawrót głowy. Zmiana jakości, podjazd pod Taldyk Pass to preludium. Pokonujesz ogromną różnicę wzniesień na przestrzeni niewielu kilometrów, czujesz, że etap zabawy masz za sobą, panorama tuż za przełęczą wzbudza szereg emocji. Nic, tylko rozłożyć dywanik i bić pokłony naturze, tej ścianie granitu, śniegu i lodu...

Obóz rozbijam przy drodze wiodącej do granicy. Pierwszy raz gotuję na wyprawie, krupnik wyborny! Przepalam jednak wszystkie uszczelki i na razie z dalszego gotowania nici, ratuję się silikonem, ale na razie kuchenka nie robi. To stary ruski prymus na benzynę, no nic, powalczymy z nim później. Jest już wysoko, 3500m, jutro nareszcie wjadę Pamir!

Słońce chyli się ku zachodowi, na osłode rzucając cudowne cienie okolicznych szczytów, w tym Piku Lenina, który góruje nad okolicą, rozległą granią.

Zapada zmierzch nad doliną Alajską, jednej z piękniejszych i największych w Pamirze. Jest ciepło, ale wieje silny wiatr, który towarzyszy mi jeszcze długo w nocy, jego melodia kołysze mnie wraz z Elwoodem do snu...



Spakowany mogę ruszać, w dole Jalalabad



Po lewej przystanek marszrutek, ruch chwilami ogromny, coś przejedzie po tobie i nikt nie zauważy...



Dojeżdżam do Osz, w tle Góra (tron) Sulejmana, dlaczego Tron Sulejmana? O tym wspomnę w drodze powrotnej.



Charakterystyczne skrzyżowanie, nadające podstawową orientację targu



Ja, w każdym razie, muszę spadać



Proszę zwrócić uwagę na paluszek... tankowanie do pełna, spalanie rewelacyjne, 9l/100km. W drodze do Sary Tasz, w połowie drogi jest jeszcze jedna stacja "normalna", potem już tylko tankowanie z baniaczków i beczek.

Ale i to się skończy, bo w przygranicznej pipidowie już otworzyli nowoczesną stację paliw



Coraz więcej ładnego asfaltu, z każdym rokiem przybywa go po kilkadziesiąt km.



Stanąłem na jakieś 5 minut, w tym czasie gagatkowi nawet nie drgnęła powieka... twił jak posąg



Nie możemy się rozstać



Ta droga to jeden plac budowy, na budowie Kitajce i Kitajczynie. Normalnie buzie mają szczelnie owinięte chustakami, by bronić się przed wszechobecnym kurzem. Do zdjęcia szybko je zdjęły... kierują ruchem



Oczywiście wiecznie żywy



Pierwszy wariat na drodze, ze Szwajcarii. Nie lubię Helwetów ale ten bardzo sympatyczny, właśnie kończył swój tour po Trakcie Pamirskim... ja zaczynam



A budowa wre i nic się nie zmarnuje



Chłopaki wracają ze szkoły



Wspinamy się powoli, krajobraz się zmienia, płynie strumyk... w nim płuczę winogrona, ale koryto robi wrażenie, ciekawe jak wygląda na wiosnę?



Podkreślenie zmiany, coraz wyżej i wyżej... i bliżej Pamiru



It's time to start an adventure... Turniej uważam za otwarty... Bolo!!



Pierwszy konkretny podjazd...



Przełęcz Taldyk 3630m, z gpsa wyszło inaczej



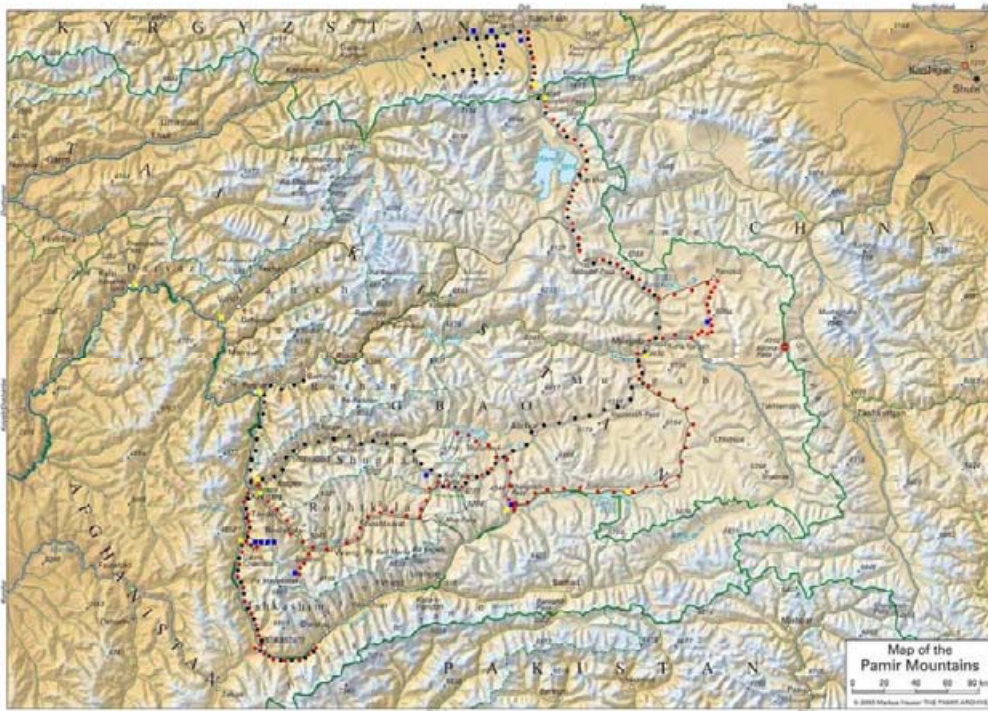
Zjazd z przełęczy w kierunku Sary
Tasz, jeszcze tylko jeden zakręt i...



Mogę nacieszyć patrzalki moją
ulubioną panoramą. To jeden z
celów, dolina Alajska. W tle chiński
Pamir.



Taldyk Pass zostawiam za sobą a
przede mną to, co tygrysy lubią
najbardziej. Jak ja kocham te góry..



Z Elwoodem do Afganistanu

- kolor czerwony "tam"
- kolor czarny "z powrotem"
- niebieski kwadrat - nocleg
- żółty kwadrat - znane mi posty

Nie zazaczyłem postu w Kara Kul, opnieważ nie był obsadzony przez żołnierzy, ani ostu
w dolinie Alajskiej po stronie tadżyckiej na granicy z Kirgistanem

Dzień dziesiąty - 2008-09-03

Rano budzi mnie wspaniałe słońce, rozświetlając całą dolinę. Śnieg skrzy się odcieniami bieli i błękitu, no cudny i jakże potężny Pamir.

Jest bardzo ciepło mimo 6 stopni, bo nie ma wiatru. Jestem podekscytowany i trochę celebрую pakowanie manatków, co rusz zerkam ku szczytom, ale i tak zbieram się szybko. Post kirgiski jest na dole, osiągam go bystro, przechodząc kolejno trzy rutynowe kontrole. Przy ostatniej w kącie komnaty dostrzegam gitarę, po chwili już na niej gram, dołącza dwóch kierowców i tak razem nucimy na ruską modłę. Plotę, co ślina na język przyniesie, ale tu i tak nikt poza mną, nie kuma polskiego przecież:)

Stemple wbite, śmigam na Kyzylart, przełęcz na ponad 4200m, podjazd dość stromy, ale droga przyjemna do tego piękne widoki wokół...

Tuż za przełęczą jest post tadżycki. Bramka zamknięta, chłopcy na zewnątrz siedzą przy wspólnym stole, jędzą i grają w karty.

- Brat, zaczekaj chwile!
- Haraszo, kuszajcie biez prabliema!
- A Ty panimajesz pa ruski?
- Da.
- No poczekaj minutku.

No to czekam, po chwili podchodzi pierwszy pogranicznik, ogląda marszrutę na aucie, i cmoka. Za mną już prawie 6000km, zagląda do środka i widzi pokrowiec z gitarą.

- A to, co?
- Gitara, grasz?
- Gram.
- No to pograjmy!

Wyciągam gitarę, chłop zaśpiewał jakąś tadżycką pieśń. Po chwili są już przy nas wszyscy. Teraz ja biorę gitarę i kopiuję pokaz z kirgiskiego postu, znaczy się wyję w wniebogłosy po polsku.

Chłopcy wniebowzięte, no, ale koniec sielanki. Po chwili przedstawia mi się szef służby antynarkotykowej, z którym miło gawędzę, następnie z szefem służby transportowej i wykupuję ubezpieczenie. Są bardzo kulturalni, zwracam więc uwagę na ich gościnność. W odpowiedzi jeden z szefów mówi:

- Kiedy do nas przyjeżdżasz z kwiatami, my ciebie witamy chlebem i solą!

Ostatnie stemple i jestem w Pamirze! Nad jezioro Kara kul zabiera się ze mną jeden z żołnierzy. Podrzucam go do postu w tym mieście, ale co dziwne, posterunek na drodze zlikwidowany, czyżby nadchodziły zmiany?

Moim celem na dzisiaj jest pogranicze chińskie w okolicach jeziora Rang kul. Po drodze pokonuję Akbajtal, to przełęcz położona na 4655m - brakuje mi powietrza w płucach. Podchodzę wyżej, ale co chwila przystaję i sapię strasznie, przy okazji zastanawiam się, jak tym razem zniosę te wysokości. Praktycznie zero aklimatyzacji, do tej pory wszystkie wysokości brałem autem, a to żaden sposób, żeby nie powiedzieć najgorszy. Pażywiom, uwidzimy.

Jadę w cudownych okolicznościach przyrody, gdzie za każdym zakrętem krajobraz Cię zaskakuje. Myślisz, że już ładniej być nie może... nie, zaraz kolejny obrazek przyrody powala Cię na kolana! I tak w kółko. Pogoda nienajgorsza, chmury się zbierają, chwilami ciężkie, ale słońce sobie z nimi radzi a tak nawet przyjemniej.

Zjeżdżam z Traktu Pamirskiego przed Murghab, mijam dawny post graniczny (?) rusko-chiński, dwa cudowne oczka w morzu soli wykrystalizowanej wokół. Do Rangkul nie zajeżdżam, mijam je na rogatkach, ale na pewno nie byłem niezauważony. Nad miasteczkiem góruje kilkunastometrowa strażnica, a w niej czujnie śledzący mnie żołnierz. Wybieram okrężną drogę do Murghab, mam wrażenie totalnej pustki i bardzo mi to odpowiada! Dwie wąskie niteczki przecinające pustynię prowadzą mnie na przełęcz. Po pewnym czasie droga mi jedna znika sprzed oczu, nie mogę jej odnaleźć więc jadę na przełaj. Dojeżdżam do skupiska jurt:

- Gdzie droga na Murghab?
- Ano tam...

... i pokazuje mi babcina przełęcz i ledwo widoczne dwie niteczki. Zwodzą mnie jednak, nie co wyraźniejsze w lewo prowadzące korytem do podstawy góry. Podjazd poprzecinany jest dziesiątkami większych i mniejszych takich koryt. Doga jest tak rzadko używana, że na kamieniach gubię ją powtórnie i jestem lekko dezorientowany. Przełęcz widzę jak byk, tylko jak tam dojechać?! Z perspektywy coś tam widać. W końcu znajduję drogę do tej „właściwej” diagnozując dokładnie teren z buta. Pierwszy raz wypada włączyć reduktor. Wajcha na L i... stoję! Silnik się wkręca na obroty a ja w miejscu. Może spadł przewód podciśnienia? Kłapa do góry i luk po przewodach. Nic! No to nura pod Elwooda, ale i tu nic nie znajduję. Może się jakiś wodzik zawiesił? Biorę młotek do ręki i ostukuję reduktor. Hm... no dobra obejrzymy to jutro z rańca, a teraz szybko do auta, bo miejsce na nocleg nieciekawe i brak reakcji reduktora blokuję nie co psychę. Z pełnymi portkami, po kilku uciążliwych trawersach i pokonanych strumieniach, docieram na przełęcz.

To, co widzę, wynagradza wszelkie poniesione trudy. Zachodzące słońce, ślizgające się po szczytach, w dolinie panuje już mrok, jaki kontrast... trudno o lepszego malarza.

Staję u podnóża, po drugiej stronie. Zaczyna mocno wiać, więc szukam jakiegoś ustronnego miejsca. Elwooda ustawiam tak, aby można w nim było spać, nie kulając się z kąta w kąt i tak, by spadające kamienie mnie nie dosięgły, a trochę ich się tu ściele. Próbuję przesunąć koło z ramieniem na łożysku aby otworzyć tylną klapę, a tu... walka na trawersach, dobiła zawias i chcąc nie chcąc, koło musi wylądować na dachu a ramię w środku. Zostawiam temat do jutra, idzie z tym żyć.

Po raz pierwszy na tej wyprawie czuję się sam, jurty zostały za przełęczą, gwiazdy są tak blisko, odruchowo wyciągam po nie dłonie, szukam moich... ciekawe, jak czują się kosmonauci z dala od Matki Ziemi? Mimo, że jej dotykam, jestem gdzieś bardzo, bardzo daleko...

Pierwszy raz na tej wyprawie wbijam się w śpiwór i nucę sobie do snu:

Nie tylko Ty,
szukasz swoich gwiazd...

Nie tylko Ty,
chcesz zatrzymać czas...

Wśród pustych dni,
jesteś sama jak ja,
bo świat na klucz,
marzenia zamknął nam...



Z rana słońko przyjemnie
przygrzewa



Pakuję się powoli...



...tam jadę...



Moi sąsiedzi



...i tak sobie zerkam...



...a stąd przyjechałem



Kierunek Irkesztam, tam na wschodzie granica z Chinami... nie tym razem jednak, ale takie małe co nie co



Wjazd w Pamir, rozpoczynam podjazd pod Kyzylart. Sam w sobie niezbyt wymagający ale wysokość robi wrażenie...



Na górze granica



Przedemną post kirgiski schowany za zakrętem



...otoczenie również, te kropeczki po prawej to Jaki



Pamir, Pamir, Pamir... Panie Premierze, Pierdolę, Podoba, Pardzo Podoba, Purwa Pać, Pięknie Purwa, Pięknie. PURRRRAAA!



A teraz tadżycki za jakieś 20km



Chyba nie. Ci koledzy do szkoły jeszcze nie chodzą...



No, jeszcze tylko ta furgonka



Wcześniej parę objazdów, w miejscach gdzie woda zabrała drogę. Wyraz "zabrała" bardzo adekwatny, jak z babkami z piasku na plaży



Naprawdę fajoska ekipa



Ia hitarra, Pol Sajmon i jam



Posterunek?



Teraz ostro do góry



Kurewska tarka, nie dziwota, że dentysta tu tylko raz na pół roku zagląda, od chodzenia po tym plomby wypadają



Poszedłem pozbierać plomby



Na tej wysokości już tylko Jaki a i im nie lekko



Tak tu wyglądają znaki ostrzegawcze. Ten ostrzega przed poprzeczną rynną, skutkiem licznych tu trzęsień ziemi. To najbardziej aktywnie region sejsmiczny na ziemi. Leżę sobie na trumnie i kimam a tu mnie ciarki przechodzą. Wzgrygam się a ciarki dalej łążą. Przewracam na drugi bok, to samo. Siadam, masuje ciało a teraz mi tylek wibruje dla odmiany i łydki. Kuźwa co jest, z zimna czy jak? A to właśnie trzęsieni ziemi proszę Państwa, proszę ja kogo...



Huston, nie ma probliema



Karakul nad Kara kul, to wysadzam żołnierza i dalej mknę sam z moimi mechanicznymi rumakami. Ichachaa! Wio!



Przez cały kraj, jedziemy dwaj...

Zdarzało się tak kilka razy wibrować, najlepiej czuć na twardym.



Kara kul, piękne wysokogórskie jezioro bez życia. W tym roku też zabrakło odwagi aby się wykąpać. Maks 4 st w środku lata a idzie jesień, ponad 3900m



Wokół góry i pustynia



Nie jest już tak sucho jak latem, pogoda szkwałowa. Widać kilka nitek strumieni, znaczy padało nie dawno. Ciekawe jak wyglądają te rzadko uczęszczane "leśne" dróżki. Niedługo zjadę z asfaltu, zależy mi na tych bocznych drogach, bo cały Trakt Pamirski mam już zjechały i wszystkie możliwe asfalty w Pamirze także. Te boczne drogi, to w części szutrówki, a w części takie właśnie leśne dukty, dwa ślady wyżłobione w gruncie, znaczy się drogi nieutwardzone.



Pamir Hajlej



Po raz pierwszy zaskakuje fakt, że podjazd pod Akbajtal jest taki krótki i stosunkowo łagodny. Wysokości nabiera się tutaj z każdym metrem i sama przełęcz tak mocno się nie wyróżnia, za to jej wysokość bardzo.



Okolica coraz bardziej urzeka



Za przełęczą kraina Trolli, wyraźna zmiana krajobrazu



Mało okazji z tak bliska podglądać te granitowe molochy



No jest konkretnie



Widoki z przełęczy na północny zachód



Co raz piękniej...



Minałem koleś z towarzyszem już na podejździe i postanowiłem przywitać na przełęczy. Okazał się Francuzem, towarzysz także, ale był cosik niesmiały chyba, bo skitnął się przed zakrętem. Czekając na nich wgramoliłem się parę metrów wyżej i co chwila wracałem po płuca. Patrząc więc na tych gości, śmiałka i niesmiałka i z podziwu wyjść nie mogę. Nazywam ich wariatami, zresztą podobnie jak Was, bo trzeba mieć niezłe pod deklek aby się tu pakować na dwóch kółkach. Chłopaki tak sapią, że nogi rozstawiam by się nie przewrócić, zresztą zaraz przerwroć się bez tego bo wiatr duje na potęgę. Dla Wariatów SPSP



Tak wygląda podjazd od południa



... i piękniej...



... czy wspominałem, coś o księżycu?



I ta kolorystyka, nagle przejście z szarości w to coś... bo na kolorach się nie wyznają



... to można by odnieść wrażenie...



Gdyby nie ten asfalt...



... że się jest na...



... Marsie



Zapomniałem. Ale chyba w lewo



... jak widać. Bardzo dobry szuter



I tylko my z Elwoodem



Oglądam się za siebie co rusz, nie mam w planach wracać tędy, tylko zrobić trawers Centralnego Pamiru, pstrykam więc na zapas



Pa pa CCCP



Stamtąd przyjechali



Tu zjeżdżam z Traktu Pamirskiego w lewo do Rangkul



Dawne pogranicze



Tam pojechali



Zdrastujcie, mienia do Kitajców nada. A ty atkuda? Iz PRL... Aaaa to praszu!



A za winklem



Po drodze dwa jeziora, pogoda coraz bardziej niewyraźna



Potem w lewo, czy w prawo?



Koniec z asfaltem...





Bylinek właściwy



Okolice jeziora Rang kul



Nocleg planuję w górach,
naprawdę sam



Jezioro Rang kul



Kolejny wyrostek



Stałem by się upewnić, kopczyk
to drogowskaz...



Taki lokalny wyrostek



Piknie



By upewnić się, czy to TA przełęcz.



W drodze do Rangkul



Dojeżdżam do Rangkul, widoczna
wież strażnicza

Stąd na siodło jest około 2km,
jechałem ten odcinek 1,5h! Ledwo
widoczne koryto zwiódło , mnie
ślepy trakt mocno w lewo.



Odbijam w góry na południe



No i w końcu wjechałem



Czyli tam



Ten właśnie widok wynagrodził mi
wszelkie trudy

Dzień jedenasty - 2008-09-04

Rano robię porządek z kołem. Patrzę na GPS, wysokościomierz pokazuje 4250m... hm, czuję lekkie otępienie, ale jest ok. Dopijając kawę, lukam na Elwooda, mechanik ze mnie, jak z koziej dupy puzon i tak naprawdę, to od niego tu więcej zależy, niż ode mnie. Podszyty lekkim cykorem wsiadam i odpalam silnik. W nocy było kole zera stopni więc wyciągam ręczne ssanie by wyrównać obroty. Na trasie czasami wspomagam się tym pierdolnikiem, bo robi wtedy za tempomat. Ok, Elwood, w dupie z tym reduktorem, może z czasem zaskoczy. Ruszamy!

Teraz droga już prosta do Murghab, gdzie obowiązkowo muszę dokonać rejestracji. Przy okazji wychodzi, że nie zabrałem z Polski kserokopii paszportów i wiz... nie ładnie. Jeden z żołnierzy oferuje pomoc, śmigamy do ksero, ale tu niestety nie ma prądu. Jest jeszcze jedno miejsce, na szczęście tu wszystko działa. Pomoc mi sprawia mu wyraźnie satysfakcję.

Muszę przyznać, że gdyby nie jego pomoc, to nic bym nie wskórał. Jest nawet wzór na tablicy, ale po tadżycku. Żołnierz mozolnie wypełnia kwity palce 15\$ i 25 somoni i w te pędy meldujemy się na posterunku z powrotem. Tu spec od rejestracji zdziwiony, że tak szybko. Na tę okazję pobiera ode mnie 5 somoni za... no właściwie to nie wiem, za co, ale pobiera. Pytam się jak droga na jezioro Zor kul, które dzisiaj obrałem za cel.

- Bardzo dobra!
- A można jechać, nie trzeba przepustek?
- Możecie spokojnie jechać.

No to super, żegnamy się, żołnierzowi za pomoc wręczam kamizelkę ratunkową i jest nią zachwycony... teraz będą mu kumple zazdrościć, bo rarytas przedni, okazuje się.

Przy wyjściu wpadam na parę Niemiaszków na bicyklach. Mają już za sobą połowę Traktu, czego absolutnie po tuszy kobitki nie wnoszę!. No, ja już schudłem 5kg jak nic, ale nie naciskam na pedały! Jestem i tak dla niej pełen podziwu, tyle sadła taszczyć...

Po kilkudziesięciu kilometrach bardzo dobrej drogi zjeżdżam z Traktu, w kierunku Zor kul Reserve, droga to klasyczne nitki najniższej kategorii, ale jedzie się dobrze, tyle, że nie szybciej niż 40km/h. Na ruskiej sztabówce napisane stoi, że droga do bani i maks 15km/h się należy. Nie ma się jednak gdzie śpieszyć, okolica przecudna. Pokonuję pierwszą przełęcz, ma prawie 4300m i wjeżdżam w krainę pustki, ciszy, żadnej cywilizacji. Tylko poroże Archara, czyli kozła Marco Polo świadczy o jakimś życiu, upadłym ale zawsze. A propos senhora Marco, to niebywale ale zbierając wiadomości o jeziorze Zor kul,

opierałem się głównie na jego i Cyryla Stanukowicza informacjach! Ponoć pierwsze wzmianki o jeziorze pochodzą z VII w n.e. Z relacji Marco Polo wynika, że nic się na pewno nie zmieniło w okolicy do lat trzydziestych ubiegłego wieku. Nie rozstrzygnięto do dzisiaj jaką rzeką lub drogą trafił Marco Polo w Pamir, ja stawiam na dolinę Wachanu, bo... to i moja marszruta☺, przez przełęcz Khargusz do doliny Alichuru, którą to wiedzie M41. Droga staje się mniej widoczna i bardzo wyboista. Przed sobą widzę już Mały (Little) Pamir i pasmo Alichur, pomiędzy nimi schowane są dwa jeziora w cichej dolinie, w tym Zor kul. Jezioro to jest równocześnie źródłem Pamiru. Nie mogę już jechać szybciej niż 20km/h. Odczuwam już też dolegliwości związane z przebywaniem na takiej wysokości, głowa mnie pobolewa, ale z żołądkiem wszystko ok.

Docieram do pierwszego jeziora i znowu gubię drogę, skręcam do jurty pasterzy. Pytając o drogę przyjmuję zaproszenie na kefir i czaj... jakże ciężki oni żywot prowadzi, ale dla nich to chleb powszedni. Kefir smakuje wybornie. Ciut, ciut mnie jednak zaczyna mdlić... pora się zbierać. Oni też niebawem przeniosą się na zimowe pastwiska, ci dokładniej do Murghab. Jestem z lekka otumaniony, zapominam o walorach tego, co wokół. Na pożegnanie pytam:

- Gdzie ta droga?
- Ałooooo tam!

Ruszam i zaczyna się prawdziwy off-road! Za chwilę już dobrze wiem, co po kirgisku znaczy ałotam:) Słońce świeci prosto w twarz i trudno mi odnaleźć drogę, której i tak nie ma. Bardzo niewyraźne nitki od czasu do czasu widoczne tu i tam. Trzeba się ich koniecznie trzymać, bo nie jesteś w stanie inaczej objechać poprzecznych koryt, trzęsawisk, brodów i różnej maści nagromadzonych otoczków i kamieni.

Oczy pełne strachu, bo chwilami maszyna ledwo brnie, dokuczliwe trawersy, przez co nadkładasz drogę, no zabawa przednia tylko nie tu i nie teraz.

Głowa boli, samopoczucie sięga dna, nie zwracam już uwagi na nic, byle do przodu. Dojeżdżam do Zor kula i... staję przed bramką. Nie podoba mi się to, dookoła zasieki, to post graniczny i pewnie przejazd tędy wymaga zezwolenia. Szybko się o tym niestety przekonuję. Pogranicznik pokazuje mi jak powinno wyglądać pozwolenie i kto je wydaje i ile to kosztuje. Nie mam szans tego załatwić na miejscu, ale teraz odwrót to dla mnie koszmar. Przecież jak nie zjadę niżej to na pewno nie poczuję się lepiej!

- Słuchaj tawariszcz, dzwoń do komendanta, że ja z Polski sam, że nauczyciel fizyki, że łeb mnie napierdala, mieszkam nad Bałtykiem a tam zero wysokości a tu 4200... i że ja z powrotem nie jadę, bo, bo... umrę pewnie i tyle z tego będzie!

Żołnierz wydaje się mnie rozumieć i udaje się po raz kolejny do stróżówki. Po 10 minutach nadchodzi, patrzę na niego jak na wyrocznię...

– Możecie jechać. Dojedziecie do Khargusz i tam wam komendant wyda propusk.

No chyba ruskie pod Berlinem lepiej się nie czuli, jestem po prostu szczęśliwy, oznacza to również, że przejadę tę słynną dolinę do końca! Hurrraa... o ja pierdole, jak łeb napierdala!

– A jak droga dalej, czy też taka zła?

– Nie, dużo lepsza, to 75km, dojedziesz w dwie i pół godziny, tylko nigdzie nie stawaj!

Staram się i obiecuję nigdzie nie zatrzymać, tylko, co by pstryknąć z Canona... komendant czeka na mnie w Khargusz.

Droga faktycznie staje się lepsza, chyba tędy dochodzi zaopatrzenie, ale słońce niemiłosiernie świeci mi prosto w oczy, jadę w końcu centralnie na zachód. O ile wcześniej stan drogi przyprawiał mnie o zawrót głowy, tak teraz słońce, które wali prosto w ślepie! Nie pomaga zasłanianie wolną ręką ani okulary przeciwsłoneczne. No jak bym spawał bez osłony. Zatrzymuję się, co kilkadziesiąt metrów, wychodzę z auta i oceniam drogę z tej perspektywy. Droga ok, ale dopiero po zachodzie słońca mogłem jechać normalnie.

Przed bramką postu w Khargusz melduję się już w nocy, pierwotnie chciałem biwakować nad jeziorem, ale nie wiem, co by z tego wyszło przy takim moim samopoczuciu, jestem wykończony. To prawda co pisał Cyryl, gwiazdy nad Zorkulem nie są białymi rozrzuconymi punktami na granatowym niebie. To drobniutkie paciorki, czasami tak małe, jak ziarenka manny, czasami nieco większe. Są błękitno białe i sprawiają wrażenie jak gdyby pływały w jakimś przezroczystym syropie, jedno bliżej, drugie dalej, a między nimi zieje przepastna otchłań...

Stoję na światłach, sprawdzają mi dokumenty i każą podjechać do komendanta, ów to swój chłop. Zgodę na to, co przejechałem dostałem od ręki, żadnych problemów!

– Gdzie będziesz spał?

– Nie ma żadnego problemu ze mną, pozwólcie tylko odjechać kawałek i to wystarczy...

– Będziesz spał z nami, tylko nikomu nic nie mów!

– No gdzieś tam, poza Wami nikt się nie dowie☺

– A wódkę pijesz?

– Kanieszna! Na frasunek, dobry trunek. Tak nasi mówią... śmiech!

Ogromna ulga. Całe nasze spotkanie kończy się niezłą libacją, pękają dwie flaszki przy akompaniamencie la hitarry i smutnych zawodzeń..

Tak, można z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że gościnność Pamirców nie zna granic i to dosłownie. To był mój pierwszy kontakt z granicą afgańską, tylko leniwy jeszcze Pamir nie pozwala jej przekroczyć.

No, ale pora spać, dostaję miejsce na pryczy. Surowo, ale jest wygodnie i ciepło, czuję się już dużo lepiej... to pewnie ta tadżycka wódka. Nakrywam się derką, za oknem manna z gwiazdek... płonie jasno i bardzo, bardzo blisko.



Koło na bagażniku, ramię w środku.
Jakis ten Elwood niezgrabny się
zrobił



A ja se śmigam



...takie



Rzut okiem za siebie i... wio!



A po drodze takie cuda



Wjeżdżam do drugiego, co do
wilekości miasta w GBAO



Mój trakt, będę kierował się na
prawo



A ja do przodu



Po wizycie na policji i zrobieniu
ksero, skok na bank, kurs: 1\$ = 3,5
somonii



Wypas Jaków

Dojeżdżam do drogi prowadzącej
na przełęcz Kulma, czyli granicy z
Chinami, to bardzo blisko.
Właściwie to nie wiem, czemu tam
nie podjechałem?



Tę skąpe kępy traw, pokarmem dla
Jaków



Na drodze do Murghab, po drodze
osiedla...



Opuszczam posterunek milicji, w
paszporcie rejestracja a na
zewnątrz owa spasiona Niemra...
cuda, Panie i Panowie cuda!



W banku tablica informacyjna, moje druki, pierwszy i drugi od góry, od lewej



Dolina rzeki Murghab



Stamtąd jadę



Murghab



Kaniony jak w Kolorado



Przede mną kolejna przełęcz, ponad 4300m



Pamir Hajtej



Nabór do CSKA



Tam zmierzam



Widok z przełęczy "do tyłu"



Post za miastem, ołówkiem do zeszytu dane i wio



Jadę nad Zor kul, żadnych info o tej trasie w necie



Do przodu



Kirgiz handlujący benzyną z Chin, aby przejechać musiał odlać 20l.



Trakt z pozoru super, prędkość spada do 40km/h



Stałem w lewo, ale jadę w prawo



Rogi Marco Polo, jedyny dowód życia na tej pustyni



Kolejna porzucona osada



Zdezorientowany ląduje w jurcie, na wysokości jeziora Kokdżigit. To Kirgizi, nie Tadżykowie



Kompletna pustka



Tu życie toczy się jak najbardziej. W momencie jak przejeżdżałem z osady ruszał gruzawik na wschód, w kierunku Taktamysz



Standardowe wyposażenie jurty



W tle widać już Little Pamir, te zabudowania to opuszczona osada



Za góra z prawej dolina Zor kul, cel na dzisiaj. Droga rozmywa się, tu ruch jest już bardzo mały. Gdzieś tam, tylko kilka yurt, które na zimę przeniosą się nizej, do doliny Alichur lub Murghab



Łącznie jest czwórka rodzeństwa, tu z rodzicami przebywają aktualnie te dwa kasztany



Wspaniale jest



Pierwsze z jezior Kokdżigit



Mijam jakiś zagubiony koral



Szlak trudno dostrzec, trawersuje w prawo. Przed nami łańcuch Małego Pamiru



Jurty za mną, gdzieś na wysokośću tych dwóch hopek. Ja jadę w drugą mańkę i jest tylko gorzej. Po lewej, niewidoczny łańcuch Alichuru, który jest źródłem licznych strumieni, te, lokalnych podtopień



Koral został za górką



Koczują tu dwie rodziny



Jadę na wprost, wreszcie Zor kul.
Ale nastrój pod psem, odbija mi się
smaczny skądinąd kefir, czy to
znaczy, że zaraz będę żygał?



Wielki (Great) Pamir i wieżyczka
strażnicza już p afgańskiej stronie



Pojedyńcze jurty, zaraz zatrzyma
mnie szlaban i post graniczny.
Jestem na terenie Rezerwatu
Zorkul, ale nie wiem jak obecność
ludzi i licznych stad Jaków
wpływają tu na konkurujące z nimi
Archary. Te ostatnie za dnia
chowają się wysoko w górach, są
bardzo płochliwe i nie dane mi było
ich zobaczyć. Zresztą do tej pory
nie udało mi się wypatrzeć nawet
zająca czy świstaka! Ale...



Tam już Afganistan



Miejscami da się jechać



Do czasu



Zor kul z licznymi wysepkami,
ciągnie się ponad 25km a z nim
Great Pamir



Docieram do źródeł Pamiru. Mam
ogromną satysfakcję, bo mało kto,
w to wierzył. W zeszłym roku, gdy
opuszczałem Korytarz Wachański
po tadżyckiej stronie, dojeżdżając
do postu granicznego w Khargusz
patrzałem w tym kierunku, z którego
właśnie jadę. Wtedy tylko
marzyłem... Teraz stało się to
faktem. Ma to dla mnie jakąś
symbolikę, dotrzeć do źródeł
Pamiru. Szlak jest już ok, ale
zachodzące słońce uprzykrza mi

dojazd do posterunku jak tylko
może, karze sobie słono płacić.
Jestem naprawdę wykończony. Po
drodze jeszcze kilka zerwanych
mostów i objazdów



Widok w kierunku wschodnim



Co za ulga, gdy słońce chowało się
za chmurami, schodziło coraz niżej
i było coraz gorzej



Gdzieś tam za zakrętem po prawej
przycupnęła ogromna farma Jaków,
mam trochę mieszane uczucia z
pktu widzenia ochrony tego
przybytku. Do tego zerwany most i
niebezpieczny objazd a reduktor
dalej nie robotajet



Afganistan, jeszcze kilkanaście km
i posterunek w Khargusz



udało mi się jedno zdjęcie
pstryknąć bez wiedzy komendanta,

który wyskoczył za potrzebą.

Ciekawy typ. Oczywiście
wychowanek KGB, bywał w Polsce.

Generalnie sporo Kirgizów i
Tadzyków zasilają sowiecką armię

stacjonującą w krajach
"zaprzyjaźnionego" bloku.

Widoczne plody to miejsce do

spania. Na "stole" czaj, wóda,
gulasz i chleb. Tak naprawdę,
gdyby poruszać się od jurty do
jurty, czy ze wsi do wsi, zawsze
możesz liczyć na poczęstunek,
czym chata bogata. Z głodu nie
zginiesz, stąd i ja gotowałem
stosunkowo rzadko.

Dzień dwunasty - 2008-09-05

Wstaję tuż po 6-stej, czuję się jak młody Bóg! Po wczorajszych dolegliwościach ani śladu:) Nie wiem czy to wódka, czy te trzysta metrów mniej, czy też satysfakcja z pokonania niezwykle trudnego dla mnie i ciekawego odcinka. Wspólne śniadanie, zapiekane kartoszki z cebulą, pychota!

Żegnamy się i ruszam na... afgańską granicę, w stronę Korytarza Wachańskiego i za diabła nie mogę jej sforsować! Biorę się na sposób i próbuję objechać z boczem, dopiero leżące wszędzie druty kolczaste uświadamiają mi, że to nie ten kierunek. Zamiast w prawo pojechałem w lewo, żołnierze nie muszą już mnie kierować, wjeżdżam na właściwy trakt, na przełęcz Khargusz. Ruchu nie ma, tu ciężarówki prawie wcale nie jeżdżą, ponieważ podjazd od strony doliny Panj jest zbyt stromy i to na szutrowej drodze. Tym nie mniej droga jest ok, trzęsie jak zwykle, ale to prawie autostrada.

I tu Cyrylowi przytakuje, nie ma drugiej takiej przełęczy. Okoliczne góry powstały z nietrwałych skał wulkanicznych, niszczone szybko przez wiatr i słońce, lecz proces ten odbywa się bardzo nierównomiernie. Dlatego też cały krajobraz otaczający przełęcz pełen jest zadziwiających, fantastycznych kształtów. Są tu skały przypominające zwierzęta, ludzi... Na przełęczy znajdują się dwa płytkie jeziora. Czasami bywają one głębsze, czasami niemal zupełnie wysychają, w zależności od opadów deszczu i śniegu. Są one interesujące dlatego, że żyje w nich mnóstwo drobnych raków. Jeśli patrzeć na jeziora z góry, widać wówczas plątaninę czerwonych wstęg i pasów, składających się z milionów drobnych raków. Owe wstęgi pasy poruszają się wolno, zmieniają kształty, nasuwają się na siebie. Podobnie jak ocean w powieści Lema „Solaris... Wracamy do relacji. Osiągam w końcu M41, ale nie na długo, do jeziora Yashil kul kieruję się na prawo. Przez chwile kontempluję dolinę Alichuru, z tego miejsca to chyba najbardziej kosmiczny widok na całej trasie, równolegle cieszę się, bo jest stosunkowo wcześnie, do tego zapowiada się ładny dzień. Szuter prowadzący do jeziora mocno zrolowany i widać, że chyba większość korzysta z równoległej alternatywy. Zwiększam prędkość aby przekroczyć granicę trzęsawki i udaje mi się to przy 100km/h. Po drodze mijam mniejsze jezioro i bazę, by zaraz przeskoczyć łatwą przełęcz i przede mną bajeczny krajobraz. Szafirowe jezioro, wciśnięte między okoliczne szczyty. Jadę wzdłuż jeziora zachwycony. Kilkanaście kilometrów cudnych widoków, zatrzymuje mnie w końcu zerwany most i niebezpieczny bród. Gdyby reduktor rabotał, forsowałbym go bez problemu. Nie chcę zdławić silnika, bo skończyło by się to dla niego katastrofą, a napierdalać z buta to podejrzewam, jeszcze na

tej wyprawie zdążę. Za brodem nie widzę śladów po kołach, znaczy, że wszyscy tu zawracają, pewnie te dwie LC 105 z turystami na pokładzie co minąłem na przełęczy także. To mnie usprawiedliwia przed sobą. Generalnie pięknie tu, zresztą, tu wszędzie pięknie i można by spenetrować okolicę dokładniej, ale cały ten wolny czas mam zarezerwowany na Korytarz po afgańskiej stronie. Ciągnie mnie tam na potęgę, a już jutro może to się stać faktem. Dolina Wachanu przede wszystkim, stąd pędzę ile koni w Elwoodzie, a to, co zobaczę, może być przyczynkiem do kolejnej wyprawy w ten region...

Wracając znajduję kawałek piaszczystej plaży, niedaleko ujścia Alichuru i po ostrym trawersie parkuję na dole. Fale biją o brzeg... brakuje tylko tupotu mew, morza szum jest. Robię pranie, opalam się, chowając się przezornie za autem bo wiatr sam w sobie chłodny. Woda tak ciepła, że aż zachęca do kąpieli, ale po raz kolejny, nie znajduję w sobie tyle odwagi by z niej skorzystać. Korzystam za to do woli z wiadra☺

Teraz powrót na Trakt i przełęcz Koytezek. Po drodze spotykam kolejną parę wariatów na rowerach. Chłop z kobitą z Erfurtu, jadą na tandemie z... Niemiec! Przez Słowację, Czechy, Węgry, Rumunię, Bułgarię, Turcję, Iran, Turkmenistan, Uzbekistan... są już 6 - mcy w podróży. Teraz do Irkesztam, Chiny, a co dalej?... jeszcze nie wiedzą:) Fajny ten bicykl, kobita drałowała na piechotkę na podjeździe. Gdy robie im zdjęcie, dociera do mnie ile wysiłku, woli, charakteru kosztuje to tych śmiazków. Opatuleni, zziębnięci, wiatr, chwilami porywisty, wieje im prosto w twarz... kurwa, myślę o tych moich słabościach i mi wstyd, po prostu wstyd! Ale wariaci najgorszą część trasy w Pamirze mają już za sobą, pocieszam ich. Do Murghab już prawie płasko, podjazd pod Akbajtal też nie taki straszny, przede wszystkim krótki...

Tak dumając chwilkę o rowerach, wspominam zranionego Rumuna, porzuconego w niesławie w piwnicy. Marzył mi się taki numer. Na przykładzie tych Francuzów, mijam ich szybciotko, wyciągam Rumuna i wyjeżdżam naprzeciw, w dżinsach, ramonesce, chuście na głowie, rajbanach na gałkach i plastikową torbą pełną piwa u ramy. Toczymy taki dialog:

- Skąd jedziesz?!

- Z Polski.

- Jak to z Polski?!

- Normalnie, trochę już jednak zmęczony jestem... macie ochotę na browara?

Ach, chciałbym zobaczyć ich miny☺ Lubię takie „aranżacje”. Wyobrażacie sobie, ile byłoby warte zdjęcie Jetiego?? Przebierasz się w taki wyfasonowany w kraju uniform a`la King Kong. Śmigasz po śniegu, kumpel pstryka foty i pchamy Tajmsowi, po 10 kawałków od sztuki. Albo odciski stóp... wszystko jeszcze przede mną, hej!

Gdzieś w połowie drogi między przełęczą Koytezek, a Dzhelondi, sanatorium w stylu Gierka, z basenem/sadząką 5x10m z aromatem zgniłych jaj odbijam w kierunku doliny Shakhdara. <http://www.panoramio.com/user/570984> fotki tego magika, były dla mnie jakimś drogowskazem. Lubię takie obrazki, gdy szlak, którym aktualnie przemierzam, znaczą odciski racic i kopyt. To nie szlak transportowy, żadna z ciężarówek go nie pokona, jest po prostu za wąski. Dojeżdżam w końcu do ogromnego rumowiska, w jego w połowie, wpadam na... Ładę Nivkę z turystami na pokładzie. Jedziesz bracie 8 godzin i nikogo nie spotkasz, dopiero na rumowisku, gdzie nie można się praktycznie gdzie wyminąć. Obaj wyjechaliśmy „z za winkla”, ja i tak nie miałem żadnej szansy cofać się, bo musiałbym zjechać praktycznie do podstawy góry, a to jakieś 2km! Ponieważ mam większy prześwit, cofam na kamloty. Kierowca Nivy mną kieruje, dajemy radę, uff. Pozdrowienia i jedziemy każdy w swoją drogę. Z wrażenia mijam mały zjazd w prawo, w kierunku kolejnego jeziora zagubionego gdzieś wśród gór, ciut szkoda ale nie chce mi się wracać. Jestem na wywłaszczonej plateau. Urokliwe jeziora, wokół których gromadzą się Jaki, po trakcie błąka się osioł. Okoliczne góry sprawiają wrażenie małych hopek, a niektóre, to przecież soczyste pięciotysięczniki!

Zbliżam się do doliny Szakhdara, sygnalizują mi to komunistyczni bracia, Marks i Engels obnażając swoje łagodne południowe grzbiety. Liczę, że od strony północnej również nie pożałują facjat. Pierwszy powinien pojawić się Pik Engelsa... no i prezentuje się bardzo okazale... do połowy! Ok, w kolejnej poprzecznej dolinie dorwę Pik Marksa kombinuję, ale ten też do pasa tylko! No pech, szkoda tego spektakularnego widoku, nie będę czekał, bo sporo kilometrów dzisiaj zrobiłem po bezdrożach, a jeszcze czeka mnie podjazd pod Pik Majakowskiego. Od strony północnej panoramy pamirskich szczytów są bardziej strzeliste i niedostępne.

Dolina, którą przemierzam prezentuje się jak oaza wśród pustyni, soczysta zieleń, aż razi. Nie darmo się nią wszyscy zachwycają. Dojazd do Rotshkala jest bardzo urozmaicony, przebijam się przez gaje drzewek, gdzie droga wiję się jak wąż i wąska jak Elwood. Nie można jechać za szybko, bo jeżeli coś nadjedzie z naprzeciwka to kraksa murowana, nie mówiąc już o zwierzakach. Mijam stare ruiny twierdzy, droga od tego momentu wykuta w skale prowadzi wzdłuż wąwozu.

Słońce już zachodzi, kiedy docieram do ścieżki prowadzącej pod Pik Majakowskiego. Kiedy wydaje ci się, że przejechałeś już wszystko, co możliwe, zawsze zaskoczy cię coś nowego. Znowu miękko w portkach, dróżka wiję się ostrymi trawersami, do tego, co rusz z góry na dół.

Jak podjeżdżasz ostro pod górę, to nie wiesz, w którą stronę skręcić, pocę się zdrowo, bo z lewej tylko przepaść.

Po paru kilometrach spotykam trójkę dzieciaków:

- Ile jeszcze do Bodomdara?

- Z jakieś 10km.

W końcu nerwy mi siadają, nie będę jechał po zmroku, parkuję na pierwszej, przypadkowej, zresztą bardzo ładnej polanie. Jest ciepło, rezygnuję więc ze śpiwora, między innymi po to, żeby potem całą noc... trząść się jak osika na wietrze.



Opuszczam posterunek graniczny jeszcze przed ósmą



komu/czemu zrobione te zdjęcie?



Żyjątko tu



Żyjątko fri



To tu zdaniem Cyryla można zapolować na raki



Mój ulubiony obrazek



Żyjątko for



Niech sobie zimuja



No! koments



Osiągam przełęcz Khargusz 4344m



Żyjątko lan



Najkrótsza droga do Korytarza Wachańskiego, nie tym razem



Przeciąłem Pamir Highway i kieruję się w stronę jeziora Yashil kul, piękna panorama doliny Alichur



Bulunkul nad jeziorem Bulun kul, widok z przełęczy otwierającej drogę do Yashil kul



Bardziej w lewo



Yashil kul 3719m



Frapujący trakt, może następnym razem.



Przecinam kika takich strumyków asilających jezioro z okolicznych lodowców



Kolejny strumień deczko żwawszy zatrzymał Moskwicza...



...i mnie. Do końca jeziora tylko parę km, ale rezygnuję. Po drugiej stronie brak świeżego śladu a po drodze mijalem dwa HZJ 105



Idę więc poszukać Yetiego, dojeżdżając do końca jeziora można pokusić się o kilkudziesięciokilomtrowy trek przez góry do jeziora Sharez. Powstało ono z zaważenia się góry w koryto rzeki Murghab. Powstała w ten sposób zaporą jest bombą ekologiczną, trudno sobie wyobrazić potop przy kolejnym tak silnym trzęsieniu ziemi. Wydaje się to tylko kwestią czasu.



Rejestruję kolejne żyjątko, Żyjątko fajf. To, co znalazłem obok tego żyjątko powinno uczynić mnie bardzo bogatym. Niesamowity przypadek, ogromne szczęście, fart albo cud!! Zreszta nazwijcie to jak chcecie, zaproszenie do Royal Society już na mnie czeka, bo...



... znalazłem trop Yetiego!! Czy może ślad? Wyraźnie widać odcisk stopy. Zumiewającym jest fakt, że była ona obuta. Jeszcze bardziej niewiarygodne, że był on identyczny z moim! Albo więc podebrał mi ubiegłej nocy buta albo... sam nie wiem. Gubię się w domysłach po chwili odkrywam kolejny ślad, potem kolejny. Niesamowite, pewnie dreptało tu całe stado Yetich szykujących się do zimy czy jak? Ludzie tropią je od lat i nic, a ja wpadłem od razu na całe stado.

<http://fakty.interia.pl/ciekawostki/...wiadkow,924745>



Przysiadłem z wrażenia i nie mogę ochłonąć



Widzę już "moją" plażę, teraz tylko znaleźć zjazd



Przełęcz Koytezek 4271m



Pora jednak wracać, u ujścia Alichuru widziałem piękną, piaszczystą plażę, muszę tylko znaleźć do niej dojazd



Kyzyldong 5704m



Pięknie tu



Zaparkowałem, pranie, kąpiel w... wiadrze, gotowanie: zupa w proszku plus dwa gniazda makaronu, dwa piwa i schowany za Elwooda czekam aż wyschną klamoty



Młody Jak albo Pani Jakowa



Pięknie tu



Wracam na Trakt Pamirski



Asfalt przeplatany szutrem, ale można gnać 100km/h bez problemu



Yashil kul



Niesamowita para Niemaiszków, jadą pod silny i chłodny wiatr



Zjeżdżam w kierunku doliny Shakhdara, czeka mnie ostry podjazd



Nie było łatwo się minąć ale i tak było to chyba jedyne możliwe miejsce na przestrzeni 2km. No i patrząc na Nivkę, droga musi być dalej całkiem gut



Zjeżdżam już w kierunku doliny Shakhudara, będę odbijał w prawo od tych dwóch łagodnie ośnieżonych szczytów w tle. To Pik Marksa i Engelsa



Po sesji pasterz oddalił się na swoim osiołku tam, skąd ja przyjechałem



Wyjeżdżam na plateau...



Na skraju doliny



Początek doliny



...z jeziorkami i stadami Jaków



Schowany w chmurach Pik Engelsa, w linku do fotek Rosjanina znajdziecie zdjęcia Engelsa w pełnym słońcu. Nie dane mi było tego obrazka zobaczyć. W dolinie warto spędzić conajmniej dwa noclegi, no ale dla mnie najważniejszy był Afganistan.



Przykład pamirskiej zabudowy



Z wrażenia przeoczyłem szlak w prawo, wprowadzający do jeziora Turumrai kul, przyczajonego na 4200m



Jeszcze jeden, tam naprawdę żyją ludzie



Poczekaj, ustawię się lepiej do zdjęcia, o tak, teraz proszę... taki razgawor



Pik Marksa do pasa, ponownie odwołuję do linku w opisie, zdaję się na wyobraźnię



Od czasu do czasu mini przeprawy



Uroda tej doliny to soczysta zielen, kontrastuje na zmianę z pustynnym krajobrazem...



Rzeka Shakhdara nasycona okolicznymi potokami



Na takich odcinkach zwalniasz do 20km/h, bo co by było, gdyby z krzaków nagle wyłonił się taki Ził?



... np takim. Stary fort, dalej dolina zwęża się, rzeka Shakhdara wic się bedzie wąwozami, przełomami, zostawiając trochę miejsca dla rozrzuconych kizlaków



Rzut okiem do tyłu



Gdy jest tylko nieco szerzej, zielen wciska się gdzie tylko może



Pierwsze drzewo w Pamirze, ostatnie widziałem w Kirgistanie



Kolejna zagadka, komu/czemu fotka zrobiona?



Gdy koleś zobaczył, że chcę mu pstryknąć fotkę, skręcił na mnie i minął z fantazją z prawej, tyle, że tam miejsca co kot napłakał było



Shakhdara z hukiem wpada między skały gdzieś obok



Co raz piękniej



Droga szerokim łukiem wciną się w ślepą dolinę, aby brodem pokonać ten strumień





Jedno z bardziej znanych w Pamirze gorących źródeł. Mają one wybitne właściwości lecznicze, a przy okazji pomagają utrzymać higienę miejscowym. Korzystają zeń codziennie. Niecka u góry jest kąpieliskiem(?)



Droga wznosi się, wykuta w skale...



Niczym słupy Herkulesa, pamirski Gibraltar



Kiszlak wklejony w skałę na drugim brzegu



... lub ciągnie wzdłuż koryta rzeki



Mini przełomy

Dolina Bodomdara z Pikiem Majakowskiego w tle. Muszę się dostać na drugą stronę, szlak prowadzi do podnóża tego 6-tysięcznika. Wjeżdżam nań już po zachodzie słońca, droga o tej porze nie jest bezpieczna, w świetle reflektorów zatrzymuje się prawie przy każdym zakręcie, bo nie wiadomo, czy prowadzi on w prawo czy w lewo. Nie ma miejsca na błąd. Gdy w końcu wjeżdżam na jakąś polankę od razu decyduję się i staję na nocleg. Do osady Bodomdara mam około 15km, stamtąd jakieś 20km do Piku. Rozbijam się w świetle Łysego i milionów gwiazd, które jak nad Zorkulem, są na wyciągnięcie dłoni. Rozkoszuję się tym niesamowitym spektaklem natury dłużej... co mnie spotka jutro?



Dodaję mapkę z Kirgistanem

- czerwona kropka - tam
- czarna kropka - powrót
- niebieski kwadrat – nocleg

Dzień trzynasty - 2008-09-06

Rankiem, gdy Elwood jeszcze w głębokim cieniu, zwlekam się zziębnięty z trumny, a przede mną wyłania się skąpany w słońcu Pik Majakowskiego. Stoję jak wryty, nie mogę oderwać wzroku od tego monolitu. Ogrom granitu w słońcu i śniegu... Rany Julek, jak pięknie...

Woda w rzece okropnie zimna, poranne ablucje, łyk wczorajszej kawy, zwijam manatki i ruszam w górę, czuje się już bezpiecznie. Percepcja zupełnie odmienna, ale i szlak już łatwiejszy. Docieram po 20 kilometrach do osady zamieszkaanej przez jedną rodzinę. Pytam się, jak daleko jeszcze mogę jechać maszyną. W odpowiedzi słyszę:

- Kilometr, może dwa.

- Jak wrócę popijemy czaju!

Po kilometrze dojeżdżam do plotka z bali, nie ma przejazdu. Potem dowiedziałem się, że kawałek dalej rzeka zerwała wszystko, a szkoda, bo za następnym winklem pewnie ujrzałbym Pik w całej krasie, teraz muszę się zadowolić kawałkiem jego podstawy, w większości schowanej za kolejnym zakrętem. No nic, tylko jak wykręcić?! Droga nie daje żadnej możliwości, więc cofam jakieś 500 metrów i wreszcie znajduję kawałek łagodnego uskoku, gdzie po malej walce oraz kołami sterczącymi nad urwiskiem, zawracam. Dalej nie mam odwagi na jazdę tyłem. W takich sytuacjach przydaje się reduktor, pozwala płynniej operować pedałem gazu, auto nie jest tak wrażliwe. Generalnie polecam taką metodę początkowej nauki jazdy dla tych co po raz pierwszy siadają za kierownicą jakiegokolwiek auta. Reduktor pozwala łatwiej opanować maszynę podczas manewrów, przy bezpiecznej prędkości. No tak, tyle, że nie u każdego pod domem parkuje 4x4...

Dojeżdżam do osady, zaproszony zajadam się znakomitym kefirem i o dziwo, nie pszeniczną lepioską, tylko plackiem na wzór naszego chleba. Rodzina jest praktycznie całkowicie samowystarczalna, to ich woły pasły się po drugiej stronie rzeki, kąsając trawę na stromym zboczu niczym kozice. Każda piędź ziemi zagospodarowana. Wokół chaty kilka poletek, sad...

Pytam o alpinistów, owszem zdarzali się i z Polski. W tym sezonie było jednak mało ekspedycji. Zresztą od tej strony Pik jest bardzo wymagający, od południowej na szczyt prowadzi łagodna droga przez lodowiec i ta cieszy się znacznie większym wzięciem.

Z Bodomdara zabieram 68-letniego dziadka, w znakomitej formie. Warunki życia powodują, że tu czterdziestolatek bywa staruszkciem. Zjeżdżamy w dół, dziadziuś okazuje się być emerytowanym kierowcą, ale modli się po drodze i ostro trzyma uchwytu przed

sobą. Skacząc w górę i w dół docieramy do jego kizlaka, czyli wsi. Zaprasza mnie na obiad. Tu poznaję jego wnuka Miszę. Pytam o drogę przez dolinę rzeki Bartang, dziadek zdecydowanie mi ją odradza, twierdzi, że miejscami jest znacznie trudniejsza do drogi pod Pik Majakowskiego.

Rozmawiamy o Afganistanie, tu również zero dobrej opinii. Jego zdaniem nie powinienem tam jechać, w każdym domu broń, ludzie nieprzychylni. Nie rozmawiają po rosyjsku, zresztą lepiej w tym języku się nie odzywać wcale! Są niegościnni i w ogóle to bardzo zły pomysł...ech.

W końcu dziadek proponuje, abym pojechał z Miszą, który zna język, obyczaje afgańców, powinno być nam razem łatwiej. Czemu nie! Ruszamy więc razem. Misza jest nauczycielem fizyki (he, he), ale jak większość, nie szuka pracy w zawodzie za 30\$, tylko pracuje w Moskwie, czyszcząc po nocach centra handlowe. Bardzo sobie chwali Rosjan, zarabia tam na czysto około 350\$, czyli sześć razy więcej niż w Pamirze.

Kierujemy się na południe, wzdłuż rzeki Panj (wymawia się piandz, jak z kaszubska „pięc”), czyli rzeki pięciu rzek. Panj zbiera między innymi wody Pamiru i Wachanu. Jedziemy do Garmczaszma, czyli gorących źródeł. Co ciekawe, mimo, że to zaledwie 100 kilometrów od miejsca zamieszkania Miszy nigdy tam nie był. Jest zachwycony. Po drodze jeszcze w Khorog, próbuje nawiązać łączność ze światem, klepię zapamiętałe w klawisze kompa... 4h! Do Malika, nauczyciela matematyki poznanego w zeszłym roku docieramy po zmroku. Witam się z żoną Malika:

- A gdzie Malik?
- Jeszcze w szkole!

Ale już posyłają jednego z pięciorga rodzeństwa po ojca. Po 10 minutach Malik staje w drzwiach,

- Pamiętaj jak obiecałem Ci, że się jeszcze spotkamy?!

Malik raduje się ogromnie, ściskamy się. Lecę po prezenty. Szybko nakrywają do stołu, jemy wspaniałą kolację. Malik już nie jest nauczycielem, to znaczy jeszcze jest, ale został dyrektorem szkoły. Tytułuje go teraz ciągle dyrektorem, śmiechom nie ma końca!

Na stole pojawia się butelka wódki, ale to praktykujący Izmailici więc pijemy symbolicznie. Przed snem udajemy się we trójkę do źródeł. Takie mini Pamukale... co potrafi natura wyrzeźbić?!

Źródła mają 64 st i cieszą się ogromnym powodzeniem wśród mieszkańców Azji. Tuż obok postawiono sanatorium i ciągle się coś dobudowuje. Dostęp do wód jest dla miejscowych i przygodnych takich jak ja, bezpłatny. Woda ma właściwości lecznicze, i doskonale radzi sobie z wszelkiej maści chorobami skóry, m.in. bielactwem. W każdym razie kąpiel jest

znakomitym lekiem na zmęczenie i trudy podróży. Woda jest tak gorąca, że powoli zanurzasz członki, żeby się nie poparzyć, ale potem to już sama przyjemność! Pory się otwierają i skóra oczyszcza się doskonale.

W roku 1960 grupa akademików rosyjskich przebadła wodę i stwierdziła jej wybitne właściwości lecznicze, od tej pory źródła stały się sławne w całej Azji. W roku 1965 dobudowano skromne zaplecze i całe szczęście, że skromne, natura okazała się znacznie lepszym budowniczym. Do powstałego sanatorium wodę doprowadza się specjalnymi rurami.

Nawisy z odkładającego się wapnia, siarki i innych minerałów tworzą niesamowitą scenerię, a kąpiel pod gołym niebem, pełnego gwiazd na wyciągnięcie ręki, dostarcza niezapomnianych wrażeń. To drugi nocleg pod dachem od rozpoczęcia wyprawy, ale pierwsza gorąca kąpiel. Nie znaczy to wcale, że o niej marzyłem jako takiej. Lubię ten „wyprawowy sposób na życie” i gorący prysznic nie jest darem niebios. W zupełności wystarcza mi 1,5 wody lanej z plastikowej butelki po Muszynie. Najpierw się namydlam, a potem taką flaszką spłukuje, nie zależy mi na ciepłej wodzie. Wychowałem się na „Znaczy kapitanie”☺, naśladując Borchardta, zacząłem sypiać na podłodze w wieku 12 lat i brać prysznic tylko w zimnej wodzie (z wyjątkiem kąpeli w wannie, aż tak nie hardkorzyłem). Na początku nie było łatwo, pamiętam, że po pierwszych próbach zawsze budziłem się o dziwo w łóżku! Ale przeważyły inne argumenty, całkowicie pragmatyczne. Spałem na indyjskim, włochatym dywanie (zakupionym kiedyś przez mamę na Kaukazie) i przykrywałem się śpiworem. Śłanie wyra szło migiem☺. Wiem, Karol był bardziej twardy i nie nakrywał się. Nie chodziłem też zimą w samej marynarce, ale te kąpiele pozwoliły mi zupełnie zapomnieć o chorobach. Łatwiej mi też było znosić próby sprawności na treningach karate, kiedy to ulegając mitowi Brusa Li, zapisałem się do jednej z pierwszych sekcji w Trójmieście, stojąc w kilometrowej kolejce na mrozie, pewnego grudniowego wieczora. Przez kilka lat, przez 6 dni w tygodniu ćwiczyłem „mawaszi w perły lub ust korale”, a zimą zdarzało się biegać boso po ulicach 3citi, ku uciechu gawiedzi i bacznym okiem lidera sekcji. Do dzisiaj nie zapomnę, jak parzył parkiet, gdy wpadaliśmy na salę po takiej zaprawie! No, ale faktycznie się nie chorowało. Koleś, znaczy nasz górę, był nie co szalony, bardzo znany to był przypadek, kiedy w trakcie zimy stulecia, co początek miała w Sylwestra, Dziennik Bałtycki doniósł, że jakiś szalony dżentelmen wbiegł w Nowy Rok na bosaka, odziany w dres a na nim kimono, przemierzając trasę Kolibki – Reda.

Ponieważ człek jestem podatny na wszelkie manipulacje, dałem się namówić przez niego, na codzienne kąpiele w Bałtyckim Morzu, poczynając od końca sierpnia. Kronikarskim obowiązkiem podpierając się dodam, że nikt jeszcze wtedy nie słyszał o globalnym

ociepleni i Bałtyk o tej porze niczym nie różnił się w temperaturze od bystrzycy górskiej. Co ciekawe, biorąc codziennie zimny prysznic i kąpiąc się codziennie w morzu, wytrzymałem tak do połowy grudnia, do fali pierwszych mrozów. Bałtyk oziębiał się stopniowo i nie zapomnę tego dnia, kiedy próbując dostać się do „otwartego morza” łamaliśmy pod stopami świeżą powstałą krę przy 10-cio stopniowym mrozie!

Niestety przyszły ferie, przerwa w treningach (dla mnie) spowodowała, przy ogromnej pewności siebie... spadek motywacji i zarzucenie kąpieli w morzu. Do dzisiaj jednak, nie mogę rano umyć twarzy w ciepłej wodzie, musi być chłodna!

W każdym razie czysty na ciele, niespokojny na duchu kładę się spać. Długo jednak nie mogę zasnąć. Co jutrzejszy dzień przyniesie, co mnie spotka w Afganistanie, czy w ogóle tam wjadę, jak to będzie...



Tu zabiwaczyłem, jedyne możliwe miejsce, na 25km odcinku do Bodomdary!



Gdybym tak nie przemarzył, to bym się nie ruszył, tylko gapił i gapił. Co ciekawe, tylko stąd taka fajna panorama, drugi fart!



No to jedziemy



Od czasu do czasu z jakiejś szczeliny czy ślepych dolin zaglądały granitowe molochy... zajebicie stromo



Droga całkiem, całkiem, nic o niej w necie nie znalazłem



Podstawa Pika za winklem



Fajna pojezdka, co chwila coś osuwa się lub spada w dolinę



Pik już tuż, tuż, czyli jakiejś... 25km



To drugie miejsce po polance, gdzie na całym 25km odcinku można się minąć!



Pikuś, Pikuś!



La finito kurwa est, do podstawy Piku Majakowskiego, już wyraźnie widocznej, jeszcze 15km, za dużo napierdalania z cufusa, zawracam... znaczy się cofam, bo nijak zawrócić nie mogę



O to i ona, dziadek - sąsiad z doliny Shakh dara, wpadł pieszką



Standardowe wnętrze pamirskiego domu



Dopiero po jakichś 500m, tu udało mi się obrócić autem. Wygląda płasko ale wierzcie, naprawdę łatwo nie było, akurat z prawej jak kadr się kończy leżały góry jak te widoczne



Dziewuszka



W każdym niemal domu, zdjęcie Agha Khana, duchowego lidera Ismailitów, jego fundacja buduje drogi, szkoły. Szpital w Khorog bezpłatnie leczy dzięki niemu właśnie



Taka oaza



Moje dziewięcze ślady, ostatni pojazd jechał tu dwa lata temu



Najmłodszy, mają dwójkę dzieci (bardzo mało!), starsze mieszka w kizlaku w dolinie Shakh dara u rodziny i tam chodzi do szkoły. Ten malec to czysty Pamiriec a przy okazji też czysty Aryjczyk. Hitler uznał ich za czystych rasowo... no malec ryży jak się patrzy



W większych czaszkach kefir, bardzo smaczny, w mniejszej smietana. Do kefiru dodajesz łyżeczkę śmietany, mieszasz i wcinasz, przegryzając chlebem (ten z żytniej mąki chyba, bo pszenny dużo jaśniejszy). Zwróćta uwagę, że w tej śmietnie łyżka stoi. Wg naszych norm, smietana robi za małso, mleko za śmietanę, zwłaszcza te z Jaka o zawartości tłuszczu 6%, przy krowim 4%



Bodomdara, czyli jeden dom, kilka poletek, sad, jedna rodzina, jednocześnie tur baza alpinistów



Elwooda zaparkowałem niżej,
zbieramy się z dziadkiem w dolinę



Żegnamy się z doliną Bodomdara



Charakterystyczny wiszący most,
jeden z wielu



Pożegnalna foto i startujemy



Dolina Shakhdara ponownie



To miejsce jednej z największych
tragedii w Pamirze, trzy lata temu w
tym miejscu (widoczna stara droga)
rzeka Shakhdara zmiotła kiszlak,
kilkanaście ciężarówek, zginęło
ponad 80 osób w ciągu kilku
sekund...



Dziadek mocno trzymał się
siedzenia, miejscami bardzo wąsko
i sporo gruzu na drodze, stanęliśmy
bo właśnie się stoczył głazik
wielkości biurka i zniknął w
Bodomdarze



Sporo kiszlaków po drodze



Ta ściana ma... 2km!



Zmiotło ten most, kiszlak
odbudowani wyżej



Śąsiedzi dzieduszki, żniwa w pełni



Most na rzece Shakhdara przy
wjeździe do Khorog, gdzieś tu po
prawej jest najwyżej położony
ogród botaniczny na świecie zdaje
się



Pik zostawiamy zdecydowanie za
sobą



Misza i dom dzieduszki

Dzień czternasty - 2008-09-07

Dzisiaj niedziela, dla mnie dzień jak najbardziej świąteczny... jedziemy do Afganistanu! Nie wyspałem się kompletnie ale to już nie ma znaczenia. Przejście graniczne odległe o 75 kilometrów tuż przed Iszkaszim. Malik zabiera się z nami, przy okazji odwiedzi swoją liczną rodzinę.

Powoli odslania się przed nami potężny łańcuch Hindukuszu na czele z Noszakiem. Gigantyczna masa granitu, pogoda znakomita, więc góra prezentuje się tak okazale, że odbiera mowę w ustach. Zresztą po drodze wiele 5-ciotysieczników zażywających słonecznej kąpieli potęgują wrażenie. Im bliżej jednak do granicy rośnie też moje podniecenie, to, że nie jadę sam, dodaje mi sił i wiary. Zbliżamy się do granicznego mostu, nic nie wskazuje na jakiegokolwiek oznaki życia... podjeżdżam pod szlaban. Cisza, pustka, ani śladu żołnierzy hm... tu obok znajduje się tadżycka strażnica. Tam dowiaduję się, że w niedzielę granica zakryta... cholera, to wczoraj był 13-ty dzień w podróży... pytam się Malika i Miszy, czy u nich 13-tka tożę nieszczęśliwa. Okazuje się, że to normalny dzień, ale czarny kot to i owszem, tak jak u nas. Konsternacja, pierwsze poważne zacięcie na wyprawie No trudno, jedziemy do miasteczka. Zamiast w Afganistanie, lądujemy w... barze, bo gdzieżby inaczej. Któryś z kibiców zauważył dyndający głośzyciel. Krótkie poszukiwanie spawacza na miejsce i okazuje się, że na ulicy ciężko podejść. Jedziemy na warsztat. Przy okazji wychodzi również brak uchwytu drążka stabilizatora. Zabieramy się więc do roboty i... wyłączają prąd. Ja podziwiam z podwórka 7-miotysieczniki opadające do Panj, Malik z Misza poszli na miasto do znajomego pracującego w służbie celnej, aby zasięgnąć języka jak z tą granicą jest.

Potem wspólne odwiedzanie licznej rodziny Malika wg jednego schematu. Pełny stół, piwo, wódka i tak dwie siostry i jeden brat...

Malik przynosi jednak złe wieści: granica zakryta jeszcze dwa dni będzie! Bo, jutro jest święto narodowe, a po nim dodatkowo dzień wolny! Czyli czekają mnie jeszcze dwa dni czekania! Cały, misternie knuty plan bierze w łeb. Jestem w małej dupie, bo nie mam jak jechać dalej, ponieważ musiałbym się wracać setki kilometrów, aby wjechać potem do Afganistanu. Ok, mam czas, aby przemyśleć powrót i oddaje się w opiekę Allacha. Misza jednak nie będzie mógł mi towarzyszyć, bo jemu również nużna wiza. Można ją łatwo załatwić w Khorog, bo jest tu poselstwo afgańskie, a wiza kosztuje 60\$. Musielibyśmy dołożyć jeszcze jeden dzień (przez święto) no i kasa, której Misza nie ma, a ja mówiąc szczerze także.

Wieczorem wracamy do Garmczaszma, wszystkie kilogramy, które udało mi się zgubić do tej pory na wyprawie, powróciły na swoje miejsce po poczęstunkach rodziny Malika! Obowiązkowa wizyta w termach i spać. Miotam się jednak, przewracam z boku na bok, cel był bardzo konkretny a ja jestem teraz w tej małej dupie. Czuję, jak cała moja para idzie w gwizdek. Na pewno jest co robić, ale ten czas zdecydowanie miał być poświęcony eksploracji doliny Wachanu i ten czas zaczyna mi mocno uciekać...



Wystrój większości domów jest podobny, kolorystyka, architektura. Tu jeszcze zdjęcie z domu dzieduszki



Akcja zima, połowa września, to początek końca jesieni. Gruzawik zrzuca coś podobnego do popiołu, czym będzie się sypać zimą w razie potrzeby

przygotowany kawałek ziemi polewa się wodą i uklepuje łopatami, chodząc boso itp Na koniec zbiera się siano, wiatr pomaga oddzielić plewy od ziaren



Lokalny żeń szeń, nasiona tej bylinky ponoć na każdą przypadłość. Medycyna tradycyjna, lekarza tu nie ma. Jest od niedawna szpital w Khorog wybudowany przez fundację Agha Khana. W Kara kul w płu wsch Pamirze, lekarz pojawia się dokładnie dwa razy w roku



Rankiem na drodze z Garmczaszma do doliny Panju



Pozostałości po wojnie rosyjsko-afgańskiej lub wojnie domowej z 1993 roku



Stamtąd przyjechałem, droga prowadzi prosto na południe do Iszkaszim, wzdłuż granicy z Afganistanem



Herman, tradycyjna młócka zboża. Woły związane na wysokości karku maszerują w kółko i młocą kopytami zboże. Wcześniej trzeba jednak przygotować należycie klepisko aby było odpowiednio twarde. W tym celu przez kilka dni



Gdzieś tam Pik Majakowskiego, nota bene, to właśnie z niego rozpościera się jedna z najpiękniejszych panoram Pamiru, Hindukuszu i Karakorum jednocześnie



W drodze do baru w Iszkaszim



Wejście do baru, który prowadzi siostra Malika



Na pierwszym planie bazarowy śmietnik, w tle afgański Badachschan



Bar przylega do targowiska, gdybym przyjechał dzień wcześniej, granica była otwarta z bazarom po afgańskiej stronie



Próba reanimacji opaski głuszyca na ulicy



Malik z Misza poszli do znajomego a ja czekając na nich podziwiałem widoki z podwórka. Akurat odsonił się Noszak, najwyższa góra Afganistanu 7m492



Autor



Konieczna jednak wizyta w warsztacie, jedyne fachowca elektryka w dolinie Panj, roboty ma full



Potem jeszcze raz do baru, Badachschan w tle



Od lewej nauczyciel matematyki i geografii w lokalnej podstawówce. - A Kristofiera Kaliumba znajesz, aa? No słyszałem o takim.



W oczekiwaniu na prąd, Pamircy nie używają krzesel, chyba, że w... barze.



Przy prowadzeniu baru pomagają cała rodzina, co na to nasz program wychowywania w trzeźwości?



Korytarz Wachański z Noszakiem po prawej

Pierwszy od lewej syn elektryka, drugi sam elektryk. W porzu koleś. Syn oczywiście pomaga w prowadzeniu interesu. Długo szukaliśmy na złomie koło domu jakiegiejs "niechińskiej" blachy, która miała posłużyć do odtworzenia uchwytu stabilizatora



Malik prezentuje



W domu u Malika



Malik z żoną



Przed snem do źródeł. Musieliśmy poczekać aż skończą kobiety, tu oczywiście koedukacji nie ma. Na dworzu kilka stopni a woda ponad 60!

Dzień piętnasty - 2008-09-08

Wstaję późno, bez śniadania udaje się do szkoły. Tam czeka mnie zrobienie 160-ciu fotek učebników i całego ciała pedagogicznego. Święto Niepodległości oraz moja wizyta jest najlepszą do tego okazją. Pamirycy bardzo lubią być fotografowani i podchodzą do tego nie raz bardzo poważnie. Niektóre sytuacje mnie śmieszą, ale nie daję poznać nic po sobie, tylko pstrykam i pstrykam! Przemówienia okolicznościowe, a ja, jak akredytowany dziennikarz śmigam tu i tam. Zdjęcia dzieciom robię po kolei w klasach. Krzeselko pod ścianę, drugie moje na przeciwko i pstryk. Wchodzę do kolejnej klasy:

- Zdrastwujcie.
- Zdrastwujcie!!

Chórem odpowiadają dzieci instruowane przez nauczyciela... łezka się w oku kręci. Jeszcze, żebyście zobaczyli tą szkołę, może oddadzą to zdjęcia. Wybudowano i oddano właśnie nowy budynek, ale maluchy dalej uczą się w starej szkole, która przypomina mi dzieciństwo i spędzane co roku u babci wakacje w Zabłociu k/Nurca.

Pewnie nie wiele Wam to mówi... takie to podlaskie zadupie, 20km od granicy z Białorusią. Patrząc na te ławki, tablice, surowe piece a właściwie kozy odbywam sentymentalną podróż w przeszłość. Babcia uczyła w wiejskiej szkole, szkoła była jednocześnie domem mieszkalnym, ot jedna sala wydzielona do nauki. Od strony drogi, jedynej we wsi, ganek, na którym wieczorem przesiadywali starsi. Życie na wsi ma swój rytm, za dnia dzieci pomagały rodzicom, a ja szwędiałem się po okolicy bawiąc się w Indian. Znaczy się byłem tropicielem i obserwowałem te życie z ukrycia, zwłaszcza taką jedną Baškę. W pierwszych latach (początek lata 70-tych) wieś nie była jeszcze z elektryfikowana i mimo, że jestem nocnym Markiem, szybko przestawiałem się na naturalny rytm. W skąpym świetle lampy naftowej nie wiele można było zdziałać, więc siłą rzeczy kładło się wcześniej i tak też wstawało, dokładnie jak na tej wyprawie. Niebo wtedy, nieskażone łuną, też było pełne gwiazd z bardzo wyraźną drogą mleczną. Gdy świecił Łysy bawiliśmy się w podchody, uważając na nietoperze, które w ciągu dnia drzemały za okiennicami a wieczorem latały nam nad głowami. Bałem się ich okrutnie, słuchając, jakie to drapieżne bestie, ssące z karków zwierzęcą, a bywa, że i ludzką krew. W głębi przyległego do domu sadu przycupnął, ukryty w liściach wierzb staw. Tam to siedzibę, skleconą z desek na solidnym konarze miał samotny tropiciel. Dobry to był punkt do obserwacji, a ślady trampków zacierane na bieżąco zwitkiem wikliny, stąd miejsce to, nie do wytropienia było. Do czasu jednak, kiedy to tropiciel spadając z hukiem łamanych gałęzi, podkreślonym zaraz

okropnym wrzaskiem zdradził swoją kryjówkę. Tej próby dzielny Indianin nie przeszedł, no bo któż wytrzymał by tortury ognia piekielnego, tarzając się w zagonie pokrzyw... zrozumieć Wam łatwiej przyjdzie, bo tropiciel ów w samej jeno opasce biodrowej służbę na drzewie pełnił... ech.

Jeszcze zdjęcia w pokoju nauczycielskim, najpierw wspólne, potem indywidualne, nauczyciele odgrywają role, a to przy dzienniku, a to przy książce przedmiotu, którego właśnie uczą, co im zasugerowałem. Na koniec symulowana odprawa w gabinecie dyrektora Malika... mile spędzony czas.

Po sesji zdjęciowej powoli jednak tracę formę, chyba dopadło mnie zmęczenie odłożone w czasie. Misza sprząta Elwooda, niestety myje też auto z zewnątrz, a ja zaplanowałem cały ten „gruz” dowieść do Polski, co nie jest takie proste. W większych ośrodkach miejskich jest to zawsze powód do zatrzymania, co raz już miało miejsce. Chcę pomóc Miszy, ale poruszam się jak mucha w smole...

Dzisiaj czeka mnie jeszcze jedno zadanie, przygotowuję kolacje dla wszystkich. Będzie gulasz z mięsa kupionego we wsi (wołowina), sos z miejscowych warzyw w stylu śródziemnomorskim, ryż i kasza gryczana z torebek z Polski plus żurek i słodkie chwile.

Czekając na zakup mięsa udajemy się do źródeł, za przewodnika robi nam najstarszy malikowy syn, to bystry i otwarty na świat dwunastolatek. Gorące źródła były z różnych miejsc, co jakiś czas się to zmienia, pewnie z rytmem trzęsień ziemi. Wspominałem Wam już o trzęsawce, jednej nocy u Malika w domu też odczuwałem wibracje.

W naszej szerokości i długości to zjawisko bardzo rzadkie, a nawet jak zatrząsie, to nie skojarzymy w czym rzecz. Kiedyś, korzystając z kolejnego urlopu dziekańskiego przyjąłem ofertę roznosiciela reklam w Niemczech☺ Po pół roku pracy udało mi się awansować, co pozwoliło mi się usamodzielnic i wynająć własną kwartirę. Znalazłem taką w Leverkusen, u Polaka, który po raz wtóry przeprowadził się do Niemiec, tym razem z Anglii. Ciekawy typ tak swoją drogą, szybko zaprzyjaźniliśmy się i kiedy przyszło im w wakacje polecieć na Majorkę, zostawili mi całą kamienicę pod opiekę. Szeregiem te wąskie kamieniczki rozłożone były nad Renem oddzielone pasmem zieleni od dymiących po drugiej stronie rzeki zakładach Bayer.

Łato było gorące, upał nieznośny, wieczorami męczyłem się okrutnie, wilgoć od rzeki. Ani tu wypocząć, do tego Bayer produkując jakieś antybiotyki strasznie smrodził. Miałem już rok pracy za sobą i generalnie byłem tymi Niemcami zmęczony, robotę zaczynałem o 5-tej rano, ładowaniem reklamy na auto, zjeżdżałem do Leverkusen na 18-tą, jeszcze ten upał. Tego wieczora wszystko było jakieś dziwne, mało realne. Dom był pełen zwierzaków, papug, kanarków, dwa koty. Całe te tałatajstwo też trzeba było nakarmić i napoić, akurat

dzisiaj robiły straszny szum. Miałem pokój na poddaszu, próbowałem się położyć, gdy usłyszałem czyjeś kroki na klatce schodowej umiejscowionej centralnie. Wyobraźnia zaczęła pracować!

- Kto tam?!

Odpowiedziały mi kolejne kroki, jakby w szybszym tempie. Zerwałem się. Co robić? Jak się ktoś włamał to jestem odcięty... Kuchnia piętro niżej, tam nóż! Otwieram drzwi i rzucam się z impetem na klatkę, myślę tak: jak wpadnę na złodzieja to go na pewno zaskoczę, jeżeli nie to znaczy, że pierwszy dotrę do kuchni!

Na tych schodach, wąskich jak cholera wyprzedziłem za bardzo swoje nogi i fiknąłem potężnego kozła, z ogromnym rumorem wjeżdżając na klatce do kuchni. Chwila moment stałem już z tasakiem w ręku. W pozycji a`la Liga żywi, Liga radzi, Liga nigdy Was nie zdradzi! Słyszę ponownie kroki na klatce, zdeterminowany rzucam się skąd odgłosy dochodzą, patrzę, a to...jeden z kocurów napierdala w dziwnym transie z góry na dół, znajomy ten dźwięk swoimi łapkami wystukując. No jebał pies kocura, ale mnie wystraszył. Musiałem wyglądać przekomicznie z tym tasakiem. Nie co uspokojony, szybko zlustrowałem wszystkie otwory, domykając zamek w drzwiach wejściowych.

Jezuuu! Co wyobraźnia potrafi człękowi zrobić.

No dobra, śmigam na górę, deczko obolały się położyć, ale kocury dalej dziwnie harczą, dreptają tam i z powrotem jak by się parzyć chciały, kanarki miotają w klatkach, jedna papuga na okrągło powtarza:

- Weź pigułkę, weź pigułkę...

Zwariować można, w ciom dzieło?! W końcu zamykam się w pokoju i próbuję zasnąć. Po chwili czuję wstrząs! Co jest?! No ja pierdziu... jakaś niekonwencjonalna próba włamania?! Podrywam się na nogi, ale drugi wstrząs podcina mnie i ląduje na glebie, a na głowę sypie się kawałek tynku... Cisza.... Ktoś się wpierdala przez piwnicę jak Amen w pacierzu, myślę! Ale zaraz, zaraz! Może to trzęsienie ziemi? Szybko otwieram okno, ale brak jakiegś powodzi światła w oknach pogłębia moją konsternację. Co więc do diaska? Łapię za tasak, który przezornie zabrałem z kuchni i jeszcze raz lustruję pomieszczenia. Zwierzaki już spokojne...

Jadąc do roboty rankiem słucham radia, a tu potwierdzają trzęsienie ziemi z epicentrum w holenderskiej przygranicznej miejscowości. Okazało się, że katedra Kolońska straciła jedną z wieżyczek...

Po powrocie ze źródeł, biorę się za gotowanie. Pichcę prawie 5h, widzę sceptyczne spojrzenia, czy im będzie smakowało? Są przywiązani do swojej kultury, także żywienia. W końcu przychodzi finał, podaje wszystko na stół i... dostaję ostrego ataku biegunki... a tak

długo się broniłem! I to akurat, kiedy robie wsio na modłę naszą, nie mogę jeść, rolka papieru toaletowego, co rusz się kurczy. Na szczęście mój "bliut" bardzo wszystkim smakuje, po małym przełamaniu wszystko szybko znika w ich buziach. Marna to pociecha na ten moment, bo nawet nie mogę się z nimi wspólnie cieszyć! Sięgając po kolejną rolkę papieru toaletowego i saszetkę z medykamentami zatraskuję klucze w aucie! Ładny gips, drugi komplet oczywiście w... aucie☺ Dobrym patentem jest mieć ten komplet przymocowany trwale, np. do ramy, ważne, aby był na zewnątrz maszyny. Pomocne przy zgubieniu kluczy, albo odzyskaniu skradzionego lub zatrzymanego auta. Jutro, jak dostanę się do kluczyków, odwożę Misze do domu i poszwendam się po Khorog, stolicy GBAO. Tymczasem jednak łykam końską dawkę węgla, co powstrzymuje atak biegunki i pozwala zasnąć.



Łazienka, tu poranne ablucje



Dyrekcja przed szkołą



Uroczysty apel z okazji Dnia Niepodległości



Kilka przykładów pamirskiej urody



Rezolutny syn Malika



Misza ku mojej rozpacz, rozprawia się właśnie z gruzem na lakierze



Najmłodsze mikrusy



Ciało pedagogiczne



Ciało pedagogiczne w pokoju nauczycielskim



Stara szkoła, a jak w środku...



Prezydent Tadżykistanu plus zasługi



Scenki rodzajowe



... zdjęcia robiłem w nocy, zaraz potem zgrałem wszystkie na komputer szkolny w pracowni informatycznej



Dzieci uczą się tadżyckiego i dodatkowo rosyjskiego. Obowiązuje nasz stary system, czyli szkoła podstawowa 8 lat, szkoła średnia, zawodowa itd... jeszcze można normalnie.



W gabinecie dyrektora



Z lewej córka Malika, typowa Tadżytki, jej koleżanka z prawej typowa Pamirka



Nowa szkoła



8000km za mną, wymieniam olej silnikowy, półsyntetyk Petrocanady z oferty VARIANTA, po mojej małżonce, drugiego najważniejszego sponsora mojej wyprawy, dzięki Kajman



Się naoglądało Paskalów,
Makłowiczów i Okrasów.



... ale... zapomniałem jakie.



Widok z góry, wjazd do
Garmczaszma, wprost do źródeł



Okolice gorących źródeł



Ogród ma jakieś symboliczne
znaczenie...



Dzień szesnasty - 2008-09-09

Śpię nad wyraz długo, czuję już, że "ten dzień" nadchodzi. Odzyskuję stracony wigor. Najpierw jednak muszę się dostać do kluczyków w stacyjce. Żaden z zamków tym razem, nie daje się nabrać i nie jestem ich w stanie sforsować ersatzami. Kończy się na wyjęciu... tylnej szyby, tylko to mi przychodzi do głowy. Jest ona w takim stanie, że nie wiele jej zaszkodzi, a w razie gwałtu mam kawałek poliwęglanu, który wcześniej dociąłem na wymiar i zabrałem na zapas.

Odwożę mojego niedoszłego przewodnika do doliny Shakh dara, po drodze zaliczam internet w Khorog, i po raz kolejny niweczę owoc własnej pracy przez wyłączenie prądu.

Zajeżdżam pod dom Miszy, żegnaj nauczycielu... Ale dieduszka mnie nie puszcza:

- Poczekaj zjemy razem.

Nie mogę odmówić dziadkowi, mój żołądek zresztą też. Misza w międzyczasie podjął się podwiązać jakoś dyndającego po raz kolejny głuszyciela. Czekam na posiłek, warzą go dla mnie specjalnie. Na początek przystawka ze świeżo pieczonej lepioszki, cukierków i czegoś tam jeszcze. Po pół godzinie Misza wnosi sagan z rosółem i prosi o klucze od maszyny, daje mu je bezwiednie.

Jemy w ciszy, czas na mnie, już słońce zachodzi. Wychodzimy przed dom, góra pioruńska stoi, ale Elwooda nie ma! Idziemy z dziadkiem na główną drogę, dziadek z sarkazmem rzuca:

- Po coś mu te klucze dał?

No, myślałem, że potrzebuje jeszcze coś z auta czy jak... Po jakiś 10-ciu minutach nadjeżdża Misza... Obok w Elwoodzie dwóch kompanów, choć miejsce tylko dla jednego. Przednie fotele w wodzie.... Patrzę na Miszę z wyrzutem, ale on nie dostrzega problemu i ma radochę z przejażdżki. Żegniam się z dziadkiem i odjeżdżam z mieszanymi nastrojami. Jest już ciemno, po drodze zatrzymuje mnie jeszcze przed Khorog kierowca traktora:

- Masz może klucz 19-tkę?

Rozwijam saszetkę VARIANTOWĄ:

- Bierz.

- Ale zestaw!

19-tka potrzebna do odpowietrzenia pompy. Ciemno jest jak w dupie, więc parkuję Elwooda centralnie przed ciągnikiem (tak nawet bezpieczniej) i podłączam do gniazda neonówkę. Chłop walczy 15 minut, w końcu wyciera chromowany czy niklowany, czy

obojga nazwisk klucz nabożnie w koszulę, mimo moich protestów. Tu w powszechnym użyciu są klucze kitajskie, znaczy się jednorazowe.

W drodze, już do Garmczaszma zatrzymuje mnie grupka młodzieży.

- Czy możesz zabrać naszą dziewczynę do Źródeł, bo nam zejdzie przy naprawie.
- Nie ma problemu, już szykuję dla niej miejsce.
- A nie masz może 13-tki?

Rozwijam komplet...

- Fiu, fiu... możesz zostawić?
- Kurcze, jutro śmigam do Afganistanu a teraz 21-szą bije, nie mogę.
- A Ty nie mieszkasz u Malika?! Ja jestem jego sąsiadem!
- Ok, ale nawet w nocy podrzucie klucze, bo kilka z nich jest mi naprawdę pomocnych.

Zostawiam klucze, zabieram dziewczynę.

U Malika ląduje późno i zaraz kicam do wyra. Co mnie spotka jutro?...



Dzień siedemnasty - 2008-09-10

TEN DZIEŃ

Tym razem wstaję z kurami, nawet kogut nie musiał się wysilać. Granicę otwierają o 8.00, jak wynika z informacji otrzymanych od znajomego Malika, pracującego na tamożni, czyli służbie celnej. Na granicy odległej o 75 kilometrów melduję się o 8.30. Tadźcy pracują, ale na afgańskiej stronie nic się nie dzieje - pustka!

Pytam pogranicznika, co i jak, a on mi na to:

- Jak się pojawią Afgańcy to ciebie odprawimy, na razie czekaj!

No więc czekam ja i paru innych. Część z nich pracuje dla organizacji rządowych w Afganistanie. Więc rozmawiamy w oczekiwaniu na Afgańców. Ciekawych rzeczy się dowiaduję, uprzedzenia Miszy można wrzucić między bajki, choć faktycznie porwania dziewczyn na ożenek zdarzały się.

O samych Afgańcach: już wiem, że ponad wszelki wymiar cenią wolność, ale raczej taką "wolność Tomku w swoim domku", co oznacza, że ta wolność ogranicza się np. do jednej doliny. Tu wojują o tą wolność od zawsze, jak nie z obcymi siłami to między sobą... nie wiem, jaka będzie przyszłość tego kraju, wiem jednak, że nikt ich nie zawojuje, patrząc na otaczające góry i fakt, że karabin tu równoznaczny z łyżką do zupy jest.

Daje jednemu Tadźykowi trochę drobnych polskich, wychodzi coś koło dolara on mi w rewanżu afgańską walutę. Znaczy się garść papieru i śmiejąc się mówi:

- Może na lepioszkę, albo zapałki wystarczy.

Nagle na granicy wzmagają się ruch, okazuje się, że afgański posterunek "ruszył". Migiem wsiadam do maszyny i w ekspresowym tempie przechodzę odprawę tadźycką. Wszyscy są bardzo mili dla mnie. Podstawiam maszynę pod barierkę afgańską. Jestem mocno podekscytowany, nawet próbuję ją ominąć, aby szybciej dostać się na ziemię afgańską, ale szybko mnie mityguje koleś z kałasznikowem w ręce i afgańskim berecie na głowie.

Udaje się do komendanta...Ten wita mnie najczystszą angielszczyzną! Czuje się lekko nieswojo, bo u mnie tylko ruski i giermański, co z kolei nie przekonuje w żaden sposób Komendanta. Na szczęście za tłumaczy robią poznani na granicy Tadźcy. Szybko się dowiaduję, że nie mam jednego, podstawowego dokumentu! Przepustki na maszynę! A niech to donder świśnie i co teraz? Dumam. Ok, jak nie maszyną to przynajmniej pieszo, ale chłopaki mi sugerują, że za 150\$ wjadę "na lewo"! Sam nie wiem, rozmawiam z

komendantem po stronie tadżyckiej... ten przywołuje komendanta afgańskiego, wymiana uwag.

Komendant afgański zabiera mnie na stronę i po angielsku mówi, co dobrze rozumiem:

– Możesz wjechać! Ale należy się 100\$.

Czyli dokładnie tyle, ile kosztuje załatwienie przepustki w konsulacie, w Khorog.

– Na ile chcesz jechać?

– Niestety, praktycznie tylko na jeden dzień, dukam po angielsku...

No i tak po angielsku załatwiłem sobie nielegalny wjazd do Afganistanu. Papierkowa robota trwa migiem, serdeczny uścisk komendanta:

– Welcome in Afganistan!

No ładnie, tyłek w troki i ruszam.

W międzyczasie pożegnałem gwizdem kolegów afgańskich, którzy cierpliwie czekali, czy uda mi się wszystko załatwić, ostatecznie podrzuciliby mnie swoim Hilluxem Serf do Iszkaszim. Fajne chłopaki, nie ma co.

No to śmigam sam, podekscytowany do granic, a zwłaszcza tej jednej. Mam świadomość, że prawdopodobnie od czasów polskich ekspedycyjnych starów w Hindukusz, żaden przytargany z Polski samochód nie przekroczył afgańskiej granicy, nie licząc oczywiście naszych Honkerów, Hamerów czy Rosomaków tyle, że to inna bajka.

Przejeżdżam przez główną ulicę Iszkaszim, dzieci wracają lub idą do szkoły, tu strój dowolny, nie jak w Pamirze, czy Kirgistanie, gdzie dominuje czarny kolor z białymi dodatkami.

Przejeżdżam powoli główną drogą, która wiedzie do Fayzabad, ale tam nie pojedę, nawet komendant prosił, bo jego jurysdykcja tam nie sięga, zwłaszcza biorąc pod uwagę moje dokumenty na auto.

Ludziska szczerze, większość mnie pozdrawia, co i ja czynię, ale bardziej ze strachu przyznam. Zatrzymuje się i robię kilka fotek, nie ma żadnego problemu, w pewnym momencie otacza mnie wianuszek Afgańców, ale napięcie mija. To szczerze zainteresowanie obcym w klimatach, jakie miałem już okazję poznać. Gubię się gdzieś w tych uliczkach wyznaczanych przez kamienne murki, ale nie widzę bałaganu, wszystko zadbane na sposób pamirski, widać też, jak ceni się tu wodę, która przechwytywana jest przez niezliczoną liczbę kanałów i kanalików. Utrudnia to trochę przejazd, bo co rusz musisz zwalniać niemal do zera.

W końcu zatrzymuję się przy jakimś domostwie, z którego zaraz wybiega liczna rodzina. Wyciągam mapę i pokazuję na korytarz, to mój cel. Chłopi starają się mi dokładnie

wytłumaczyć jak jechać. Tak też czynię, muszę wrócić do "centrum". Śpieszę się, chcę dotrzeć jak najdalej na wschód, mam tak mało czasu...

Wyznaczam sobie godzinę 14-tą, jako graniczną, oznacza to, że jak ona wybije, to zawracam.

Po prawej w ostrym słońcu niebotyczne szczyty Hindukuszu z Noszakiem w roli głównej ścielą mi zielony kobierzec. Cuda Panie i Panowie, tylko te kanały nawadniające, strasznie mnie spowalniają. Po lewej widzę ruiny twierdzy, jeszcze po pamirskiej stronie. To najbardziej na południe wysunięty pkt. tadżyckiego Pamiru. W zeszłym roku z jej szczytu podziwiałem afgański gebit... dzisiaj tu jestem! Łzy nachodzą mi do oczu, a co tam, naprawdę jestem wzruszony. Za sobą już dawno zostawiłem słynny przemytniczy szlak wiedący do Pakistanu a i dzisiaj pewnie szmuglują tu heroinę i co tam sobie niebezpiecznego jeszcze wymarzą, choć droga zaminowana jest. Chcę dotrzeć na winkiel, z którego otwiera się cała panorama korytarza. Równo o 14-tej ten Korytarz Wachański otwiera się przede mną!

Ok, muszę wracać, jednak wiem, że jeszcze raz tu wrócę. Muszę wracać, bo za dwa dni kończy mi się wiza tadżycka, i to jest główny powód moich rozterek. Zawracam, zatrzymuję się, a to przy ekipie na osiołkach jadących siano zebrać, to przy jakimś zagubionym gospodarstwie, gdzie domownicy ustawili się równiutko do zdjęcia...

Przynajmniej pogoda dopisuje, tym razem po lewej odprowadzają mnie 7-miotysięczniki, łaskawie od czasu do czasu pokazując się w pełnym słońcu, jakby i one chciały się przyjrzeć śmiałkowi z Polski. Dolina to niespełna 3000 metrów. Wszystko robi na mnie ogromne wrażenie, od wysokich szczytów do żdźbła trawy... afgańskiej trawy.

Na granicy melduję się o wyznaczonym przez siebie czasie. Mimo wszystko prześladuje mnie jedna myśl. Komendant wpuścił mnie tu nielegalnie, więc praktycznie jestem kompletnie zdany na jego łaskę. Nic tego jednak! Wita mnie serdecznie zdziwiony, że już wracam... ta wiza tadżycka. Żegnaj się z nim wylewnie, ale proszę jeszcze na minutkę. Wręczam mu koszulkę z logo wyprawy, zachwycony zaprasza mnie jeszcze raz. Maszyny nie kontrolują wcale, jeszcze wjeżdżając po wbiciu stempla do paszportu komendant oddał mnie w ręce wygłodniałych służb, apetyt zakończył się na metalowym kubku, których miałem dwa. Tym razem nikt nawet nie dotyka auta, komendant osobiście odprowadza mnie do tadżyckiego posterunku i wymieniamy się raz jeszcze polskim niedźwiedziem.

Komendant tadżyckiego posterunku żegna się podobnie i tak zaskarbiłem sobie ich wdzięczność bezpośredniością, mam przyjeżdżać, kiedy tylko chcę, tym razem jednak koniecznie z rodziną! Zjemy razem kolację i pogadamy! Samą granicę spostrzegam już zupełnie inaczej, przemyt kontrabanda, wszystko pod kontrolą Allacha i dwóch

komendantów! Wszędzie kicają grupki zainteresowanych, w pewnym momencie podczas kontroli moich dokumentów, szef straży granicznej podchodzi do okna, skierowanego na zaplecze granicy i kontestuje:

- Kurwa, co oni tam kombinują!

I wraca spokojnie do kontroli dokumentów. Akurat granicę przekraczają Belgowie i Anglicy prowadzeni tu za rączkę przez dwójkę sprytnych Pamirców. Prowadzą agencję turystyczną i ciągną innostrańców w Korytarz i jego okolice. Widać, że znają tu wszystkich i vice versa.

- Ty z Polski?

- Tak.

- A gdzie Twoi towarzysze?

- Ja sam, nikt mnie nie lubi, więc jeżdżę sam.

Śmiejemy się.

- Jedz z nami!

- Sorry, ale nie stać mnie na Was.

- Jesteś zaproszony! Chcesz to jedz! Oni płacą!

Pokazuje na grupkę kolejnych już czekających po tadżyckiej stronie. Niestety nie mogę, ale podziwiają mnie. Częstują piwem i jakąś ruska kiełbasą, nie mogę tego przełknąć, delikatnie rzucam psu, co się kręci na granicy, bo gdzie ludzie tam i żarcie. Ale i on się chwilę zastanawia, w końcu chwytą kiełbasę i zmyka na zaplecze.

Gdy ponownie na staję tadżyckiej ziemi, coś ze mnie zeszło, zrealizowałem główny cel wyprawy, choć jeszcze sporo przygód przede mną, zanim dojadę do kraju. Pasterze schodzą z gór, powoli zaraz skończy się krótka jesień. Żegnam Iszkaszim, ciągnę na noc jeszcze raz do źródeł. Po drodze kilka razy się zatrzymuję i spoglądam za siebie. Zabieram przypadkowego autostopowicza, który zachęca mnie, abym nabrał wody z narzanu. Sporo tu takich istoczników, ten w połowie drogi między Iszkaszim, a Khorog jest bardzo znany, jest nawet sklepik z mydłem i powidłem. To, jak na takie zadupie, musi oznaczać, że jest duży popyt. Woda jest naprawdę bardzo smaczna i przypomina mi w smaku naszego „Kazika” z Polanicy Zdroju. Notabene gorąco polecam wszystkim cierpiącym na wrzody itp., osobiście znam kilka przypadków ozdowień, wydawałoby się w beznadziejnych przypadków. W Garmczaszma melduję się przy zachodzącym słońcu, wszyscy dopytują jak było?!

- Normalnie druzja, po prostu normalnie!

Jemy ostatnią kolację, dzisiaj swojski kapuśniak. Odwiedzam jeszcze sąsiada, któremu pożyczyłem klucze, a który mi ich nie oddał! Jest mocno skonfundowany i razem z ojcem

zapraszają mnie na improwizowaną kolację. Jak się dowiedziałem od Malika wcześniej, to handlarze rubinem i przemytnicy. Na potwierdzenie ostatniego słowa poznaję rodowitego Afgańczyka, który tu jest rzekomo przejazdem. Gaworzymy o tym i tamtym, przy okazji pałaszuję wspaniale przyrządzonego kurczaka, o tyle to ciekawe, że tej popularnej u nas pticy nie widziałem jeszcze w Pamirze. Rozmowa toczy się przy kaganku, bo wyłączyli prąd. Przyglądam się Afgańcowi, pochodzi z Heratu. W pewnym momencie, gdy nabrali już do mnie zaufania, proponują opium. Odmawiam, i nie dlatego, że nie palę, co innego alkohol. Na narkotyki nie ma zgody i mimo, że na wyprawach próbuję z reguły wszystkiego, a ta używka uświęcona tu tradycją, uprzejmie dziękuję.

- Na rubinach się znasz?

- Nie, nie znam.

W zeszłym roku jakiś koleś na bazarze w Murghab koniecznie chciał mi pchnąć wypełnione urobkiem pudełko po zapałkach, ale czy to naprawdę był rubin? Poza tym zestarzeć się, to ja chcę wg własnej koncepcji a nie tadżyckiego zakonu. Ostatecznie mógłbym je wymienić za jeden komplet kluczy, na co mnie namawiają.

Ponieważ to już zdecydowanie ostatni wieczór w Garmczaszma, zabieram najstarszego 12-tka na wieczorną kąpiel. Wspaniale tu i naprawdę można odpocząć. Młody jest bardzo otwarty, łamanym ruskim opowiada mi o okolicznych szczytach, zwłaszcza o jednym, na którym wiecznie leży śnieg... to Pik Majakowskiego. Dolina Garmczaszma kończy się na tym szczycie właśnie, a z kiszłaka, (czyli wioski) jest do niego około 35 kilometrów.

Któregoś dnia zwrócił mi uwagę na logo VARIANTA a dokładniej, zatrzymał się wzrokiem na dwóch charakterystycznych strzałach:

- Siuda, tuda... wsiegda w pieriod!

Wychodząc z kąpieliska rozpoznaję w świetle lampy jednego z nauczycieli, który także przyszedł tu przed snem. Zaprasza mnie do siebie, ale jest już późno, może następnym razem.

Od jutra licząc mam dwa dni na opuszczenie Tadżykistanu, trawers serca Pamiru doliną Bartang, to ostatnie moje pamirskie wyzwanie i super zwieńczenie tego etapu podróży. Poza tym logistycznie rzecz ujmując ładna pętla, bez powielania odcinków.

Mimo woli wkrada się w moje serce niepokój, jakakolwiek awaria to niezły kibel ale co tam! Koniec końców to jest właśnie przygodą. Odpędzam złe myśli szukając Gwiazdy Północnej. Znajduję duży wóz... teraz łączę w wyobraźni dwa jego skrajne ogniwa i prowadzę prostą równą 6-iu długościom, wyznaczonego przez te ogniwa odcinka. Docieram do końca dyszla Małego Wozu... Czy zdarza się Wam leżeć plackiem na jakiejś polanie, daleko poza miastem, gdzie łuna nieba nie sięga i obserwować gwiazdy? Jeżeli to

tak, to na pewno macie smykałkę podróżniczą! Ileż to razy jako brzdąc, podróżowałem palcem po mapie. Takie były moje pierwsze kroki. Zamiast lektur czytałem Fiedlera, jego wyprawy przez amazońską dżunglę robiły na mnie ogromne wrażenie. Podziw i strach, te pozornie skrajne emocje, targaly mną i moją wyobraźnią. Do dzisiaj uważam dżungle za nieprzeniknioną, najbardziej dziką, brutalną ale i piękną... brak mi na nią odwagi. Brak mi odwagi, aby nawet marzyć o jej pokonaniu!...

Jest tak ciemno, że idę kierując się głosem Radosnej Jesieni, bo tak w tłumaczeniu brzmi imię mego małego przewodnika, idealnie oddające nastrój wieczoru i wszystkiego, co nas otacza.

To był naprawdę wspaniały dzień...



Waluta afgańska, 10 i 20 Afganów.
Otrzymałem łącznie 90 Afganów.
Same w sobie nie wiele warte, ale mają dla mnie sporą wartość emocjonalną.



Jeszcze przed 8-mą wyjechałem na drogę do Lszkaszim



Na razie mam tylko nadzieję, obejrzeć to z właściwej strony



Kiszlak po afgańskiej stronie, żniwa się kończą. Wszędzie, nawet na dachu domostwa siano



Melduję się na granicy. Jak było?... już wiecie...



Zrobiłem fotkę paszportu. U dołu wiza u góry komplet stempli tadżyckiej i afgańskiej służby granicznej. Zamazałem serię i numer paszportu.



Afgański Badachszan



... a tak na afgańskiej ziemi! Hurra, hurra, hurra ale... w portkach miękko. Dolina widoczna w tle prowadzi do Fayzabad, tam mienia niet...



... dlatego zawróciłem, więc teraz wracam na główną ulicę w Eszkaszem. Minąłem stację Shella! Ze strachu nie zrobiłem fotki, bo obsługa absolutnie nie wyglądała na przyjazną. Pewnie widząc mnie, byli w jeszcze większym szoku niż ja.



Skręcam w jakieś opłotki, z tego szoku pewnie...



... łąduję w ślepych zaułku. Ten koleś z prawej wyraźnie ćwiczył moja psychę... okazał się skorym do pomocy, zwykłym człkiem. Powoli oswajam się, ale daleko do spokoju, wracam na główną ulicę Eszkaszem...



... czyli tutaj



Przyglądam się ludziskom, oni mnie



Robiąc tę fotkę dostałem kamieniem. Oglądam się, a wszyscy się śmieją. Schylam się po kamień i markuję odwet. Zamachnąłem się ręką i śmieję się... to była jedyna chwila, kiedy poczułem się naprawdę nieswojo. Ten gest riposty wzbudził aplauz ulicy, teraz śmiałem się już szczerze, ale chciałem jak najszybciej wyjechać z miasta



Za nim jednak, muszę się dowiedzieć, gdzie jest wyjazd w kierunku doliny Wachan. To główna ulica w mieście, jednocześnie rynsztok. Widać kanalizację miejską, czyli wylane w betonie kanały odpływowe i... to wsio



Fryz tego kolegi z lewej, jakiś taki na austriacką modłę. Generalnie widok dwóch facetów trzymających się za ręce to tu normalny widok. Ci co prawda się nie trzymają, ale po fotce będą



Gdy stanąłem dłużej w jednym miejscu, od razu otacza mnie wianuszek ciekawskich. Chłopaka pierwszego z elwej rozpoznałem na wcześniejszym zdjęciu, dobre kilkaset metrów wyżej. Chciał się ze mną załapać jeden kupiec, ale ostatecznie zrezygnował.



Wyjeżdżam z miasta, te tabliczki będą mi towarzyszyć na całej trasie. Informują o inwestycjach Agha Khana. Pamir z przyległym korytarzem i Badachschanem to obszar gdzie praktykują Ismailiści, odłam Szytów. Generalnie bardzo ich mało, to tacy odszczepieńcy



Wjeżdżam w Korytarz, przede mną łańcuch Hindukuszu. Widoczny Noszak...



Tu razem z Niemcami fundacja wybudowała most. Już wcześniej z wrażenia pewnie czy jak, przestawiłem canona na nastawy ręczne, do tego czułość na maksa... tragedia, zanim się zorientowałem było już trochę za późno. Połowe zdjęć musiałem wypierniczyć, te trzy ostatnie to mocno podkreślone w programie. Myślałem, że nic się z tym nie da zrobić, bo wszystkie były na maksa prześwietlone, część z nich zostawiłem do czasu... kiedy nie zrobię lepszych.



To co mnie uderzało od początku, to te smutne twarze. Widać, że ci ludzie dźwigają brzemień setek lat wojen. Ten region jest najbardziej spokojnym w całym Afganistanie i jednym z biedniejszych. W tym roku susza była większa niż zwykle, zbiory mniejsze. Po prostu bieda... Mimo, że region spokojny, po drodze widoczne ślady wojny, pozostałości po ruskich tankach



... tu jak na dłoni. To co jest tu piękne i przy okazji poraża to góry właśnie. Z drugiej strony rzeki Panj patrząc, są monstrialne. W zeszłym roku przy dobrej pogodzie przejechałem Korytarz po tadżyckiej stronie. Każda kolejna dolina w łańcuchu Hindukuszu kończyła się bardzo szybko jakimś ośnieżonym gigantem. Teraz zadzieram wzrok do góry... dosłownie!



Jadę już z powrotem, straciłem kilka zdjęć ze wspaniałą panoramą korytarza... znaczy to jednak, że trzeba tam wrócić!



Pasterze z osiołkami w tle, jeszcze się spotkamy



Korytarz w całej krasie



Doganiam pasterzy



Pracują tu wszyscy, ten małe przy wózce siana



Kiszlak i cap w cieniu Hindukuszu



... zobaczyć



Po drugiej stronie Panj, Iszkaszim,
to już Tadżykistan



Droga do Eszkaszem skręca w
prawo, prosto prowadzi słynny
przemysłowy szlak pod
Noszakiem... ech!



Mijam najdalej na południe
wysunięty punkt Tadżykistanu.
Ruiny twierdzy, z której roztacza się
ładna panorama okolicy. W zeszłym
roku podziwiałem z niej Noszaka, a
druga strona wydawała się
nieosiąglana, tak bliska... ale



Tam zmierzam



Kierunek Eszkaszem



Za sobą zostawiam Eszkaszem



Hindukusz



Wyraźnie już widoczny
Badachszan... w dali Iszkaszim
(tadżycki)



Jeszcze jeden rzut okiem na
Hindukusz, w dole zabudowania
Eszkaszem



Jestem porażony przyrodą...



Za wzniesieniem Eszkaszim



W dali widoczne przejście
graniczne



... cieszę się, że dałem radę choć
tyle...



Żegnam się z korytarzem



Badachszan



Pożegnalna foto z afgańskim El' komendante, autor El' wood



Piękna panorama Hindukuszu



Kolejna budka, okienko skierowane na afgańską stronę



Granica, bus z Europejczykami, łącznie naliczyłem 12-ścioro. ruch jak na Marszałkowskiej, zaraz zamkną granicę



Wciśnięty między góry, a Panj afgański kiszlak



Już w Garmczaszma. Krótki opis:

- kapuśniak podgrzewany w miedniczce na czymś w rodzaju grzałki,
- grzałka na kredensie, w którym znajdują się część naczyń do użytku bieżącego,
- obok kredensiku z lewej opiekacz irański, to w nim wyrobione rano ciasto przerabiane jest na lepieszki. W środku mieszczą się dwa placki
- przed opiekaczem termos na czaj,
- z prawej dwa wiadra ze świeżą wodą ze źródła



Pozostałość po wojnie rosyjsko-afgańskiej lub domowej z 1993r



Punkt graniczny jeszcze z tej perspektywy



Po drodze tankowanie w..



Pamircy spędzają bydło na wieczór do koralii



... w narzanie, czyli źródle mineralnych wód. Może wygląda nie ciekawie, ale woda smakuje wybornie



Droga do Khorog



Wspólna, pożegnalna kolacja

Dzień osiemnasty - 2008-09-11

Zarządzam odwrót. W Khorog ponownie nie ma prądu i Internetu, więc musicie cierpliwie czekać na dalsze relacje. Zatrzymuję się przy bazarze, szukam klasycznej pamiirskiej czapki na okazje specjalne.

- Ile ta czapka?
- 30 somoni, to bardzo dobry wybór, nie kitajska robota.
- Ładna, ale droga!

I odchodzę. Po 5 minutach drugie podejście, tym razem kobita mnie zaczepia.

- Weźmiecie za 28!
- Mogę dać 20.
- Nie, za 20 nie pójdzie, może niebieska?
- A ile niebieska?
- Niebieska za 26.

Ale mnie się podoba czerwona.

- Bardzo drogo! Mnie się podoba czerwona.
- Za 25 somoni to ja kupuję i dlatego nie mogę sprzedać taniej.
- Mogę dać 22.
- Nie, ja dałam za nią 25, taniej nie oddam.
- No nie wiem, 25 to ja nie dam, bo już taką jedną w Murghab kupiłem za 20!

Blefuję oczywiście i muszę dać szansę kobiecie przespać się z tematem☺ Najgorsze, że na całym bazarze tylko dwie babki sprzedają te czapki i obie obok siebie. Ostatecznie przy trzecim podejściu kupiłem tę czerwoną za 23 somoni. Z racji mego nazwiska, mam pomysł, co by tych czapek z różnych regionów nazbierać trochę. Bazar opuszczam z czapką i dwoma browarami, tak liczę i liczę te wariaty i wychodzi, że praktycznie na nic mi już ich nie wystarczy. Najbardziej przejechałem się na paliwie i mimo wsparcia Elwooda, tu największa konsumpcja waluty. Szczerze pisząc, liczyłem, że po prostu taniej te paliwo zanabędę. Figa z makiem jednak...

Obieram kurs na dolinę Bartang, ekscytująca droga przez serce Pamiru. Można by rzec, że jakąś europejską namiastką tej drogi jest Grossglockner Hochalpenstrasse, ale tylko namiastką. Przyrównuję je ze względu na piękno i majestat gór. Tankuję na nowej stacji na wylocie w kierunku Duszanbe. Z tego powodu paliwo jest po okazyjnej cenie znaczy 4, 50 somoni, a nie 5 jak wszędzie. Korzystam z tego skrupulatnie i wlewam...12!☺. Mimo wszystko, to dużo drożej niż w Kirgistanie, a to, co mam jeszcze w kanistrach powinno

spokojnie wystarczyć. Przede mną 278 km przez lite góry do Kara Kul. Wiele też sobie po tej drodze obiecuję!

W Rushan odbijam w prawo, tu do Panj wpada Bartang, niesie ze sobą niezły ładunek emocji. Droga trudna, wymagająca dla sprzętu i charakteru... może jednak zawrócić?

- Nie i jeszcze raz nie!! Mówię sam do siebie.

Droga wije się między szczytami, tuż przy korycie rzeki. Mimo ładnej pogody, jadę prawie cały czas w cieniu i tak sobie rozmyślam, czy mnie czymś zaskoczy. Na pewno warto poświęcić więcej czasu tej drodze, daje ona dodatkowe możliwości eksploracyjne, choćby jeziora Sharez czy lodowca Fedczenki. Na 45-tym kilometrze mijam Uaza ogórka wiozącego grupkę podpitych Tadżyków. Zapraszają mnie do siebie, ale kierowca przekazuje złą wiadomość:

- Na 105-tym kilometrze rzeka zabrała drogę, nie przejedziesz...

- Na pewno jest nieprzejezdna?

- Nie masz szans, nawet Ural nie przejedzie!

Ech, co za pech! Nie zamknę pętli grubszych czarnych dróg wytyczonych przez pożyczoną mapę Pamiru! Nie ma co gdybać, zawracam. Ponoć informacji na temat drogi mogłem zaczerpnąć w jakimś instytucie komunikacji, czy jakoś tak w Khorog, ale tu z tą informacją to często na opak wychodzisz. Jak mówią, że droga super, to mało nie utopisz auta, jak, że zła, to przejeżdżasz na luzaku... jołki połki.

Po trzech godzinach melduję się ponownie na stacji paliw w Khorog, tym razem jednak tankuje 32l, by uzupełnić to, co zużyłem i żeby mieć zapas. Najgorzej, że już stosunkowo późno i pewnie do Murghab przyjdzie mi jechać po ciemku! Szlag by to. Żegnam szefa stacji i w drogę ku granicy, mam 36 godzin by tam dotrzeć, dzisiaj chcę dojechać do Dzhelondi. To miejscowe sanatorium, przynajmniej rzucę na nie okiem, nocowałem tam rok temu.

Na rogatek Khorog zatrzymuje mnie GAI. Marnuję tu dobre pół godziny. Wkurwiający matoł próbuje na siłę wymusić ode mnie cokolwiek. Na początek przyjebał się do przyciemnionych szyb i zabiera mi dowód rejestracyjny.

- Słuchaj, może lepiej oddaj mi ten dowód, bo właśnie odmówiłem kolacji konsulowi Afganistanu i naczelnikowi KGB w Khorog. Jadę prosto z Afganistanu, jestem członkiem międzynarodowej ekspedycji i w sumie to chętnie wrócę do miasta i przy okazji pożalę się. Od razu poznałem gnoja, to ten sam, co mnie w zeszłym roku złapał na rogatek, tyle, że przy wyjeździe na Rushan. Wtedy faktycznie na liczniku miałem 100km/h, a on to bez suszarki wyliczył. Pech polegał na tym, że najniższy nominał jaki mieliśmy w portfelu to

20\$ było. Rozmienić nie chciał. Zaczął co prawda od 100\$ i od zabrania dowodu (za ten numer go poznałem), ale skończyło się na tychże 20-tu.

- Jakiej ekspedycji?!

- Międzynarodowej, ale za 4 dni mam spotkanie z naszym i rosyjskim konsulem w Ałmaty, stąd ten pośpiech... ciemno już.

Plotę co mi tam do głowy przychodzi. Przez chwilę myślałem, że nie kupił...

- No dobra, dajcie jeszcze prawo jazdy.

Wyciągam więc dokumenta, tyle, że ten mi się klinuje, bo wielkości dzienniczka przecie. Tak się z nim szarpię i szarpię, co mnie podkurwiać zaczyna. Wyszarpałem go w końcu z dwoma ostatnimi studolarowymi banknotami... a te bladź jedna, wiatru złapały i wyfrunęły mi z saszetki! Ściskam więc mocno w garści to co mi pozostało i nura za banknotami. Uprzejmie donoszę, że wszystko działo się na skraju drogi lekko powyżej koryta rzeki Gunt. Banknoty, jak ten Samotne Zielone Żagle, runęły się w kipieli bystrzycy a ja... za nimi. Tyle tylko, że m nurtu nie sięgnął, nie wspominając o walucie, bo z całym impetem zajebałem goleniem w wystający pień...

A potem...?! Potem, wymieniłem z imienia ekspresowo wszystkie możliwe córy Koryntu w doskonałym kontrapunkcie innych odgłosów paszczowych, podsumowujących stan golenia prawego.

- Na chuj ta kontrola?! Co ci, kurwa przeszkadzają przyciemnione szyby?!... itd., itd., itd..., by nie nakręcać za bardzo spirali nienawiści, artykułowałem to wszystko polskim literackim.

- No to daj cokolwiek, bo ja mam dzisiaj... urodziny! Próbuje to zrekapitulować milicjant.

- Nie! Bom bida z nędzą. Wszystko wzięli już twoi kumple.

Zostawiam gnojka i ruszam. Na podziwianie tego, co wokół, pozwala mi tylko księżyc w miarę swoich możliwości. Droga pnie się do góry, dość spory ruch, więc często wachluje długimi światłami. W pewnym momencie zmieniam na światła mijania i nic... nie widzę, poza malutkimi oddalającymi się dwoma światłami w lusterku bocznym! Nawet nie mam się jak zatrzymać, bo kompletnie nic nie widzę, odruchowo naciskam na pedał hamulca, ale trzeba zjechać na pobocze, tyle, że tego również nie widzę. Na szczęście nadjeżdża z naprzeciwka samochód i oświetla mi na tyle teren, że znajduję małą zatoczkę. Szybka kontrola bezpieczników, przy okazji wymieniam dwa. Coś szwankują przekaźniki, kręcę manetką w te i we wte i nic... Jak tak, to tak, muszę tu zostać przy drodze, księżyc nie świeci tak, aby jechać bez świateł. Po 15 minutach odruchowo dotykam manetki i... światła są! Szybko się zwijam i przed 22-gą dojeżdżam do Dzhelondi.

Wiele nie widać, tylko trzy zrujnowane i nieczynne stacje paliw, więc tu staję na nocleg.



Zostawiam czytelne info kumplowi, z którym nie dane było się spotkać po drodze. Killka dni później Bodziu odbierze ładowarkę i naturalnie skorzysta ze źródeł



W drodze do Khorog



Niestety, ja właśnie wyjeżdżam z doliny, do której wjechałem dwie godziny temu. Droga naprawdę ładna, rzeka Bartang przeciska się wśród szczytów, tworząc liczne przełomy. Na pokonanym przejeździe odcinku droga ciągnie się tuż przy korycie (inaczej należałoby kuć ją w skale), stąd pewnie tak jej stan zależny jest od kaprysów pogody. Jestem ogromnie, przeogromnie zawiedziony. Dokładam sporo km i nic z tego praktycznie nie mam, tylko dziura z budżecie powiększa się



Wjazd do Garmczaszma, ja wyjeżdżam, źródła dymią



Panorama Khorog, ja pojedę prosto. Tu droga z Iszkaszim krzyżuje się z Pamir Highway, w prawo do Murghab, prosto do Duszanbe. Za Rushan, w którym ja odbijam w prawo w dolinę w Barthang, droga do Duszanbe staje się bardzo uciążliwa, podróżników czeka zaminowany,



Jeszcze tylko rzut okiem za siebie. Dolina Bartang... jeszcze tu wrócę!



Wcześniej mieliście okazję zapoznać się z klasycznym hermanem (czyli młócką zboża). Tu herman dla "leniwych". Najeżdżasz na tę kupę siana i młócisz kołami... bardzo pożądane zachowanie kierowców. Często organizatorzy odpowiednio ułożonymi kamieniami na drodze, kierują w ten sposób kierowcę do celu

wielokilometrowy odcinek z piękną przełęczą. Z przełęczy tej (Khaburabot), z wysokości ponad 3400m rozpościera się jedna z piękniejszych panoram Pamiru Centralnego. Pik Komunizmu i wiele innych... Okolice przełęczy przypominają sieć pajęczą, po nitkach której, poruszają się saperzy. Nitki, to oznaczone kolorową taśmą rozminowane ścieżki... wygląda to bajecznie



Wracam do Khorog



Tablica stoi przy nowowbudowanej, nowoczesnej stacji paliw, mój kieunek oczywisty



W druga mańkę wygląda to tak

Na wylocie z Khorog, gruzawik, który pierwszy zmierzył się z nowowytbudowanym Pamirskim Traktem. W tamtych czasach pokonanie całej Pamir Highway to było nie lada wyzwanie. Sporo w temacie pisze Cyryl Stanukowicz. Pokonanie Akbajtału było znacznie trudniejsze, droga biegnie obecnie inaczej, kiedyś Trakt ciągnął się wzdłuż rzeki Akbajtał, drogę widać na moich zdjęciach, które dołączę później. Dzisiaj jest ona nieprzejezdna, chyba, że dla Was.

Z lewej strony na zdjęciu widoczna jest grupka kolesi. W momencie, kiedy zatrzymałem się aby zrobić zdjęcie, jeden z nich ruszył żwawo w moim kierunku i wtarabanił się w kadr. Ja rozżalony wycofałem, nie miałem ochoty na rozmowę, a zwłaszcza na taką:

- Zakaz fotografowania! Należy płacić!
- Osuń się...
- Zakaz!!
- Spierdalaj...
- Szto?!
- SPIERDALAJ! Nie rozumiesz?!

Kolesi stanął jak wryty i wycofał się... ja zrobiłem fotkę. Potem zatrzymał mnie kolejny pojeb, ale już wiecie jak się to skończyło.

Dzień dziewiętnasty - 2008-09-12

Wstaję raniutko, tuż po wschodzie słońca, na wysokościomierzu przybyło w międzyczasie ponad 1000m. Jestem lekko rozczarowany, w zeszłym roku byłem zachwycony otaczającym mnie "marokańskim" Pamirem... może z podwórka "sanatorium" widok lepszy?

Nie mam czasu sprawdzać, wolę ten czas poświęcić na kontemplację tego, co mnie czeka dzisiaj. Wschodni, księżycowy krajobraz, różni się zdecydowanie od pozostałej części Pamiru, mnie zachwyca.

Zaraz po prawej powinienem dojechać do zjazdu do doliny Shakh dara... tak jest mostek, i ten podjazd. Był miejscami wymagający, choć teraz myślę, już o nim zupełnie bez emocji. W perspektywie czeka podjazd na Koytezek, to ponad 4200m. Za nim w lewo zjazd nad Yashil Kul, zaraz po drugiej mańce Khargusz pass...

Gdzieś tam za łańcuchem Alichuru okoliczne wody zbiera Zor kul, no tam to dostałem szkołę...

Teraz mknę długą doliną okupowaną przez pasterzy kirgiskich, co bardziej sprytni zapraszają do przydrożnych barów, czyli jurt, fajne te napisy. Dolina Alichuru jest największym skupiskiem kirgiskich jurt w całym Pamirze, jest ich tu naprawdę sporo. Ale nie dziwota, bo soczysta zieleń traw, stwarza doskonałe warunki do wypasu Jaków.

Teraz trochę akcentów amerykańskich, głębokie wąwozy, pozostałe po wiosennych powodziach, ogromnych rozlewiskach, mieszanina błota i otoczków. Zatrzymuję Elwooda, ale tym razem z powodu trzepocącego za szybą koła... zapasowego. Mocowanie zrobione w warsztacie, to chuj nie robota. Na wyjebach muszę dociągać mój zestaw pasem, co jakieś pół godziny. Wkurwiające to strasznie i spowalnia okrutnie. Kicam na dach, najpierw mocuję należycie pierwsze koło, dopiero potem razem mogę spaść oba taśmą. Doszedłem już do wprawy, marnuję tylko 10 minut... kolejne.

Mijam zjazd nad Zor kul, tę drogę będę długo pamiętał! Zaliczając post wpadam do Murghab. Krótka wizyta na bazarze i zakup kołpaków, czyli kirgiskich czapek dla siebie i znajomych. Pamirska szczególnie ładna, okolicznościowa, z pomponikiem. Na koniec tankowanie, czyli kolejne 10 litrów, tak na wszelki słuczaj, tym razem z baniaczków 5l po wodzie. Muszę przyznać, że do tej pory nie miałem żadnych problemów z paliwem. Po 7500km wymieniałem wszystkie filtry, w tym paliwa, i był czyściutki.

Tuż za Murghab odchodzi droga szutrowa do granicy chińskiej, na pamirskim trakcie spory ruch, w tym właśnie kitajskich Tirów. Pojechałbym chętnie na przełęcz Kulma, by, chociaż

luknąć na Muztag Atę, majestatycznego 7-mio tysięcznika... jednak nie tym razem. Przełęcz Akbajtal 4655m osiągam bez przeszkód już po raz czwarty. Biorę gpsa w rękę i idę na pobliską górkę, chcę mieć w port folio kolejnego 4-tysięcznika☺ Osiągam 4704m i jestem... wykończony. Kotlet w płucach, zresztą, co chcecie, ale powietrza tam nie ma! Patrzę pod nogi, a tam rozpadający się sandał. Przystroga dla tych wszystkich, którym się wydaje, że gdzieś pierwsi byli☺. Nie ulega wątpliwości, że lepsza okazja do zdobycia konkretnej górki, może się już nie trafić. Mogłem się wdrapać na tą, po drugiej stronie przełęczy, ale nogi mam tak miękkie, że odpuszczam. Z góry dostrzegam jakiś cywilny pojazd pamiński, zmierzający ku przełęczy. Gdy schodzę widzę trójkę pasażerów, ale auta nie ma. Po chwili w atmosferze huków, wystrzałów, sapań wtacza się... Moskicz. Ta trójka musiała jakoś pomóc biednej maszynie! Na przełęczy huśtawka temperatury, od 4 do 12 st, wiatr tradycyjnie, miejscami porywisty. Od strony północnej nadciągają chmury, pora spadać.

Po drodze jeszcze Kara kul, niżej pogoda fantastyczna, świeci słońce i... pada śnieg. Zjeżdżam nad jezioro, tylko trzeba uważać, bo przy samej tafli grunt jest bardzo grząski i grozi wklejeniem maszyny. Urządzam sobie sesję zdjęciową, no przecudnie jest. Tylko z lekkim smutkiem spozieram w kierunku drogi, którą miałem pokonać, notabene, kończy się ona przy jeziorze, ale jej nie odnalazłem. To tylko świadczy o tym, jak często jest ona użytkowana. Droga z doliny Bartang...

Z Kara kul już tylko Kyzylart i granica. Podjazd pod przełęcz mnie przeraził. W pewnym momencie na tarce, Elwood zaczął się trząść jak w malarycznej gorączce! Miałem wrażenie, że się rozpada... Zatrzymuję się pełen obaw. I słusznie, lewy słupek przedni złamał się jak zapałka. Jebał to pies, zobaczymy jak będzie w praniu. Ruszam powoli, jadę nie więcej niż 5km/h, a auto podskakuje jak piłeczka pingpongowa dławiona dłonią na stole. Jeżeli pójdzie mi przednia szyba... trudno mi to sobie jednak wyobrazić. Na szczęście już granica, tam w trakcie kontroli razem z psem brygady antynarkotykowej szczegółowo zajmuje się wybranymi elementami auta. Gdy ja lukam na słupek, stan zawieszenia, itd., kierownik psa wydaje komendy:

- Czi, czi, czi...
- Noga, czi, czi, czi...

Tak parę razy, w końcu pies podniósł nogę w wymownym geście, ale żołnierz nie pozwolił dać mu na upust fizjologii. Kirgizka granica, to tylko pogaduchy, bez historii. Wjeżdżam w dolinę Alajską. Uwielbiam ją, to niesamowity twór. W Sary Tasz odbijam na zachód, wiem, że już nie zdążę pod Pik Lenina, który jest teraz moim celem więc rozbijam biwak nad rzeką Alaj. Dotarłem do brodu, ale nie mam już siły zbadać go organoleptycznie.

Generalnie, to ponoć wcale nie jest łatwo dojechać do tur bazy pod Pikiem, nie chodzi o trudności techniczne, po prostu trzeba tam trafić, dróg wiele i prawie każda sprowadza na manowce. Do tego rzeczki spływające z dolin przyległych do Piku, wymyły ogromne wąwozy w glebie, których ściany, są miejscami nie do sforsowania. Nie ma ciśnienia, mam teraz prawie dwa tygodnie na przejazd przez Kirgistan. Spawanie słupka wiąże się z rozbiórką całego przodu, demontażem deski i wyjęciem przedniej szyby. I tu problem, bo znajduję dwa odpryski nie dalej niż 4cm od uszczelki. Może więc, mi przy demontażu ta szyba strzelić...

Szybko zapada zmierzch, a przede mną skąpany w zachodzącym słońcu Pamir i ogromny Pik. Cicho, tylko trochę wieje, dlatego nie stawiam rolety.

Nie spieszy mi się już nigdzie, przed zamknięciem oczu, rzucam ostatnie spojrzenie na szczyt, widoczny w świetle księżyca. Myślę jeszcze o tym słupku, czy to oznacza koniec OR?... pażywiom, uwidzimy.



Słynne Dzhelondi. Ten rozległy budynek, to hotel. W zeszłym roku tchnął Gomułką, miejscami Gierkiem i był pierwszym cywilizowanym noclegiem od wyjazdu z Polski. Jechaliśmy we trójkę i z Sary Tasz udało nam się aż tutaj dotrzeć. Poniekąd byliśmy zmuszeni, bo Duduś zabaliał na wysatu i nie było wyjścia. Zamiast noclegu w Murghab, trzeba było Dudusia jak najszybciej zwieźć niżej. Chłop gasł jak świeczka, kilometry się okropnie dłużyły, bo jechaliśmy już po zmroku. Przed przełęczą Koytezek zjechaliśmy na "chwilę" do jakiegoś gospodarstwa, gdzie nas ugoszczono kolacją, a ja z wrażenia zostawiłem tam okulary. Do Dzhelondi dotarliśmy przed 22-gą, wszyscy byliśmy wykończeni, ale najważniejsze, że te 3000m na których się znaleźliśmy (z prawie 4km) dawały szansę Dudusiowi dojechać do siebie. Wczesny Gierek wydawał się Hiltonem i padłem

jak kawka na komunistyczne wyro, Franek jednak kusił mnie kąpielą w hotelowym basenie. Bardziej skusił browar, do tego chłodny. To masochizm biorąc pod uwagę temperaturę wody i zapach zgniłych jaj. Opierałem swoje zwłoki o ściankę basenu, socząc browara... to takie chwile, których nie zamieniłbyś na nic.

Wysokie góry to nie przelewki, zwłaszcza, gdy są eksplorowane w taki sposób. Czyli pokonujemy duże różnice wzniesień w bardzo krótkim czasie,, bez wysiłku fizycznego.

M41 pokonana w Kirgistanie nie daje żadnej szansy na aklimatyzację, trzy przełęcze po drodze, osiągamy szybko i zjeżdżamy ponownie na 1000m. Podjazd pod Taldyk Pas wynosi nas od razu na ponad 3000m i problemy mogą się pojawić, jeżeli wjeżdżamy w Pamir. Pokonując Kyzylart jesteśmy na min 3900m, Murghab to 3630m! A w jego okolicach wypada z reguły nocleg.

Stąd i ja miałem swoje 5min słabości (na 4200m), nie było źle, ale nie miałem specjalnie na kogo liczyć, to nie buduje potencjału, raczej obniża go.

W zeszłym roku, jeszcze na kilka m-cy przed wyjazdem prosiłem Dudusia, aby zadbał o fizyczny element swojego przygotowania. To typowy mol książkowy, kurza klata i takie tam. Trening, poza tym, że podnosi każdy próg (wytrzymałości, odporności na ból i itp), powoduje przede wszystkim lepsze gospodarowanie tlenem. Wzrasta pojemność płuc i zdolność do absorpcji większej ilości tlenu, co jest szczególnie przydatne w Pamirze, bo tam tego tlenu o połowę mniej w powietrzu. Mieliśmy , co prawda spędzić w Pamirze tylko 4 dni, ale wyszło... ponad dwa tygodnie!



Z Dzhelondi Trakt Pamirski daje ostro pod górę. Czuć spadek mocy silnika



Ostry podjazd, kilka serpentyn i osiagam księżycowe plateau, wysokość 4200m. Asfalt się zwinął ale szuter ok. Można grzać



Mój ulubiony krajobraz



... którą przecina Pamirski Trakt

... osada Alichur 3963m i rozległe pastwiska



Powoli zbliżam się do doliny Alichuru



Brak oznak jakiegokolwiek życia



Nie skorzystałem, w tle Alichur



W lewo do Yashil Kul, w prawo na przełęcz Khargusz, prosto do Murghab. Jadę na luzie dobre 10km



Sasyk Kul 3820m



Dolina Alichuru jest największym skupiskiem kirgiskich jurt w całym Pamirze...



Sasyk Kul



Wokół pustynia...



A za górką...



... z jej soczystą zielenią...



... i stadami jaków...



Za nim jednak wjechałem do miasteczka, tradycyjna kontrola. Przy okazji wyciągam moja pamińska czapczkę i pytam sie . czy aby to na pewno męska, bo ten pompon...

- No pewnie, że męska! Na

wesela... konfiskuję!

- Ja ci akurat dam!

Śmiech



... przypomina...



Gdzies tam Muztag Ata (7546m) schował się w chmurkach, ledwo widoczny



... raj, gdyby...



... kurwa, nie to ciągle skikanie na dach i poprawianie koła.

Towarzyszy mi potężny wąwóz, ledwo widoczny

Gastinica Murgab. Pokoje hotelowe przypominają koszary, prycze, piec, szafa, stolik. W zeszłym roku kimałem tu w drodze powrotnej z Duszanbe. Prycza miała tak wyciągniętą siatkę, że w końcu zaległem na podłodze. Wpadłem z deszczu pod rynnę, bo mało mnie zjadły, te małe cholery.

Nocują tu kupcy chińscy, handlarze, przemytnicy... Można zjeść, wypić, klimat zajebisty.

Rankiem, gdy temperatura spadła poniżej zera, cały w oparach myłem się korzystając z ciekawego sekretarzyka



Tam gdzieś droga do jeziora Zorkul, czyli jeziora Smoków



Kitajski TIR, chwilami sunie jeden za drugim. Z Kulma Pas (przejście graniczne z Chinami) do Khorog i do Duszanbe. W tle Murghab



Wizyta na bazarze



Stacja paliw, paliwo tu raczej podłe, dolewam na wszelki słuczaj. W kanistrach tak czy owak zapas jest



W lewo zaś tą doliną dotarlibyśmy do ujścia rzeki Murghab do jeziora Sharez i łańcuchu Muzkol



Kirgizi, na ich głowach kałpaki, które zamierzam tu kupić



Przy stacji paliw warsztat



Ale ja trzymam się już tylko Pamirskiego Traktu



Typowe stoisko, sprzedaż z takiego mini kontenera



Gotowy do startu, Sary Tasz 233km



Gdzieś tam Rangkul



W prawo do Kulma, na granicę chińską



Czczekta u podnóża jakiegoś 5-ciotysięcznika (dokładnie 5524m)



Za mną Murghab



Wypas Jaków w drodze na Akbajtal



Podjazd pod przełęcz Akbajtal,
4655m



Mini panorama w kierunku
północnym (jak trafisz na
panoramę, to kliknij na nią, coś tam
posklejałem jak umiałem.)



Kierunek Karakul



4704m... sapie jak lokomotywa, w
dole Elwood na przełęczy



Zjazd



W tym miejscu płot oddzielający
dawny ZSRR od Chin jest najbliższej
traktu, jakies 7-8 metrów. Sesja
przy płocie



Niezmiennie pięknie



Za mną przełęcz



Gonił go Yeti... jeżeli wydaje ci się ,
że jesteś pionierem...



Widok na zachód



... czy hardcorowcem 4x4



Stary trakt wiódł tędy



W dole Karakul, pada śnieg, świeci
słońce, jest... 8st



Elwood w morzu karakulskiej soli



Karakulskie osiołki



Cytuje zapis oryginału z zeszłorocznej wyprawy

"To co dominuje w całym regionie to osły. Dziesiątki... nie, setki osłów! Tak ogromnej osłej masy nie widać nawet w polskich szkołach i urzędach .

Osiół czyli iszak, jest ekonomiczną podstawą każdego przedsięwzięcia wymagającego w swej istocie środka transportu, uściślając, niezawodnego środka transportu. To bardzo mało wymagające od otoczenia zwierzę, wytrzymałe, pracowite i odporne na trudne warunki. Zje wszystko i żyje dłużej od konia. Koń to mercedes w tym towarzystwie. Osły spotykamy wszędzie, pasą się i często korzystają z drogi celem... no właśnie trudno powiedzieć w jakim celu, zwłaszcza, gdy taki stoi nie ruchomo przez kilkanaście minut i ani

mu powieka drgnie. Dłużej nie obserwowałem, przypominają wtedy posągi wykute w skale, no i mają jeszcze jedną bardzo ważną zaletę, w przeciwieństwie do krów, które wyraźnie konkurują z osłami w zajmowaniu wolnej połaci asfaltu na drodze. Otóż, jak stoi, to stoi i jak jedziesz, to spokojnie go mijasz i raczej nie zrobi głupiego ruchu. Krowa zaś na bank pójdzie w to miejsce, które ty wybierzesz, aby ją ominąć. Nie wiem jak one to robią, ale w podejmowaniu tej decyzji zawsze wyprzedzą nawet najbardziej przezornego i cwane go kierowce „No krów po prostu nie znośłem.”



Jeszcze ciut Kara kula



Tą doliną można się dostać do Piku Lenina od tadżyckiej strony



Już w strefie niczyjej, bez tarki idzie żyć z tym złamanym słupkiem. Nabieram wiary w siebie i przywracam w Elwooda.



Tą też



Tą panoramą żegnamy się z Kara kul, jeziorem bez życia, ale niezwykle pięknym



Pasterz nadawał przez komórkę, jak go mijalem... fajny widok. Ach te komóry wredne...



Przede mną kirgiska granica...



W drodze do granicy



Tam z kolei Chiny



... a zostawiam takie widoki...



Dolina prowadzi do lodowca
Korzeniewski



Jadę więc w jego kierunku, droga
wydaje się oczywista.



Przy świetle Łysego dumam, że to
już chyba koniec wielkiej
przygody... Myliłem się, baaardzo
się myliłem



Dolina Alajska i Tien Szan



Jeszcze przed zmrokiem odnajduję
brod, przechodząc przez tą
odnóżkę...



Pik Lenina w zachodzącym słońcu,
zapada mrok, muszę znaleźć
szybko miejsce na biwak



... mam go przed sobą i PiK w tle

Oczywista okazała się rzeka Alajka,
więc tu się rozbijam. Zjechałem
wcześnie, jeszcze przed Sary
Mogoł, a stamtąd prowadzi znana
droga do tur bazy. Zobaczymy jutro

Dzień dwudziesty - 2008-09-13

Wstaję bez pośpiechu i odkrywam, że to... 13-tego. O nie, jest tak pięknie, że nigdzie się nie ruszam! Chcę być sam i delektować się tym, co przede mną. Pod Pik podjadę na koniec dnia, teraz zajmę się słupkiem, choć najchętniej leżałbym do góry kołami.

Rozdziewam się do kąpieli, paraduję tylko w majtkach, a tu znikąd pojawia się pierwszy Kirgiz. Po nim drugi i trzeci, w końcu całe stado baranów z kolejnym gagatkiem... No tak, pobyłem sobie sam. Miło, tyle że, kolesie ruskiego ni w ząb nie znają. Więc tak sobie przyjemnie razem trwamy, oni kucają, a ja lepię słupek.

Jeden z pasterzy przytargał skądś wędkę i mówi tylko:

- Ryba, ryba. Pokazując na mnie.

Wiec ja, pokazując na niego mówię:

- Ryba, ryba...

Po pół godzinie Kirgiz przynosi rybę i daje mi ją. W międzyczasie ugotowałem grochówkę z dodatkiem makaronu, którą wszyscy z ochotą konsumowali. Upiekłem rybę, mało tego pstrąga, ale więcej ni da rady, bo się wędka rozpiżdziła. Na koniec, niemal na siłę zostałem wsadzony na konia. Na koniu mnie jeszcze nie widzieli. Miałem nawet razem z nimi, na tym koniu ganiać za baranami! A niech to, gdybym tylko umiał.

Niebo powoli zaciąga się, ze wschodu nadciągają ciężkie chmury, a z alajskich łąk u podnóża Pamiru zmierza ku mnie Ził ciągnący przyczepę. Zestaw ogromnie przeładowany kupą siana, a na nim siedzą szczęśliwi Kirgizi. Biorę aparat do ręki i idę nad bród, Ził ładnie nurkuje po przednią maskę i robi nagły zwrot na mnie. Widziałem już kilka pojazdów, które ten bród brały, bo sam go chciałem pokonać dzisiaj, ale wszystkie trawersowały rzekę, a ten jedzie prosto na mnie!

Ech, pomyślałem, fantazja waditiela, co tam. Fantazję trza mieć! Ził gna prosto na mnie, ja jak reporter sportowy, zabiegam klienta z boku i... przyczepa leci na mnie z całym impetem! Piękna wywrotka!

- Stop druzja, drę się w niebogłosy!

Kierowca nie słyszy jednak i w amoku off-roadu wlecze zwłoki z sianem. Po wykonaniu jednak chyba z 10-ciu pajaców z mojej strony w samym majtkach w końcu, musiał na mnie zwrócić uwagę i staje. No masz babo placek..., co teraz. Konsylium się zebrało i debatują.

- Ok, rebiata, tam stoi moja maszyna. Z jej pomocą powinno się udać postawić przyczepę!

Pomysł od razu podchwycony, podjeżdżam, wyciągam pas, szybki montaż i... przyczepa stoi na 4 kołach! Niestety jednak, nie da się jej ciągnąć, a ja mam się zbierać. Pogoda padła, więc pod Pik pojedę jutro. Pakuję powoli manatki, chłopaki przyjeżdżają rozładowanym Ziłem i pakują siano na oba równomiernie. Jak była przeładowana przyczepa, pokażą zdjęcia. Po załadunku, Ził był pełen i cała przyczepa!

Ruszamy, każą mi jechać za sobą, zabieram tylko jeszcze jednego pasażera, to brat kierowcy. Ostatnie chwile przeczekałem w aucie, bo wiatr się rozszalał, ale popadało tylko przez chwilę. Gotowy do wyjazdu jeszcze wykonałem kilka wrzutów siana osobiście przy aplauzie pozostałych.

No, więc jedziemy, Ził powoli, a ja za nim, gdy nagle mój pasażer krzyczy:

- Bystra, bystra!

W końcu wyskakuje w biegu i krzyczy POŻAR, POŻAR!

Faktycznie teraz ja dostrzegłem, że spod silnika bucha coś na żółto-czerwono. Ził staje, wszyscy zeskakują i sypią piachem, ktoś biegnie po wodę do pobliskiego strumyka. Chwytam za gaśnicę, ale już po strachu. Rany Julek, ale byłby kotlet gdyby się siano zajęło, a na nim 5-ciu chłopów!

Wszyscy komentują, więc dodaję:

- No, waditiel, chciałeś chłopaków na szaszłyk przerobić i pchnąć na bazarze w Sary Tasz.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

Kończymy wspólną kolacją z ćwiartką na twarz. Śpię razem z chłopakami. Okazuje się, że to wspólnota sąsiedzka, która po kolei obrabia pola sąsiadów. Będą tak jeszcze "walczyć" do połowy października.

Główne danie kolacji to kartoszki podsmażane z cebulą, podstawa menu nie tylko tutaj. Dodaje, że u nas tak te się jadało, ale z kwaśnym mlekiem. Migiem ląduje kefir i wszyscy za mną nabierają ziemniaki na łyżkę i potem do kefiru. Idę jeszcze do Elwooda i przynoszę słoik skwarek, które także zdobywają uznanie.

Może za kilkadziesiąt lat, będą tu przyjeżdżać turyści i płacić za taki zestaw jak za zboże. Jak na ten przykład w Austrii za placek knechta, kiedyś podstawę niewyszukanego menu lokalesów, a dzisiaj za porcję ziemniaków z makaronem płacisz ponad 50zł!

W domu jest bardzo ciepło, więc pod tradycyjnym pledem kładę się tylko w gatkach i szybko zasypiam.



Rankiem pogoda piękna,
podejmuję decyzję, że nigdzie się
nie ruszam. Cisza spokój...



... do czasu



Mogłem jeszcze pstryknąć fotkę, tej
masie baranów, co podeszła
prawie pod samo auto



Zbliżenie na słupek, przecięty na
całej podstawie. Do tego wyłamał
się spory kawałek i moje zabiegi
nie wiele dały, jak się później
okazało



Konsylium



Nic z tego, siano tak się zsunęło,
że przyczepę trzeba zostawić,
pojechać rozładować Żiła i wrócić.
Ja dostaje polecenia pakowania
się:
- Darek, a wódkę pijosz?...

Tylko smutny kopiec siana został



No to ja się pakuję, tym bardziej, że
pogoda coraz bardziej pod psem

Elwood w akcji

... i pajechali



A oni ałotam, gdzie Sary Mogoł,
małej osady przycupniętej u
podnóża Tien Szan



Ino się kurzyło za nimi okrutnie



Tylko jeszcze odpalić...





Ciężkie chmury wiszą nad doliną Alajską, dzisiaj więc na pewno z Piku nici. Tym łatwiej było mi przyjąć zaproszenie Kirgizów



Po niecałej godzinie byli z powrotem



Jedziemy do Sary Mogoł. Zaraz wybuchnie pożar, potem kolacja i lulu

Dzień dwudziesty pierwszy - 2008-09-14

Położyłem się wczoraj rozleniwiony z takim postanowieniem: jeżeli będzie pogoda, szukam swojej drogi pod Pik Lenina, jeżeli nie, jadę do Osz.

Rankiem budzi mnie czyste niebo, więc wstaję w bardzo dobrym humorze razem z hazjajem, przed 7-mą. Przy okazji dowiaduję się, że drogą przez ten bród, nad którym stanąłem nie zawiedzie mnie pod Pik.

Na śniadanie robie wszystkim budyń czekoladowy, większości bardzo smakuje. Najlepsze, że mleko jest tak treściwe, iż na jedną torebkę leje litr mleka, a i tak budyń wychodzi gęsty. Jadę do Sary Mogoł, kilka km dalej na zachód i skręcam pod Pik. Dróg jest wiele i łatwo się pogubić, mimo, że widzisz go przed sobą jak na dłoni. Przed nim jednak jest kilka hopek i sporo wiosennych koryt, które powstrzymają nawet Urala.

Klucze między hopkami i w końcu parkuję pod Pikiem! Ale tur bazy nie ma. Rozbijam obóz na uroczej polance nad oczkiem wodnym, po prostu bajka, raj, wsio w jednym. Po chwili zjawia się pasterz na koniu, gwarzymy w milczeniu☺, bo kolega nie kuma rosyjskiego. Gdy przestaliśmy gwarzyć, dowiedziałem się tylko, że tur baza jest za wąwozem, który mam przed sobą, ale by tam dojechać trzeba nadłożyć 20km przez bród lub 40km przez Kaszka Su, tyle od niemowy wyciągnąłem. Co mi tam, jest tak bajecznie pięknie, że nie żałuję, że się tak pogubiłem. Lecz i tym razem pogoda psuje się po południu. Szybko więc zwijam obóz i lecę do tur bazy. Po drodze odnajduje przejazd przez wąwóz dzielący mnie od tur bazy, potem bród, ale to cała masa wody, która wali do Alaju, zapadł już zmrok, co mnie ostudza. Brak mocy na penetrację dna, reduktor nie rabotajet i mógłbym utknąć po środku, do tego zimno... włączyłem wsteczny na psysze.

Zjeżdżam, więc do Sary Mogoł, a ponieważ noc już naszła, staję pod jakimś barem i wbijam się w śpiwór. Przed snem kombinuję jeszcze, ta tur baza nie daje mi spokoju... Jeżeli jutro będzie słońce... kumacie już, w czym rzecz?



Pobudka, 6.30, 3200mnpm



Gospodarstwo, najbogatszego hazjaja w osadzie



Zona hazjaja, musi przygotować śniadanie dla 8-miu chłopca



Tu gotuje się, latem wodę, czy mleko



Chłopaki ścielą wyra. Na podłodze leży w charakterystyczne wzory wełniane (z baraniej wełny) coś na wzór dywanu. To takie pledy. Tu nie ma fundamentów, podłoga leży bezpośrednio przy gruncie, a często jest poprostu klepiskiem (jak w jurtach). Te "dywany" grube na 2-4mm, wieszane również na ścianach spełniają rolę ocieplenia. I spełniają tę rolę znakomicie



A przede mną Pik Lenina, wydałoby mi się, że tędy będzie najlepiej... źle mi się wydawało



Osada przycupnęła u podnóża Tien Szan



Zbliżenie na Pik, no cudnie jest



W nocy mróz, waditel (czyli kierowca) okrył chłodnicę na noc kufajką, bo w chłodnicy woda. Później będzie spuszczał, nie stosują wynalazków typu borygo, bo i tak cieknie. W mojej kamizelce waditel teraz będzie gwiazdą szos. O takiej marzą gaicznicy, lepszego gadżetu dla namolnych gliniarzy nie stwierdziłem



Kuchnia w domu



Schronienie alajskiego świstaka



Ruszyłem do Sary Mogoł, i dalej w stronę Piku. Sary Mogoł w tle



Przedzierając się przez mniejsze hopki, mijam takie cudeńka



Wspólne śniadanie



A ja szukam swojej drogi pod Pik



Pik coraz bliżej, tylko czy tur baza też?



Niestety nie, ale ładnie tutaj



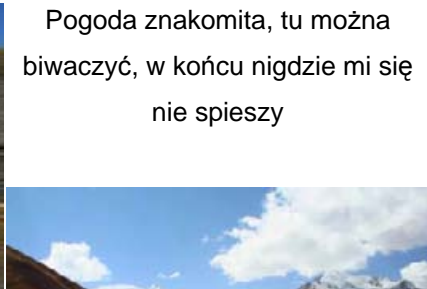
Spotykam pasterza z Jakami, który informuję mnie, że najlepiej przez Kaszka Suu... no dobra, to póchniej.



Chyba Was nie zanudzam...



Tur bazy niet. Słupy elektryczne po drugiej stronie wąwozu, który stanął mi na przeszkodzie, więc wycofuję się



Pogoda znakomita, tu można biwaczyć, w końcu nigdzie mi się nie spieszy



No dalej już się nie da, na gpsie stuknęło 3558m



Tyle, że jak ten wąwóz objechać...



Tędy raczej się nie da, a w drugą mańkę...



Tu się rozbijam



Jadę na przełaj, ale to trzeba sporo nadłożyć. Decyduję więc, się wrócić na razie na piękną polankę i tam zastanowić się co dalej



... też nie bardzo



4803m, ta górka to etap aklimatyzacji dla zdobywających

Pik



Jeszcze rzut okiem na Pik i zjeżdżam ciut niżej, nad staw



Klasyczny biwak, w słońcu ciepłko, a słońce opala w trimiga. Twarz mam już tak ogorzała, że z brodą i turbanem, spokojnie mógłbym robić za lokalesa



Sielanka pod Pikiem, wprawne oko zauważy: ale ten podróżnik doświadczony, rozbił się uwzględniając kierunek wiatru... tak... miałem farta.



Ciekawskie Jaki



Tych oczek tu więcej



W kazanie krupnik, w tle opał, czyli gównno Jaka



Po południu pogoda się rypla, do tego czasu jednak, pichciłem, dokręcałem śruby, byczyłem się, szwendałem po okolicy... pełen relaks



Likwiduję luzy zawieszenia



Dzień dwudziesty drugi - 2008-09-15

No i raniem znów wita mnie piękne słońce, więc... jadę do Kaszka Su. Tam mostek i mknę w stronę Piku. Tu znowu jednak kilka dróg do wyboru! Tym razem jednak kontrolując mapę dojeżdżam do doliny podprowadzającej mnie pod Pik. Kontroluje też wysokościomierz, pokazuje 3558m, jak wczoraj, ale tu bazy niet! No niech to chudy Mojżesz! Mijam pierwszą grupkę zwijających letnie pastwisko Kirgizów. Wielbłądy tutaj?... fajowski widok. Osiągam przełęcz, z której rozpościera się cudna panorama doliny kończąca się podstawą Piku. Nie był to więc, zły wybór, mijam kilka jurt, a po reakcji pasterzy widać, że taki koleś jak ja to rzadki obrazek. Ci pakują manatki na Ziła i zbierają się z doliny. Docieram do jej końca, dalej się nie da, bo na przeszkodzie stoi spore koryto usłane różnej maści i wielkości otoczkami ze ścianami dla mnie nie do pokonania. Stawiam więc maszynę, zabieram pół litra wody we flaszkę po Muszynie (bo tyle akurat mam) i idę na spacer.

Pik Lenina zasłonięty jest przez potężną kupę śniegu i lodu, dookoła hopki z soczystą, jeszcze zieloną trawą. Mijam stadko koni i daje na przełaj pod górę. W pewnym momencie dostrzegam Kirgiza na koniu, z lornetką. Wyglądał jak afgański posterunkowy, kontrolujący pogranicze. Szybko do niego docieram, okazuje się, że poszukiwał tego stadka, które właśnie widziałem. Dostałem też info, że ta ogromna góra przede mną to coś tam coś tam, co zasłania Lenina.

No dobra, skoro już tu jestem to podejść jeszcze kawałek dalej. Doszedłem do podnóża coś tam coś tam. Jezuu, jakie to ogromne! Widzę przed sobą małą kupkę zieleni powyżej. A może by tam jeszcze? Ok, maszeruje wytrwale pod górę. Miejscami jest naprawdę stromo, woda już mi się skończyła... Stałem i podziwiam, przede mną widoczna w niebie górką z ośnieżonym wierzchem. A może by tak osiągnąć granicę śniegu? Pogoda wyśmienita, jak by, co, to się migiem wycofam. Przy okazji nabiorę śniegu we flaszkę, co by stopić trochę do picia, bo w paszczy Taklamakan. Płuca nie robią, tempo dzielę na 30 kroków, na 50, na 10, ale pnę się mozolnie do góry, już nie patrzę na dół. Nie odpuszczam. Leżę na tę górę co przede mną.

Po dwóch godzinach brodząc miejscami w śniegu po kolana docieram na szczyt, to tylko jeden ze szczytów, ale ten mnie w pełni satysfakcjonuje. Zresztą mam już serdecznie dość, wykończyły mnie te kolejne wierzchołki, za którymi były kolejne i kolejne:)) Miejscami też diablo stromo, objam więc zacnie golenie me, szukając lepszego gruntu pod stopami przy dwumetrowym uskoku, którego nijak obejść.

Nie żałuję sobie i puszczam wodze wyobraźni, a nuż, nie był zdobyty? Alpinści ćwiczą nie w tej dolinie chyba, może jest, więc tylko mój? Staje mi jednak przed oczami obrazek rozpadającego się sandała z przełęczy Akbajtal...

Te coś tam coś tam jest na wyciągnięcie reki, ale jest już późno (pogoda zaraz też pewnie się spierdoli). No i brak sprzętu, seraki lodowca daleko pode mną, przede mną już tylko grań, z mapy wynika, że jej najwyższy punkt osiąga 5731m. Czemu nie wziąłem gpsa do ręki? No tak, miał to być tylko spacer. Jestem lekko podekscytowany, osiągnąłem granicę wiecznego śniegu, bomba. Oj, pierwszy 4-tysięcznik w Pamirze, tego spod Akbajtal nie liczę, tam zrobiłem parę kroków i osiągnąłem 4704m, a tu grzałem z buta od samej podstawy, która teraz taka malutka, a Elwood nie widoczny, taki malusi.

Zejście to betka, zawsze lubiłem schodzić, trochę km po górach nabiłem, ale skąd wziąłem siły, aby tu się wdrapać? I nawet w płucach stawało, jednak to już trzeci tydzień na takich wysokościach, więc adaptacje mam już dawno za sobą.

Po godzinie jestem na dole, nogi miękkie jak z waty. Zadzieram głowę do góry... nie, nie! Nie mogę uwierzyć, że się tam wtarabaniłem!

W drodze musiałem topić śnieg do flaszki po Muszynie, a na szczycie skąpany w śniegu, zrobiłem zdjęcie butom, bo jeszcze, kto nie uwierzy, przynajmniej one tam były. Widząc strumyk, nie bacząc na srające i szczające Jaki czy konie nieopodal, chłapczywie siorbię wodę z lodowcowego potoku.

Docieram do auta, mam ogromną ochotę na kymyz, ale pasterze jeszcze w "terenie", a tu chłop zaprasza, nie kobita. Od rana nic nie jadłem, tylko parę łyków kawy i nic więcej.

Opuszczam ten wspaniały przybytek, żegnają mnie ciekawe geologiczne twory, niczym Anatolia w Turcji, pięknie rzeźbił lodowiec, pięknie!

Zjeżdżam do doliny Alajskiej, kusi mnie skrót, który widzę. Jadę nim, tyle, że po 5km prowadzi on mnie do nikąd, robie pętle jedną, drugą, kluczę wśród jakichś starych śladów, nakładam sporo drogi, by się stad jakoś wydostać. Jadę wzdłuż uskoku (z perspektywy kilku km, cała dolina wydaje się równa jak stół) i szukam przejazdu. W końcu widząc „dziurę” w jednej ze ścian koryta i wyraźne ślady dojeżdżam do głównego traktu z Kaszka Suu. Przejeżdżam przez most i mknę szybko do Sary Tasz, tam nowo otwarta stacja, ale jeszcze nie funkcjonuje. Próbuję zatankować "na mieście", ale nikt nie przyjmuje tadżyckiej waluty. Hm... do Osz powinienem dojechać a dolarów niet. Setkę skonsumował komendant, a dwie pozostałe Panj. Przy mnie tylko somoni i tenge, razem sporo tego, ale kompletnie nieprzydatne w tym miejscu.

Wjeżdżając na Taldyk Pass, definitywnie żegnam się z Pamirem, trochę celebruję zjazd... Przeżyłem tu super chwile, upadków też nie brakowało, ale to przecież tygrysy lubią najbardziej.

Powoli zapada noc, boję się trochę o te światła, żeby mi nie wycięły jakiegoś numeru i za kolejną przełęczą zamierzam wlać ostatnie 16l paliwa z kanistra, aby spokojnie dojechać do Osz. I takie nastawienie, to był poważny błąd.. Silnik przerywa i staję na kilkaset metrów przed przełęczą, pech! Będę musiał odpowietrzyć pompę i bak nie korzystnie leży. Próbuje odpalić bez odpowietrzania po zalaniu baku i to był drugi błąd! Zachowuję się jak klasyczna dupa, chwilowe zaćmienie, głupota po prostu. W konsekwencji pada mi rozrusznik. Stoję strasznie chujowo, nie ma, co i dla dopełnienia męki światła też pozwoliły sobie zakończyć służbę. Na szczęście miejsca tu sporo więc nawet nie muszę stawiać trójkąta, czy po miejscowemu piramidki z kamieni bo mnie kolesie wjeżdżający powoli pod górę na pewno zauważą. Rozrusznik tylko terkocze, nie decyduje się też odpalić go na pych, zjeżdżając tyłem, bo ciemno jak w dupie i kolejny błąd przy braku wspomagania kierownicy i twardym hamulcu, mógłby się tragicznie skończyć. Zatrzymuję więc jakiegoś gruzawika mozolnie wspinającego się na przełęcz. Kierowca szybko proponuje, że wciągnie mnie na tę przełęcz a potem zadecydujemy, co dalej. To dobry pomysł. Zapinamy hol i po kilkunastu metrach odpalam na pych. Daje znak, że wszystko ok i już dalej sam dam radę.

No jest mały klops, ale parkując na górze zawsze odpalę, pocieszam się. Jeżeli nie uda mi się reanimować rozrusznika, czy oznaczać to będzie definitywny koniec offroadu?

Podsumujmy:

- złamany lewy słupek,
- reduktor nie robi,
- rozrusznik nie robi,
- biegunki niet,
- więc nie jest... źle!

Pierdolić faszystów, to było źródło zła. Rozrząd na kołach zębatych, więc mogę spokojnie odpalać na pych.



Znowu nie dojeżdżam do tur bazy, za to wjeżdżając na przełęcz otwierającą mi drogę pod Pik, otwiera się przede mną widok na pakujących się Kirgizów (w tym stadku wilebłądy sic!), Tien Szan, a z drugiej mańki...



ja jadę jak daleko tylko mogę, tu już tylko ścieżki wydeptane przez zwierzyne



Moim bieżącym celem podstawa tego "pachołka" na wprost, takim się przynajmniej wydaje



... coś takiego



Jadę pod górkę niezłą i trza dolać wachy, bo paliwa już nie wiele było i silnikowi się zdechło na przechyle.

Wlewam 15l, został mi jeszcze jeden kanister, a w nim 16l.

Przejeżdżam jeszcze kilka dziesiąt metrów i stop, dalej już tylko z buta, o ile ochota będzie



Docieram do dziadka, który szuka swsowego stadka, 6-ściu koni.

Minąłem je po drodze, więc dziadek zadowolony. Przez jego lornetkę spoglądam na okoliczne szczyty.

Bajka... Pik już się schował za coś tam coś tam. Te coś... to nie w kij dmuchał, z mapy wyszło, że ma 5761m! Przyglądam się temu memu "chopkowi", robi się co raz większy.



Z lewej mańki zaś to



A, że była, to dalej z buta ruszyłem.

Polar setka, kirgizki kałpak na glacy, buty Meindl BC, pół litra Muszyny, aparat, w słońcu ciepło



Dziadek pozuje, przy okazji bierze tyka Muszyny... oczień haroszaja wada



Przedemną Kirgizi zwujający letnie patwisko. Jurtę pakują na Ziła i wio



Dziadek do swoich koni, a ja...



... przymierzylem sie do tej górki.
Podlazylem kawalek, kaszam tlen, jak
swiateczny karp



Ale tam ciagle tylko kolejne
wierzchołki, a sniegu nie widać. W
paszczy Taklamakan, tylko do...
góry pozostaje



Z wysokością sniegu przybywa, ale
tylko on daje stabilny grunt



Kaszam i dumam, piknie tu, łoj
piknie. Wody już nie ma, jakbym się
tak wgramolił choociaz do granicy
śniegu, to bym se go nabral i z
pragnienia nie padł. A wyżej to i
widoczki pewnie pikniejsze będą...
tak się na zmianę pocieszam i
mobilizuję, bo qrwa stromo jak
ch...! i ciężko się lezie, a tlenu niet



Jest pierszy śnieg, nabieram go
garściami do flaszki i za pazuchę.
Grunt staje się grząski i śliski przez
to. Kilka razy zaliczam glebę i
decyduje sie iść dalej po sniegu,
który sięga do kostek tutaj i jest
znacznie bardziej stabilny.
Złapałem już rytm i sapiąc jak
lokomotywa daję do góry



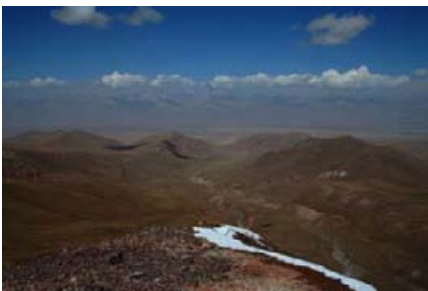
Robi się też coraz bardziej stromo,
ale tragedii nie ma. Nawet nie
próbuję iść po po skałkach bo to
pewna gleba i zjazd parę metrów
niżej, a to boli.



Przystaję tak więc dość często i
łapiąc oddech lukam na boki



Kolejny odpoczynek. Zatyka mnie
nie tylko w płucach, nawwet do
siebie nie gadam, tylko pluję
kątem... piknie qrwa, piknie



Naprawdę jest na czym oko
zawiesić

Coraz wyżej i wyżej, nie mogle
jakoś oszacować odległości.
Wydaje się to na wyciągnięcie
reki... wydaje się, to pewne





Powoli zmierzam do celu,
wypłaszcza się miejscami nie co,
ale i tak nie mam sił przyspieszyć



Nie mam siły napierać dalej, choć
coś tam coś tam wydaje się tylko
na wyciągnięcie ręki być... ale i tak
wtarabaniłem się daleko i
usatysfakcjonowanym tożę



Na tym progu sprawdzam
wytrzymałość moich goleni. Nie
można go obejść, bo rumusz
skalny luźny, w takiej niby glinianej
pałce. W tatrzańskiej skali czwórka



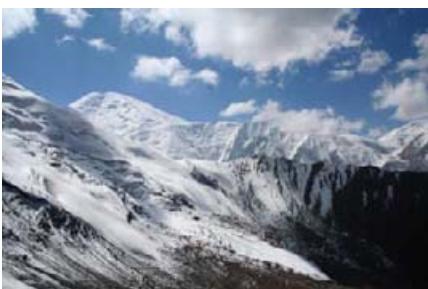
Mój dziewiczy "trop"... Chodzę ze
znajomym leśnikiem w Biesach i
widząc trop niedźwiedzia mówię:
- o!.. ślady niedźwiedzia!
- ślady, to są na pościeli Darek...
Więc na białej, pamirskiej pościeli
zostawiłem swoje ślady.



Jeszcze kawałeczek...



Taa...



I z kolejnego, dla mnie już
ostatniego wierzchołka, strzelałem
foty dookoła porażony widokiem



... jam ci to





To ten próg, o którym wspominałem wcześniej. Niemiłosiernie poobijałem tu swoje golenie. Próg ten w jakiś sposób, odegra swoją rolę jeszcze w czasie przygody życia w Tien Szan, która przede mną, o czym jeszcze nie wiem.



Jeszcze próg z profilu... tak zapadł mi w pamięci



Z powrotem u podnóża, fajne uczucie. Choć trochę teraz żałuję, że nie liznałem tej ściany sniegu i lodu "coś tam coś tam"



W każdym razie pa



Wracam do Elwooda



Czekam na czek z Muszyny



Elwood w skali 1:1, z górki zlał się z trawą



Odwrót



Kymyzu nie będzie, nie ma chłopów



Kirgiz spod Piku Lenina



Jakieś kapadockie twory



Ciągle się odwracam



... ominąć wąwóz...



Sary Tasz, po prawej cmentarz szamański, ja stoje przy "stacji paliw", ale saliarki niet. Jak kto bystry, to zauważył brak jednego koła na dachu... Tak, na drodze z Kaszka Suu do Sary Tasz (dziurawej jak szwajcarski ser) wгурwienie sięgnęło zenitu i po kolejnej próbie samoczynnego desantu władowałem je na pakę No i nie jest już tak przytulnie w środku



... i jestem z powrotem w dolinie Alajskiej



Ech...



Jeszcze tylko przełęcz...



To moja ulubiona panorama. Jak wjeżdżasz i masz pogodę, to fantastyczne doznanie. Ja się już z ogromnym smutkiem żegnam, z "moim kochanym Pamirem"... W tle akuratnie jego chińska część



Krótką wspinaczką pod Taldyk Pass



Gdzieś tam po prawej zniknął Pamir





Na zjeździe spory ruch



Przełęcz Taldyk, wrota do Pamiru



W drodze do Osz

Dzień dwudziesty trzeci - 2008-09-16

Wstaję z lekka niewyspany. Przy aucie już czujny i uczynny zarazem ochroniarz pobliskiego centrum:

- A wy skąd?

- Z Polski! Słuchaj, rozrusznik mi nie robi, jest tu gdzie jaki elektryk?

- Nie ma problemu! Jest dwóch, ale polecam tego w głębi ulicy po lewej. Możesz spokojnie do niego podejść, ja tu na posterunku stoję więc maszynie nic się nie stanie!

He, he, uśmiecham się do siebie to, co się miało stać, już się stało... mam nadzieję. Więc pod czujnym okiem ochroniarza i coraz liczniejszej gawiedzi spokojnie myje zęby.

Najpierw jednak obowiązki "na mieście", między innymi by puścić Wam kolejne wieści, bo częstotliwość nie najlepsza, ale wybaczcie, śmigam głównie po bezdrożach. Tym bardziej więc spieszę, by z Wami podzielić się kolejnymi. Startuję spod góry, która jest lokalną atrakcją turystyczną, nazywają ją tronem Sulejmana. Dlaczego? Poniżej zassana z netu opowieść:

Sulejman był pięknym młodzieńcem. Miał także dar jasnowidzenia, został prorokiem, a imię jego było znane. Z czasem uznano go za świętego.

We wszystkim był Sulejman posłuszny Bogu. Miał jednak jedną namiętność, której nie mógł w sobie przezwyciężyć. Była to miłość do pięknych, szybkich koni i wyścigów. W jego stajni było 500 wybornych koni wyścigowych.

Pewnego dnia wyścigi konne tak go pochłonęły, że zapomniał o codziennej modlitwie.

Bardzo bał się Sulejman bożego gniewu i aby uczynić zadośćuczynienie za swój grzech i zadowolić Boga – rozkazał zarznąć wszystkie wyśmienite konie.

Spodobała się Bogu taka ofiara i postanowił nagrodzić Sulejmana. Podarował mu tak ogromny tron, że podnieść go mogło tylko 500 dżinów.

Zaniosły dżiny tron Sulejmanowi, a on rozkazał postawić go tam, gdzie Pierwszy Człowiek Adam założył gród Osz, wyznaczając pługiem granicę miasta.

I tak siedział Sulejman na szczycie, na swoim tronie i radował się pięknymi widokami – patrzył na swoje miasto położone w zielonej, żyznej Dolinie Fergańskiej i otaczające je góry. Cieszył się czystym, świeżym powietrzem na szczycie i słońcem.

Jednak poczuł Sulejman, że czegoś brakuje do pełni piękna. Zapragnął, aby na szczycie, gdzie siedział na tronie, wypłynęła ze skały rzeka i spłynęła w dolinę. Zamarzył, aby spływała po kamieniach u jego stóp, szumiała i pieniała się.

Za górami było duże jezioro. Rozkazał Sulejman swoim 500 dżinom otworzyć górę i puścić przez nią wodę. Dżiny przystąpiły do pracy – kruszyły skałę, dobywały z niej głązy i roznosiły je po dolinie. Na koniec ukazała się w skale głęboka szczelina i wzburzona woda popłynęła przez nią z szumem, uderzając o kamienie i pieniąc się. I tak popłynęła rzeka przez górę – na której, na swoim tronie, siedział zadowolony Sulejman.

Oto dlaczego ta góra nazywa się Tronem Sulejmana, a pienistą rzekę nazwano Ak-buura – Płynąca Przez Górę.

Miasto można powiedzieć, nie jest mi obce. Jestem tu już czwarty raz. Tak naprawdę nie wiele się tu dzieje, ale czy nie warto nawet jednego piwa? Kupuję więc dwa i śmigam w kierunku rynku kwiatów, tam mam dwa punkty netowe i mam nadzieję, że tym razem nie będzie problemów takich jak ostatnim razem... i nie ma!

Po czterech godzinach wychodzę znowu na miasto. Składa się ono tak naprawdę z czterech ulic, trzech równoległych, w tym dwie jednokierunkowe wokół których skupia się życie miasta. Przy tej najbliższej górze Sulejmana jest rynek kwiatów właśnie. Rynek to mocno powiedziane, na Podwalu Staromiejskim w Gdańsku jest więcej kwiaciarni w jednym ciągu... ale to też taki pkt. informacyjny. Po drodze mijam dwie wyższe uczelnie, ale nie pytajcie jakie, kirgiski jeszcze nie jest moją mocną stroną. Instytut Bóg Jeden Wie Czego. Za to mogę podzielić się kilkoma uwagami na temat urody Kirgizek. W zeszłym roku klasyfikowałem je tuż po Kazaszkach. Wtedy dzieliłem je na dwie grupy:

1. Brzydkie z krzywymi nogami
2. Brzydkie z prostymi nogami

Teraz uczciwie muszę zweryfikować mój ubiegłoroczny pogląd, jeżeli wszystkim Kirgizkom założymy duże ciemne okulary to stają się wszystkie ładne. No i należy wyróżnić niektóre studentki. Jeżeli uroda którejś przykuje Waszą uwagę, to niemal pewne, że to tadżycka krew. Dlaczego więc, w Osz nie ma ładnych dziewcząt? Bo to enklawa uzbecka, a ci z Kazachami to jedna krew.

Po tylu dniach pełnych znoju pamiirskich wertepów mam ochotę przysiąść i w cieniu spokojnie wypić piwo, po prostu pobyc trochę, poczuć miejski klimat. To za chwilę jednak, teraz w te pędy do maszyny i elektryka.

Polecony elektryk, to młody chłopak, zdecydowanie odrzuca awarie rozrusznika, stawia na ładowanie. I faktycznie pomiar napięcia wskazuje, że tu też leży problem. Pozostają jednak w opozycji do moich nowych konsultantów. W czasie gdy oni badają naciąg paska alternatora, ja zauważam luźno podpięty przewód masy. Więc ok, ładowanie mamy już z głowy, nie tak pracuje jednak sprawny rozrusznik w Toyocie. Nawet udaje się ją odpalić, ale to terkanie... Daję chłopakom dwa opakowania poxiliny, przy okazji dostrzegam mały

wyciek z baku, faza kropelkowania, znaczy gdzieś się rozszczelnił lub pękł. Na tyle więc, tym razem. Jest jeszcze kilku elektryków ale odnoszę wrażenie, że to ten sam obsługuje te wszystkie punkty, bo w każdym mnie informują, że jest gdzieś tam właśnie.

Dobra, odkładam temat na później, na razie da się żyć, tylko parkowanie na górze obowiązkiem dopisanym do codziennej listy. Dzisiaj się już stąd nie ruszam, skoro już wiem, to co wiem, to idę "balować". Najpierw jednak bazar, zostało mi jeszcze trochę tadżyckich wariatów, więc je wymienię i... zobaczymy, co zrobić z drugą połową dnia.

Powoli przechadzam się alejkami wypełnionymi towarami. Bazar w Osz to typowy miejski bazar skupiony wokół dwóch ulic, miejscami tylko wciska się w podwórza. Nie ma tu ścisłego podziału jak na arabskich sukach, można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że jest taki... nijaki. Zawsze najbardziej pociągały mnie stoiska z przyprawami, tu ich jest niewiele i niczym nie zaskakują. Na uwagę zasługują natomiast jadłodajnie, można tu zjeść samsy, czyli pierogi z mięsem zapiekane w chlebowym piecu i manty, te same pierogi, tylko gotowane na parze oraz inne wypieki dosłownie za grosze, do tego niemal darmowy czaj. Z tego korzystam i wydając dokładnie jednego dolara, jestem najedzony do syta.

Można też jeszcze kupić wodę sodową z automatu w trzech smakach, nigdy jej sobie nie odmawiam i zawsze skwapliwie korzystam. Jest dostępna wszędzie, czy to na placu uniwersyteckiego dziedzińca, czy gdzieś tam po drodze po prostu.

Gdy gwiazd na niebie przybyło, parkuje w ciągu knajpek, które robią tu za atrakcje baj najt, zresztą nie długo, bo po 23-ciej obligatoryjnie wyłączają w mieście prąd. Niektóre jednak potrafią sobie radzić z pomocą własnych generatorów.

Tak wypadło, że jedyne wolne miejsce przypało mi w towarzystwie Anglików, ci byli jednak widocznie zdania, że obecność w tym miejscu to tak jak wpaść do pubu w Londynie i nie zamieniliśmy dosłownie ani jednego słowa, mimo mojego pozdrowienia. Zresztą szybko się zmyli, ja zaś wtrynam szaszłyk na tradycyjnej przyprawie i poprawiam dwoma piwami choć tu ceny „europejskie”.

Wracając do maszyny okazało się, że tuż przed, jest kolejna tania jadłodajnia, do tego z piwem w promocji. Więc na dobranoc zjadłem jeszcze coś lokalnego a`la szorpo i dołożyłem kolejne dwa piwa. No i to by było na tyle, tego wieczora. Przed 23-cią złożyłem się na mojej trumnie do snu, mając nadzieję, że nikt mnie rano nie zastawi.



Startuję spod góry Sulejmana, tu jest jak wspomniałem bazar autoczęści, stąd taki ruch



Już na bazarze, oleje różnej maści



Termosy, bardzo tu popularne. Wszystko to już chińszczyzna



Pierwszy cennik. Za tyle można pogadać ze światem. Polska szła za 5 somów, przy 35 somach na dolara. Więc rozmowa za grosze



Suszone owoce



Przyprawy



Buty chińskie



Szare mydło kupiłem przy ostatniej wizycie. Teraz po łupieżu ani śladu



Słodkości



Jakieś lokalne trzy karty



Schodzę na dół, w kierunku centrum



Mięso



Kasze, makarony, rośliny strączkowe



Tu panuje zupełnie inna kultura rzeźnicza. U nas takie mięso by nie pszeszło, tutaj jednak nic się nie może zmarnować. Kupując takie mięso na targu potem 2/3h obrabiasz ze ścięgien, błon, tłuszczu, aby to zjadliwe było.



Mydło, zapalniczki i fajki



Suszony biały ser, krut



Automat na wodę... ech



Miuzik... eine kleine



Warzywa



U tej pani z filuternym uśmiechem kupiłem 4 lepioski



A to takie... kurde zapomniałem jak to się nazywa. Lokalny napój, na którym cwany kolo z Biszkeku zbil majątek. Luknę do notatek z zeszłego roku to dopiszę...



Kitajszczyzna



Bez arbużów nie ma targów



Jedna z wielu jadłodalni



Piekarz lepioszek w akcji



Usługi... o dziwo pucybut nieopodał
kategorycznie odmówił robienia mu

fotki. Zareagował tak gwałtownie,

że zrobiem gały:

- Tak nie lubisz swego zawodu?

- Tratatata.

Wreszczał i wymachiwał oburzony
rękoma.

- Widzę, że nie lubisz...

I poszedłem.



Wypiekane na bieżąco takie
pierogi. Farsz z baranina lub
wołowiną. Kosztują 4 somy, czyli
tyle ile nasza bułka pszenna (za
dolara 8szt). Bardzo syte



Będzie ugniatał i wałkował kolejną
partię



Szaszłyki, dokupujesz czaj
(dzbanek 3-4 somy) z innego
stoiska coś tam jeszcze, siedzisz i
wcinasz. Winogrona od 30-50
somów za kg, papryka żółta (a`la
węgierska) 9 somów/kg.



W sąsiedztwie piekarza



To nie galaretka... to cukier na
wagę



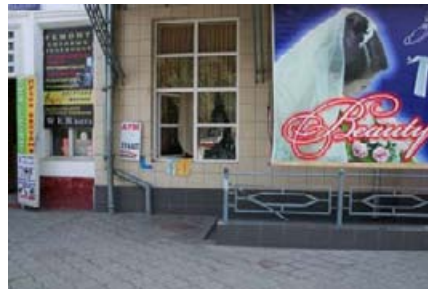
Jak w Polsce w latach 60-tych



Uliczna fotografia



Woda z sokiem



Jest prysznic i kibelek miejski



Uniwersytet



Takim forhendem przykleja placki do pionowej ściany pieca



Po drodze jeszcze wrzucam samsę i popijam czajem



Różnica pokoleń



Upodobałem sobie te syfony



Podobnie jak ten piekarz wszystko jest wypiekane na bieżąco i też przyklejane w pionie. Samsa na parze to manta.

Pieróg 19 somów, czaj 3 somy



Jest konkurencja, w porównaniu z poprzednim cennikiem



Opuszczam bazar. Kupiłem 2kg papryki, 2kg winogron, 2kg pomidorów i 4 lepioszki



Szaszłyk B to barani, G to wołowy (gowiedina), OK z kurczaka (okurica)



Tron Sulejmana



Przerwy w dostawie prądu, są tu codziennością. Generator zapewnia w miarę normalne funkcjonowanie



Wyjątkowej urody Uzbeczki



W parku u podnóża Góry/tronu Sulejmana



Targ kwiatów... trochę zbyt szumnie brzmi ten targ, ale niech im tam



A to ekipa "eletryczna"

Dzień dwudziesty czwarty - 2008-09-17

Żegnam się z Osz bez żalu. Tankuję na stacji zapas do kanistrów i 40l do baku, tyle, że ze stacji nie mogę już ruszyć. Widząc kampanię młodych Kirgizów zapraszam ich do wyjątkowej okazji pchnięcia mnie ciut ciut celem odpalenia. Ruszyli gromadnie w białych koszulach i czarnych spodniach z wielką ochotą. No i ja ruszyłem. Nie ujechałem daleko, drugi, niezwykle zdradliwy atak żółtej wścieklizny, zmusił mnie do nurkowania w przydrożnych krzakach. Był niezwykle celny... zostałem trafiony przed zajęciem pozycji:) Nie musiałem się już spieszyć, dobrze, że do strumyka było ledwie parę metrów... Człęk w takich chwilach szuka ustronnego miejsca, ale nie zawsze trafia w takie. Mnie się wydawało... tyle, że po chwili zaliczyłem kilka wycieczek, mile mnie pozdrawiających i pewnie łączących się w ze mną w bólu i cierpieniu. Z wyjątkiem może, kolejnej grupy dzieci zmierzających do szkoły. Już chyba lepiej wyglądałbym, jak baletnica w Jeziorze Łabędzim. No, ale przeżyłem to. Łatwiej przeżywać upokorzenia te 6000km od domu, zawsze to In coguto w końcu☺

Plan na dzisiaj to przeciąć łańcuch Fergana przez przełęcz Kaldama i dostać się w okolice jeziora Song Kul. Drogę znam, po drodze staję na stacji, która sprzedaje jeszcze letnie paliwo, to wyjątkowa okazja! Litr kosztuje 70 centów, tankuję więc cały radosny do pełna, ponad 110l, z wrażenia nie wlałem do jeszcze jednego kanistra, ale niech tam. Odrobiłem w ten sposób "szaleństwo" w Osz.

W Jalalabad szukam warsztatu, w którym w zeszłym roku robiłem hamulce, z chęcią zagościłbym jeszcze raz u osiadłych tu Uzbeków, ale na daremno. Trudno, było chociaż adres zapisać, na wyjeździe z miasta jakieś info przy drodze, że jedna z przełęczy jest zamknięta, nic jednak o Kaldama nie piszą...

Są tu też znaczne sanatoria, w świecie znane, ale ja lekarstwa dla duszy pragnę... Na drodze coraz więcej osiołków, krów i coraz mniejszy ruch. Zaczynam się powoli wspinać w kierunku przełęczy, otoczenie strasznie przyjazne, bogactwo lasu, jakże to odmienny krajobraz od pamiirskich pustyń. Za nim osiągam przełęcz, przebijam się jeszcze przez kilka stad baranów i poganiających ich Kirgizów na koniach. Mimo 3300m jest ciepło, tylko wieje silny wiatr, co raz jednak mniej "baz" kirgiskich pasterzy, a więcej pustych placów z zaznaczonym widocznie centrum, które zieje pogorzelskim ognisk. Dawniej był to rozbójniczy trakt, wiele krwi uzbeckiej i kirgizkiej nań wylano. Wszak w Kotlinie Fergańskiej wystarczy patyk w ziemię wbić, by obrodził pomidorami, papryką, winogronami... Ile tu

dziewek pohańbiono przy okazji, ile w jasyr sprzedano... tylko w przekazach ludowych i pieśniach się dowiesz.

Teraz biegusiem do Kazarman, jednak nie zatrzymuję się tam, choć pierwotnie chciałem zaliczyć skromny bazar, ostatecznie magazyn przy drodze, jednak gdzieś go gubię, nie zauważam... To zresztą upadła miejscina, coś jak ruski kolchoz i nie tylko. To jak wpaść do Kmicina koło Nowego Dworu Gdańskiego.

Przede mną kolejna przełęcz z długim podjazdem. Super rozwiązaniem na wielogodzinną jazdę i kurz jest chłodny... browar.

Zaraz rozstanę się z Naryniem, który towarzyszy mi przez kilkanaście km dobrej wreszcie szutrowej drogi. Podjazd dostarcza estetycznych wrażeń. Za przełęczą cudny widok na dolinę rzeki Naryn, później zmieni ona nazwę na Syr-Daria, by skończyć bieg w Morzu Aralskim. Wcześniej pomaga rosnać bawełnie na uzbeckich polach przyczyniając się do systematycznego wysychania tego Morza. A wszystkiemu winni Anglicy, blokując onegdaj carowi dostęp do północnych Indii, tym dziwnym tworem, który był celem mojej wyprawy, czyli Korytarzem Wachańskim.

Zjeżdżam powoli, nie tylko dlatego że zjazd bardzo stromy, nie mogę nacieszyć oczu...

Na dole spotykam parę Słowaków, zjeżdżałem z wiatrem w plecy, który im teraz z okrutną mocą przeciwstawia się z pomocą piasku i wszelkiego tałatajstwa, które potrafi unieść i cisnąć śmiałkom w oczy. Schowani za chustami hardo prą na przód... po raz kolejny nie mogę wyjść z podziwu dla ich determinacji, kondycji i czego tam jeszcze trzeba, by mierzyć się z tak potężnym przeciwnikiem. Cieszymy się bardzo, przy okazji też możemy pogwarzyć nareszcie w jakimś ludzkim języku☺.

Dojeżdżam do mostu przez Naryn.... a może teraz skoczyć nad Song Kul? Jest tu nie potwierdzona jakościowo droga... nie teraz jednak, jest już dość późno. Dojadę do Narynia i tam gdzieś chyba zanocuję.

Miasto wita mnie nocą i brakiem światła, no bladź ich... nie ma co stawać, tylko lepioszkę, dwie „trojki” w sklepie przy drodze i jadę na przełęcz po drodze do Biszkeku. Na zjeździe staję tak bym mógł odpalić rano i szybko zalegam, sącząc piwo, ciekaw niezmiernie jeziora nazajutrz!



Rok temu, parę km wcześniej, tu boksowałem się z krowami



Strasznie zabiedzone te iszaki. Wioska żyje tu ze słonecznika.



Właśnie przecięłem łańcuch Fergana



Ta dolina prowadzi do przełęczy Kaldama



Bawełna...?



Skąd one tu?



Długi podjazd



Kilka tych stad będę mijał



Kolejne...



... zostawiam za sobą



Widoczna przełęcz. Taka tradycja (w Pamirze też), że często ozdabia ją kozioł Marco Polo (Archar)



Po drugiej stronie przełęczy



Już po zbiorach, normalnie cały proceder suszenia itd odbywa się na drodze (patrz relacja Podosa)



... szutrowa droga przez kilkanaście km biegnie wzdłuż rzeki Naryn (to tu zdaje się, wyglebił się tak nieszczęśliwie Sambor)

Do Kazarman

Droga co rusz przecina jakieś wąwozy. Jazda na azymut "gdzieś tam przed siebie" nie jest tu możliwa



Gdzieś tam Kazarman



Z prawej dochodzi droga z Baetova. Gdybym w nią skręcił dojechałbym na przełęcz Tourugart, granice z Chinami



Most na rzece Naryn, będąc kluczyl między tymi hopkami



Kirgiskie hopki



Za Kazarman...



Konie, koniki, icha cha



Naryn, kończy "bieg" w jeziorze/zbiorniku Toktogulskim. Z jeziora wypływa już jako Syr-daria



Między hopkami



Tylko jeszcze muszę tam zjechać



Pięknie... po prostu pięknie



Towarzyszy taki krajobraz



Pare serpentyn

W dali widoczna przełęcz. Otwiozy mi drogę do Marynia



I wio na przełęcz

Czeka mnie mała wspinaczka



Czeka mnie jeszcze jedna przełęcz przed Naryniem, gdzie planuję nocleg



Takich zczajonych wąwozów tu na pęczki. Jedziesz i widzisz płaską dolinę podjeżdżasz bliżej i... coś takiego



W dolinie płynie Naryn, będę mu przez kilka najbliższych dni, z małymi przerwami towarzyszył niemal do źródeł



Na górze. W zeszłym roku, tu nocowałem. Parę set metrów w lewo, w cieniu góry. Kirgiz zjadał się wieprzowiną z puszki, całej rodzinie się uszy trzęsły. rano przed wschodem słońca wylazłem na górę i oglądałem cudny spektakl przyrody. Łańcuch Fergana wyjawiał się z mroku... krok, po kroku.

Przy słupie widać jakąś, chyba rządową ekipę. Przyjechali LC V8, chwilę się pokręcili i pojechali. Wcześniej, dobre 20km (i tak jedna tylko droga) chciał mnie zatrzymać milicjant, ale jak luknął na blachy kazał jechać dalej. Zaparkował tu służbowym żiguli jako forpoczta, chyba tych gagatków w garniturach z przełęczy



Jak lukniecie jeszcze raz na relację Podosa, to zauważycie, że niektóre foty niemal się dublują



Okolice przełęczy



Kirgizja końmi stoi



Bez słów... w ciszy (tylko warkot 6-ciu cylindrów Elwooda) i skupieniu prę naprzód



Twardziele ze Słowacji. Początkowo wzięli mnie za Niemca.

- Gdzie dalej?

- Pamir...

Kurde mole, jołki połki. Przeca wiem skąd jadę i poraz kolejny

WARIATOM biję



Ja z kolei wzdłuż Narynia, centralnie na wschód



Noł koments





W zachodzącym słońcu...



... staję przed mostem na Naryniu.



Za mostem droga już asfaltowa



Cmentarz

Prosto i w lewo droga do miasta Naryn, stolicy rejonu. Gdybym się cofnął, mógłbym ładną widokowo trasą dostać się do jeziora Song kul. Ale stan tej drogi mam na ten moment niepotwierdzony, a najdalej za pół godziny zajdzie słońce



Zostawiam pasterzy. Do Narynia jeszcze około 60km

Dzień dwudziesty piąty - 2008-09-18

Poranny chłód szybko mnie orzeźwia, stanąłem nieopodal strumyka więc korzystam i biorę kąpiel. Znaczący się nabieram wiadrem wody i chłostam się lodowatą wodą. Przygląda mi się piesek z przetrąconą nogą. Generalnie jednak trzeba uważać. Psy tu boją się ludzi, może ta przetrącona noga to skutek takiej właśnie dbałości człowieka o psa?... Nie wiem, może potrącił go samochód. Podchodząc do auta sięgam po kawałek lepszki chcąc mu ją rzucić, ale sam zamach spowodował alergiczną reakcję i ucieczkę kundla. No cóż, zbieram się.

Szybko docieram do klasycznej drogi prowadzącej do Song Kul, jeziora zagubionego na górskim plateau, widziałem do tej pory tylko jego zdjęcia, strasznie jestem ciekaw i podekscytowany duszę pedał gazu by jak najszybciej wspiąć się do celu. Droga wiję się zakosami, ile już tych serpentyn przejechałem? Dojeżdżam do przełęczy, która otwiera się na jezioro, mijam jeszcze dwa busy z "białymi", kierowca zostawia mi miejsce i pozdrawia gestem ręki. Odwzajemniam i mijając stada koni pasące się w bogatej trawie dostrzegam taflę jeziora.

Tym razem jednak pogoda nie jest dla mnie łaskawa. Jest zimno, wieje przejmujący, chłodny wiatr, widoczność bardzo ograniczona, nad jeziorem wiszą ciężkie, ciemne chmury...

Powoli objeżdżam jezioro i czuje się lekko rozczarowany. Zamierzałem tu spędzić dwa noclegi i trochę odpocząć ale kompletnie nie ma na to warunków. Przejeżdżam przez rzeczkę wypływającą z jeziora, o tej samej nazwie. Widzę też dwa równoległe ślady odbijające w góry na wschód. Na sztabówce lokalizuje drogę, która w dole rzeki rozwidla się. Można więc nią dojechać do Dostuk lub gdzieś pomiędzy Naryniem, a drogą obecną. Po kilku km zawracam, te dwie nitki strasznie mnie kuszą.

Nocleg nad jeziorem wybiłem sobie już z głowy. Nie żałuje wyboru, droga łagodnie wiję się i toruje sobie drogę wśród wysokich, klasycznych kirgiskich hopek. Po godzinie jazdy doprowadza mnie do fantastycznej przełęczy! Co za zjazd, jest pierońsko stromo, warto było. W dole łączy się z rzeką i "płyniemy" już razem. Mijam małe stada koni, sprawiających wrażenie zupełnie dzikich, dwa brodzą w rzece... wspaniały widok. Spłoszone przez Elwooda przechodzą w galop, nie mogę oderwać od nich oczu. Ścigam się z nimi!

Dolina na końcu rozdziela się, mam do wyboru dwie drogi. Na rozdrożu iście amerykańskie rancho. Dwóch jeźdźców powoli przeprowia się przez rzekę, kierując się na

pobliską przełęcz, odprowadzam ich wzrokiem w milczeniu. Droga w prawo, to pewnie ta do Dostuk. Biegnie wraz z rzeką, torując sobie miejsce wśród skał wąwozem.. Wybieram jednak to lewą... nie wiem czemu, ta w prawo wydawała mi się o niebo atrakcyjniejsza, pojechałem jednak w lewo.

W Kirgizji co rusz trafiamy na taki wybór i trzeba zdać się na los, nie ma znaczenia. Tu wszystko jest piękne a wszystkiego nie da się zjechać za jednym razem, trzy m-ce to mało.

"Moja" droga to oczywiście też fajny wybór, gdzieś tam przełęcz przede mną. W takiej sytuacji zawsze gram, nie kontrolując mapy, staram się wskazać,"to" miejsce i zawsze... przegrywam. No jeszcze nie udało mi się trafić we właściwe miejsce palcem, to taka zabawa jak na spływie Dunajcem, kiedy flisak, pokazując grań, pyta:

- No, z której strony ja będziemy brać?

Dojeżdżam w końcu do drogi głównej i teraz ponownie w lewo. Mijam pierwszy zjazd na Song Kul i zaraz potem czeka mnie ostry skręt na wschód, w kierunku przełęczu Tosor. Na krzyżówce w Sary Bułak zabieram autostopowicza, jest co prawda trzech chętnych i każdy z nich widzi dla siebie miejsce bez problemu ale zabieram tego jednego. Droga z mapy jest trzeciej kategorii, ale okazuje się całkiem znośna, pytam się więc Kirgiza, jak to wygląda dalej, na co on, że podobnie. Żegnamy się w połowie drogi na przełęcz. Jej przejechanie nie jest żadnym wyzwaniem, choć to prawie 3400m, ale za nią odnoszę wrażenie, że nie będzie już tak łatwo. Gdzieś tam po prawej odprowadzają mnie wzrokiem przepastne 5-pięciotysięczniki tam płynie Naryn z Parkiem Narodowym.

Jest bajecznie kolorowo, góry o bardzo urozmaiconej formie. Mamy wczesne popołudnie, zastanawiam się więc gdzie zanoć, może jednak dociągnę do Tosor?

Pogoda znowu sprzyja, jest ciepło, widoki piękne!

Mijam pasące się jaki, to znak, że jest ponad 3000m, tylko one znoszą te wysokości i surowy w związku z tym klimat bez przeszkód. Zjeżdżam w dolinę rzeki Naryn, na moście chwilę deliberuję. Z mapy wynika, że powinienem pojechać w lewo, ale droga główna wyraźnie prowadzi na prawo, wg psa i znaków na niebie to ona prowadzi do Tosor. Kolega, który nią jechał wspomniał, że to ciężka przełęcz, nie zastanawiam się więc za długo, tym bardziej, że ominę post ekologiczny i zaoszczędzę trochę kirgiskich wariatów.

Droga na początku nawet ok, ale po kilkunastu km to już zwykły górski, rzadko uczęszczany trakt a to oznacza, spore nierówności, brody i ich objazdy. Czuje się tu dzikość i w związku z tym i ja czuję się doskonale, droga wymaga pełnej koncentracji. Po jakimś czasie zdecydowanie skręcam w lewo, coraz bardziej stromo. Gdy już widać, że kierunek jest jasny i żadnego znaku życia poza za pałętającymi się luźno tu i owdzie

zwierzakami typu konie i krowy zatrzymuje mnie strumień. Droga zerwana przez wodę i trzeba znaleźć objazd, w końcu dostrzegam jakieś niewyraźne ślady i po organoleptycznym zbadaniu wychodzi, że to jedyny możliwy wariant. Kończy się stromym zjazdem w strumień i bardzo ostrym podjazdem. Napęd 4x4 to konieczność nie mówiąc już o reduktorze, mój jednak nie robi. Nabieram więc oddech w płuca i ruszam. Zatrzymuję się przed samym strumieniem, z pozycji siedzenia wygląda to nieciekawie, ale ja nie mam wyjścia, zawracać nie zamierzam. Daje nura w strumień, w pędzel i na ostrym podejździe Elwood podskakuje nagle i osiada w grząskim tłuczniu! No niech to chudy Mojżesz! Z tego całego wrażenia, nie dołączyłem napędu przedniej osi!

No ładny kibel, tragicznie nie jest, ale widzę masę kopania, to co mnie zatrzymało na amen, to potężny głaz. Stoję dziobem do góry, a tylny most opiera się o głaz i w takiej pozycji nie ma szans by zmienić stan rzeczy. To jeszcze pikus, gdybym ciął na reduktorze, nie zdusiłbym silnika... a to stało się faktem. Problem w tym, że akurat dziób w górę, ale nie stoczę auta tak aby go odpalić bo tuż za mną mała niecka. Staram się zachować spokój, ostatecznie dzień kopania i wyrżnę w tej glebie highway do strumienia. No, do śmiechu nie jest.

Rozglądam się wokół i dostrzegam kilku jeźdźców, co za fart! Nie idzie nawet o pomoc, ale sama obecność człeka na tym pustkowiu dodaje wiary. Nie widzą mnie jeszcze, ale zatrzymali się. Wrzucam więc polara i powoli idę naprzeciw. Okazuje się, że to dwóch Kirgizów z biura tra vel coś tam z Barskoon i grupa "białych". Kilkundniowa ekskursja na koniach, chłopaki obiecują pomóc, ale wpierw muszą rozbić obóz. Ciekawe, że zapadni turyści w ogóle nie interesują się moją osobą więc ja nimi również. Wracam i biorę się do kopania, udało mi się dostać do kamłota, jest tak duży jednak, że sam nie dam rady go ruszyć. Po 30 min podchodzą i wspólnie go przesuwamy.. Teraz wystarczy mnie pchnąć nazad i odpalę go z wstecznego, nie mogę jednak szaleć bo bród choć płytki usiany jest pojedynczymi, mocno sterczącymi otoczakami. Jadąc tyłem w dół nie mam nad nimi żadnej kontroli, a odpalić trzeba, bo jak ugrzęznę w wodzie, to nawet końmi mógłby być problem.

Na szczęście auto szybko odpala i zatrzymuje się na samym podejździe strzelając gałami prosto w niebo, ręczny trzyma wiec wychodzę z auta i badam jak teraz cofnąć by potem z pędzla walnąć ten podjazd z powrotem. Kirgizi przypatruje się ciekawi efektu. Pozostaje mi tylko pierwszy bieg... staczam się jeszcze powoli do wody i potem rura, tym razem przód ciągnie i podskakując jak piłka, wyjeżdżam na górę i w bezpieczny teren! Uff, poczułem gorąco i dużą ulgę. Żegnam się z chłopakami, turyści nawet nie spojrzeli w naszą stronę.

Do zachodu słońca trzy godziny, od Kirgizów dowiaduje się, że przełęcz przejezdna. Po prawej prowadzą mnie ostre granie, pokryte śniegiem po lewej bieszczadzkie hopki. Droga nie jest łatwa, kilka razy muszę objeżdżać strumienie, lub przeciskać na wyciętych tarasach. Od czasu do czasu drogę blokują luźne kamienie okazałych rozmiarów, jest jednak między nimi dla mnie miejsce.

Tuż po zachodzie słońca docieram na przełęcz. Naprawdę robi wrażenie! Zjazd to niezły hardcor, długi Elwood co rusz trąca zadkiem kawałki skał i kamieni. Do tego trzeszczący połamany słupek potęguje atmosferę grozy. Tuż za przełęczą, jakiś czterotysięcznik ostro opada do podstawy drogi, granica śniegu poniżej mnie, ale nie ma czasu kontemplować, trzeba stąd zmykać przed nadejściem nocy, bo zjazd tu po ciemku to niebezpieczna gierka! Wyjeby straszne, zastanawiam się jeszcze przez moment, jak by to wyglądało pod górę...? Hm, zresztą jak miało by wyglądać? Trzeba, to się jedzie i...tyle.

Brak reduktora i rozrusznika, zmusza mnie do bardziej agresywnej jazdy na jedynce lub dwójce, to z kolei zwiększa radykalnie wymagania stawiane Elwoodowi. Nie mogę płynnie z zapasem mocy pokonywać niektóre przeszkody, muszę je brać z pędzla i jeszcze uważać by nie zdusić silnika. Jeżeli dodam jeszcze, że gdzieś poluzował się i odpadł „w trakcie”, reduktor do węża przy gnieździe sprężarki, to skazany jestem na stałe ciśnienie w oponach. Ręczną pompkę oczywiście mam, ale kto pompował 33 cale ręcznie, ten wie o czym piszę. Przy tym ciśnieniu zacz, wszelkie tarki i regularne nierówności doskonale zastępują cęgi dentystyczne. Jak Ty je nazywasz Konradzie?...

Na górze termometr wskazał -2st ale szybko zjeżdżam w dół i w raz z malejącą wysokością adekwatnie rośnie temperatura powietrza, książkowo, co 100m, jeden stopień. Jadę już w zupełnych ciemnościach ale nie ma tu miejsca na postój, poza tym nie wiele widzę i powoli poruszam się ścieżką to w prawo, to w lewo. Zamyślam się... z nostalgii wytraca mnie zaniemanie światła! Ogarnia ciemna pustka! Chyba wiem co miał na myśli Maks jak mu wyemancypowane baby zgasiły światło. Qrwa, qrwa, qrwa... no kompletnie nic nie widać, powoli naciskam na hamulec i gdzieś tam intuicyjnie się zatrzymuję. To już trzeci raz... Przeleciałem te kable, ale nic nie znalazłem... Nie mam pojęcia co jest, ale nie czas na deliberowanie. Stoję, diabli wiedzą gdzie, wyciągam wszystkie światła z maszyny i to co widzę podkreśla tylko fakt, że nic nie widzę!

Po 10 min światła... wróciły! No, Panie Elwood! Dość już żartów, jedziemy w dół. Wypłaszacza się i "widać", że jadę ścianą wąwozu wraz z rzeką. W pewnym momencie

nadzievam się na światła Nivy. Chłopaki stoją i nie ma szans by ruszyli, lokales jednak informuje mnie, że jak cofnę jakieś 200m to z prawej trafię w wąską ścieżkę dla kóz i baranów , która akurat w tym miejscu może stanowić objazd drogi...

Wąska ścieżka jest bardzo... wąska i biegnie dokładnie nad skrajem wąwozu, może to i lepiej że jest noc, bo jakoś tak łatwiej, nie widząc tego w dole co jest, jechać. Z gpsa wynika, że do jeziora Issyk kul zostały już dosłownie metry, więc znajdując mały placyk ze spadkiem, zatrzymuję się na nocleg. Jest 17stopni i 1700m. Kirgiska jesień, ciekawe jak tam w Polsce jest...? Zgodnie z marszrutą, do przejechania jeszcze 9000km. Brakuje mi kasy na jedną czwartą tej pojazdk...

Czeka mnie teraz zaplanowany kilkudniowy popas na Yssyk kulem, będzie czas coś zrobić z rozrusznikiem. W sumie to da się jechać bez niego, trzeba tylko staranniej wybierać miejsce. Dla współczesnego rozrządu byłby to rychły koniec, tu jednak koła zębate, więc nie ma bólu. ja mam powiększony zbiornik paliwa, który wyparł spod ramy koło zapasowe. Takie rozwiązanie Toyoty to tragedia, mechanizm opuszczania szybko się zaciera w bocie, rdzewieje. Poza tym, w niewygodnej pozycji trzeba kręcić składającym się z trzech części drążkiem, kotwicząc jeden koniec w tym mechanizmie. Ja nie mam z tym już kłopotu, ale tym składanym drążkiem można kręcić kotwicząc z kolei w specjalnym gnieździe koła zamachowego. Czyli można odpalić Elwooda na tzw. „korbę”.

Nie wziąłem jednak tego zestawu, inna sprawa, że lepiej poćwiczyć w warunkach domowych takie odpalanie, bo jak wspomniałem, w niektóre gebity dentysta tylko dwa razy do roku zajeżdża☺

Przy skąpym świetle mionów gwiazd wcinam ostatnią puszkę szczecińskiego paprykarzu u podnóża Tien Szan. Biorę szeroki zamach i rzucam nią gdzieś w skały. Normalnie zwijam brudy po sobie do worka na śmieci, palę lub zakopuję, ale... to już rozbrat z górami. 20 lat temu znaleźliśmy pod Nanga Parbat podobną, znaczy „nasi tu byli”. Tamta puszka wywołała niesamowicie pozytywne emocje, ta już pewnie nie. Znajdzie ją wyedukowany turysta z Polski i powie:

- Patrzcie, jak syf ktoś z naszych pozostawił...

Widząc napis sprayem na skale, reakcja będzie podobna:

- Ładna wizytówka... itp.

Ale ja się nie zgadzam na „takie czasy”. Komórka, Internet, bankomat... cierpiędołę to. Idę spać...



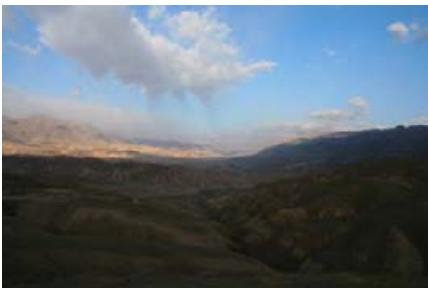
Piesio trzmychnął, po mnie dwie
flaszki



Śmigam klasyczną drogą na Song
kul



I wjeżdżam na paletau, stado się
pasie liczne...



Zresztą co tu komentować



... to samo, jeno w innym świetle



Rezygnuję z biwaku, jest zimno i w
ogóle...



Za mną już serpentyn kupa



Rzeczka Song kul



Objeżdżam jezioro



Okolice jeziora Song kul



Ostatni rzut oka na jezioro i spadam...



... zjazdy...



... tym traktem



... nie pozwalają...



Wszechobecna komercja. Jezioro jest największym skupiskiem jurt w Kirgizji. Trawa soczysta i full... turystów



... oderwać...



Fot pstrykam...



Zmykam więc czym prędzej



... od siebie wzroku



... jak Pastor...



Ale panoramy...



Zjeżdżam więc w dół do wąwozu Song kul



... kazali



I słusznie...



To dla tych, co lubią koniki

Jestem na terenie Rezerwatu
Songkul



... Pastor...



Teraz jadę wzdłuż Songkul



... kazali



Taki spokój tu panuje



Północne Stany. Zaraz pojawią się
Indianie



W rzeczy samej, pojawiło się
dwóch...



Dojeżdżam do krzyżówki i mam
dylemat, czy jechać z rzeką, czy
prosto. Wybrałem to drugie



... chyba z plemienia Dakota



Oglądam się, czy za mną nie ma pościgu



Tam jadę, po zrobieniu pentli. Za przełęczą droga Naryn - Biszkek



Cały czas się oglądam



Mogłem też pojechać tędy, między te hopki



No i zjeżdżam na dół



Indianie mnie nie gonią, więc wio, naprzód!



A tam jechałem rano, kierując się główną sztrasą na Song kul



W lewo na Biszkek, tam pojedę



W prawo do Naryna

A fotki pstrykałem z tej agrafki



Na tym rozjeździe odbijam w prawo, przede mną około 200km do przełęczy Tosor



Tam płynie Naryn



Stamtąd jadę. Oby tylko nie padało



Za tymi górami ciągnie się Yssyk kul



Zbliżam się powoli do doliny Naryna



Po drodze łagodna przełęcz 3300m



Więc jadę wzdłuż tego masywu...



A z niej tak pikna panorama



Jaki, znaczy, że ponad 3000m tutaj



... a tak przede mną



Pięknie tutaj



Poza tym pustkowie na wielu km



Ponieważ trawy tu dostatek, wszędzie pasie się bydło



Gdzieś za tymi górami droga z Naryna biegnie. Ja wciskam się w te widoczną przesiekę



Jeszcze trochę



Jest coraz piękniej



Droga konsekwentnie pnie się w górę...



Szuter już nie tak podły jak wcześniej



Te konie...



... jeszcze łagodnie



W tej dolinie drogi są zbiegają. Jadę teraz w kierunku źródeł Naryna, a konkretnie Naryna Małego



Po prawej odprowadzają mnie 5-ciotysięczniki Rezerwatu Naryn



Kierunek Tosor



W dole Naryn



Szukając objazdu mogę tylko tędy, nie jest źle, tylko...



... grzęznę w piargu i dławię silnik. Kompletny brak koncentracji. Tylony most opierał się na potężnym głazie. Pozostaje tylko kopanie, przy tej czynności dostrzegam ruch od strony przełęczy (zdjęcie robione pół godziny po ich przybyciu) i przy pomocy dwóch Kirgizów usuwam głaz spod mostu i rura, tym razem już z przednim napędem. W sumie prosta sprawa, a mógł być poważny kłopot





Zostawiam stawiających obóz turystów i wio na przełęcz



Co rusz staję i tylko wzdycham. Dzisiaj żałuję, że nie stanąłem tu gdzieś na nocleg. Tylko nie było specjalnie gdzie auta postawić, by go odpalić potem. Poszwędałbym się tutaj z jeden dzionek, poszwędałbym



Z trochę większej perspektywy. Szybko zapominam o przygodzie. W zachodzącym słońcu góry mienia się szeregiem barw. Dalton ze mnie, ale jest się czym zachwycić



Coraz wyżej i wyżej. Ośnieżone szczyty na wyciągnięcie ręki



I taki sielski obrazek. Żałuję, że nie miałem teleobiektywu. Tyle razy były okazje załapać coś lub kogoś nieświadomego. To najładniejsze zdjęcia.



Trakt stosunkowo rzadko uczęszczany. Ostatnio jechali tu jacyś goście na motocykach i w kilka terenówek. Zdaje się do Chin...



Od czasu do czasu takie niespodzianki, trzeba szukać objazdu



Stą do przełęczu jeszcze kilka km, a wydawało mi się, że to już



Piesio "na tle"



Milczę



Ponad 3800m, a przełęczy nie widzę jeszcze. Z gps`a wynika, że zaraz gdzieś w lewo



Pierwsze wyraźne siodło po lewej, prowadzi na przełęcz. Sam podjazd bardzo stromy, brakuje mi reduktora



Przełęcz Tosor i...



Towarzyszą mi po prawej



Zaraz zacznę się wspinać. W ostatnim słońcu jeszcze pstrykam



... jej otoczenie



A przede mną...



Słońce już zaszło... i tylko mój dziewiczy ślad



Trudny zjazd. Kilka razy zawadziłem zbiornikiem i rozszczelnił się



... i po lewej tak



... a tak przede mną

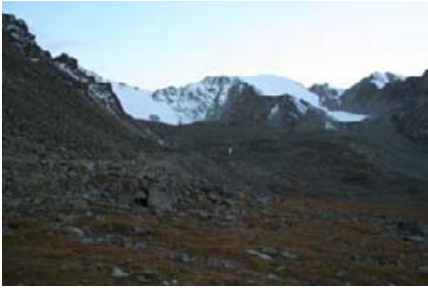


Czujesz się jak w kotle



W mroku i w cieniu osnieżonych szczytów staję na przełęczy Tosor. Tak za mną...





Musze spirzać, bo zaraz będzie
ciemno



W całkowitych ciemnościach
zaniemałem światła. Na szczęście
je odzyskałem



Musiałem cofnąć tyłem około 200m
i precyzyjnie się ścieżką dla kóz, na
skraju wąwozu

Dzień dwudziesty szósty - 2008-09-19

Rankiem okazało się, że jezioro tuż za rogiem! Przyjemnie ciepło, 17 stopni! No, to sobie wypocznę... ale za nim, to najpierw porządek z elektryką. Przede wszystkim ładowanie akumulatorów, przynajmniej jeden element jakby co, wykluczę.

Nie dziwie się, dlaczego moi koledzy wybrali sobie właśnie to miejsce na bazę wypadowa w góry. Jest tu znacznie ciszej i spokojnie niż nad zatłoczonym płn. brzegiem Yssyk Kul. Do tego czysto. Z pld strony, szczyty z mety sięgają ponad 4000 m.

Dojeżdżam do Barskoon, przemierzam ulice całe dwie i w końcu zatrzymuję się przy kolejnym magazynie. Przypatruje mi się ciekawie Kirgiz, więc walę do niego:

- Bracie, gdzie tu prąd, chce naładować akumulatory, bo problemy z elektryką mam!

- Nie ma problemu, idziemy do kolegi! U niego na podwórko jest prąd i będziemy ładować.

Raz, dwa, tri... i ładujemy, całe 10 min ładujemy i tyle tego ładowania, bo wyłączyli prąd☺

- Nic nie szkodzi, daj dziengi na benzynę to będziemy ładować z generatora! Benzynę dowozi nam poślany na koniu młodzieniec. Po trzech godzinach a bije właśnie na dwunasta, jesteśmy już dobrze zaznajomieni z Alikiem i Bolotem czyli sąsiadem od generatora. Jego żona prowadzi właśnie magazyn, czyli mydło i powidło pod którym na chybił trafił zaparkowałem.

Alik już przejął inicjatywę:

- Darek, ty pewnie głodny?

- No nie powiem, że nie.

Zapraszają mnie więc do... baru. Tu zjadamy wspólnie szorpo, czyli coś a`la gulasz i pieczętujemy znajomość wódką.

- Darek, a Archary widziałeś?!

Powiem szczerze, że nie miałem jakoś w tym roku szczęścia do dzikich zwierzaków.

Ledwo co parę zajęcy i raz świstaka przez moment, parę orłów... ot i wsio!

- To może pojedziemy razem w "nasze" góry!

Mówiąc szczerze, chciałem już zakończyć moje wojaże odpoczynkiem nad Yssyk Kolem ale:

- Co masz na myśli Alik?

- Możemy zapolować! Maszynę masz! Bolot, jedziesz z nami?

Bolot skwitował krótko;

- Jeżeli żona się zgodzi?...

Po dwóch godzinach jest już pełna koncepcja wyjazdu! Alik naciska aby jechać od razu. Decyzje zapadają szybko, na dziedzińcu Bolota, wypatraszamy Elwooda z wszystkiego zbędnego i zabieramy tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

Jak mówi stare polskie przysłowie: pośpiech wskazany jest przy łapaniu pcheł, ale Alik nalega. Mi logicznym wydaje się jednak wystartować spokojnie z rana, jemu jednak zależy na weekendzie, mamy właśnie piątek... Ok, jedziemy!

Tankujemy 20l jeszcze na wszelki słuczaj, chłopaki zabierają kilka kartonów, w tym jeden wódki, trochę konserw, chleba, ziemniaków i owoce.

Czuje, że może to być wypad życia. Tacy przewodnicy! Alik zna tu każdy kawałek ziemi. Żałuję trochę, że jedziemy wieczorem, bo już specjalnie nic nie widać. Alik szacuje, że dojazd na miejsce zajmie nam około 8h i tyle powrót, z podglądu mapy wynika, że zrobimy razem około 600km i to w niedostępnym i przepastnym rejonie.

Na początek droga znakomita, szuter pierwsza klasa, równy jak stół, więc bystro mkniemy do pierwszego postu... Zapomniałem o tych postach. Tu szybko dopominają się o opłatę ekologiczną, zamiast jednak 500 somów, płacę 200 ale małe to pocieszenie, bo przy wyjeździe bez szciotu, czyli rachunku i tak się upomną o te opłatę, gdy będę opuszczał Park Narodowy Yssyk Kol. A niech tam, potem się będę martwił. Droga pnie się ostro do góry, na początek dwie przełęcze, w tym druga pod 4000m i to na bardzo krótkim odcinku. Temperatura bardzo szybko spada, już w zupełnych ciemnościach Alik daje dyspozycję zjechania na południe, prosto w kierunku granicy. Też w tym celu aby ominąć post w Kara Say na którym na pewno upomną się o pozwolenie na poruszanie w terenie przygranicznym. Gwiazdy mam dosłownie przed sobą, na wysokości maski! Droga jest w fatalnym stanie, pokonujemy grzęzawiska, szerokie koleiny, brody i Bóg jeden wie co jeszcze. Na pewno pomaga nam w tym dobry humor i parę stakanków wódki. Alike narzuca tempo, Bolot jednak nie pije. Jak twierdzi, wypił już cały Yssyk Kul i na razie wystarczy. Ma rację, muszę też zachować koncentrację.

W świetle księżyca majaczą jakieś wysokie masywy. Jest już kolo pierwszej w nocy ale jedziemy dalej. Temperatura dosłownie szaleje! To jest -4st a zaraz +14st! W końcu jednak stabilizuje się na - 6st i tak mkniemy sobie podśpiewując do księżyca, to do siebie. Alik w tych zupełnych ciemnościach rozświetlanych tylko reflektorami i skąpym światłem „tysego” bezbłędnie odnajduje drogę i doskonale nas prowadzi:

- Teraz w lewo, zwolnij, przyspiesz bo będzie błoto!

Itd... Niesamowite. Gps kreśli dziewiczy ślad na mapie. W pewnym momencie dojeżdżamy do przełamanej mostu. Alik wychodzi i sprawdza, konsultuje się ze mną:

- Dasz radę, Darek?

Przede mną głębokie, ostro wcięte "V". Poza tym most wydaje się stabilny.

- Dobra, dam radę i auto płynnie przejeżdża. Jeszcze parę km trudnego terenu i Alik rzuca:
- Możesz teraz wyłączyć przód! Będzie już nie co łatwiej.
- Nie załączałem przodu, to jeszcze nie ten poziom trudności.
- No, ładnie idzie maszyna!

Księżyc świeci już prawie jak słońce, otwiera się przed nami perspektywa. Jesteśmy na jakimś ogromnym płaskowyżu zamkniętym po bokach z jednej strony wysokimi szczytami odgradzającymi nas od Yssyk Kul i drugiej jakimiś granicznymi łańcuchami Tien Szan. Dosłownie w powietrzu czuć tą dzikość i niedostępność, gdy nagle Elwood zaczyna przerywać i staje.

- Co jest Darek? Zabrakło paliwa?
- Nie, to niemożliwe, wleczemy się strasznie, ale przed ekskursją w baku było około 50l, poza tym dolaliśmy 20l, no i w zapasie mam około 40l.

Chwilę jeszcze deliberujemy wspólnie, kiedy mój wzrok spoczywa na wskaźniku temperatury zewnętrznej... pokazuje - 8st!

- Panowie, chyba zamrzło nam paliwo. Teraz już i tak nic nie zwojujemy, idziemy w kimę, rano przyniesie skok temperatury, wymienimy filtr paliwa, bo ich dostatek i pojedziemy dalej!

Na dobranoc wspólnie wychylamy po stakanku, jest trzecia nad ranem...



Wąwóz Tosor, którym zjechałem z widocznej w tle przełęczy



Jest ciepło. Pogoda i otoczenie nastrojają optymistycznie. Można by rzec, że z górami koniec...hm. Tak myślę w tym momencie



Elwood wypatroszony, gotowy do wyjazdu. Ten pośpiech okaże się brzemienne w skutkach...



Cmentarz przy drodze. Jade wzdłuż Yssyk kul na wschód, w kierunku Barskoon



W bramie magazynu Czyngiz ładuję akumulatory, z generatora

Dzień dwudziesty siódmy - 2008-09-20

O 6.00 panowie rano poszli się przejść, a ja dumalem co teraz. Alik wrócił pierwszy:

- No zwierza tu dość! Widziałem pierwsze Archary! Zjemy coś teraz szybko i jedziem.

No ładna, zjeść można, ale, żeby pojechać to potrzebne jest ciepło! Bolot po przyjeździe i konsultacjach ze mną, doszedł do tego samego wniosku, że:

- paliwo zamarzło,

- może blokować przewody i filtr.

Odlewamy więc, baniaczek podgrzanej saliarki, czyli ropy i łączymy bezpośrednio z pompą.

Po drodze, gdy całe paliwo odmarznie, spokojnie pojedziemy dalej. Tak też czynimy. Ściągamy kanister z rezerwą i przelewam do 5l baniaczka. Z kanistra leci krupnik... Zlewam z powrotem i zrywając trawę rozpalmy i podgrzewamy ile można. Po dwóch godzinach paliwo już przypomina paliwo, robimy otwór w korku, odpinam przewód paliwowy i w jego miejsce nakładam przewód z baniaczka. Pracujemy równo z Bolotem, podoba mi się chłop. Niezwykle spokojny, zrównoważony. Nic się nie stało, normalka... No ładna normalka, trochę mi wstyd za te paliwo, ale za diabła takich temperatur się nie spodziewałem tutaj, zresztą widać, że chłopaki nie mają do mnie żadnych pretensji, zero wymówek. Jedynie Alik nie dowierzał i sugerował, że skończyło się paliwo. Tego wariantu jednak ja absolutnie nie brałem pod uwagę. Musiałaby się rozregulować pompa... a może?! Tfu, przez lewe ramię, tfu! Nie kracz Bracie!!

Bolot sprawnie odpowietrza pompę i startujemy. No właśnie, nie możemy wystartować, bo auto zaległo w malej niecce i żeby w ogóle odpaliło musimy je jakoś wypchać z drogi w poprzek trawersu. Bolot obchodzi teren i stwierdza obecność samych "jam", no ja jestem większym optymistą (choć miejsce na postój najgorsze z możliwych) i donoszę, że górka jest, więc tylko wypchać...

Pchamy i pchamy, a Elwood ani drgnie! Zrzucam go z biegu☺ i powoli daje się ustawić w dół zbocza, nie możemy tylko przeginać bo to zbocze zaraz się urywa. Wskakuję w biegu, dwójka i... wrrrrr, słycać pracę silnika. Wyciągnąłem ręczne ssanie, chwila niepewności. Po 30min w końcu auto odpaliło! Szybko nabieram prędkości, mimo hamowania silnikiem. Elwood podskakuje jak piłka. Biorę łagodny łuk, żeby nie strzelić boka na trawersie i parkuje przed chłopami.

Pakujemy się i jedziemy. Alik sięga po eliksir:

- Masz Darek! Rozgrzejemy się!

No nie odmawiam tym razem, widoki przepiękne, o takich marzyłem, przygoda w toku, nie ma co. - Na zdrowie!

Jedziemy po woli, by baniak się nie wywrócił czy poluzował. Przed nami kolejny ostry podjazd. Rozpędzam Elwooda gdy... silnik przerywa i staje.

- Spokojnie druzja! Pewnie za szczelnie opasaliśmy przewód i podciśnienie w baniaczku zrobiło swoje!...

Nie przekonuje mnie to jednak, zwłaszcza, gdy okazuje się, że baniaczek jest pusty. Co jest do diaska, przejechaliśmy może ze dwa km, a paliwa nie ma?! Na zewnątrz -2st, słońce skąpe, wieje do tego chłodny wiatr. Kurde, jak nam paliwo nie odmarznie, to przy takim spalaniu całą rezerwę szlag trafi w try miga.

- Alik, ile do tej stacji jeszcze?

- No tak ze dwie, trzy godziny.

- A ile to km?

- Nie wiem, może 40 - 50km?

Dobra, odpalamy go z baku. Bolot odpowietrza filtr i jedziemy... 200m. Teraz scenariusz wygląda tylko tak:

- odpowietrzenie,

- 200-500m,

- odpalenie...

... i tak w kółko, przez cały Boży dzień! Nie ma wyjścia, musimy dojechać do granicy, tam Alik ma dobrego znajomego i wspomogą nas dobrym paliwem, ale przede wszystkim dadzą też trochę benzyny, w której umyjemy filtr i resztę dodamy do paliwa.

Okolica taka cudna, a ja zdjęć robić nie mogę. Nie wziąłem też ładowarki i na mrozie, ta w aparacie szybko padła. Wyciągam ją więc i wkładam w gatki, tam najcieplej. Może się uda zrobić chociaż kilka?

Ale powiem Wam, że uszło ze mnie lekko powietrze. Pomyślałem: po coś się pchał w te góry?! Szybko jednak wybijam fetysz z głowy. Takie myślenie do niczego nie prowadzi, tu trza wykonać zaplanowaną robotę i tyle. Martwi jednak fakt, że w takim trybie paliwo znika w oczach.

Na szczęście dla Alika, jest wódka, którą posiłkujemy się, w końcu i mi nawet nastrój się poprawia.

- Darek, spokojna, już nie daleko!

Według gps`a, przejeżdżamy około 30km i stajemy na nocleg. Tym razem już wszyscy razem mościmy sobie legowisko i przykrywamy się wspólnie śpiworem i pledami z wełny Bolota. Jak dobrze, że je zabrał...

Dzień dwudziesty ósmy - 2008-09-21

6.00, ładny niedzielny poranek. Tym razem udało się nam zaparkować w sposób umożliwiający bezproblemowe odpalenie. Które to z kolei? Na pewno kolejne, kolejne i kolejne. Przechodzę zmiany nastrojów, Kirgizi jednak zachowują optymizm, no najbardziej to Alik.

Już wczoraj ujrzałem swoje pierwsze kozły Marco Polo, jest ich tu sporo, ale są bardzo płochliwe, tym bardziej, że polują na nie, nie tylko wilki. To jakaś tam satysfakcja dla mnie. Ooo i wilk jest! Alik jak zwykle widzi wszystko pierwszy. Stoi na wzniesieniu i się nam przygląda. Gdy my się jemu przyglądamy Elwood "gaśnie" po raz kolejny. Jak maszyna stanęła, to wilk szybko dał nogę... ot cwaniaczek!

Więc pompujemy, odpalamy i kończy się nam powoli paliwo. Alik twierdzi, że jeszcze tylko przeskoczyć dwie przełęcze i już granica. No tak, najgorzej te podjazdy, gdy Elwood na nich właśnie gaśnie, choć lepiej niż na prostym. Jest tak stromo, że chwila moment i auto pędzi w dół, a ja cofając się, nie wiele mogę dostrzec. Dopracowaliśmy się jednak paru patentów i dajemy radę. Paliwo jednak znika kosmicznie. Na jednym z ostatnich podjazdów musiałem wyprosić Kirgizów z auta, bo na jedynce nie dawałem rady! W końcu Alik melduje:

- Tam za winklem jest stacja, to 2,3km.

I całe szczęście, bo już kombinowaliśmy z Bolotem, że przyjdzie nam paliwo ściągać z baku.

Generalnie zasada była taka, na paliwie z baku ciągnęliśmy 200m odcinki, na paliwie z baniaczka do kilometra, w zależności od ochoty na tempo, raz tak ciągnęliśmy, a raz drugi. Stacja to ostatni posterunek przed granicą z Chinami. W dali majączy przełęcz Bedel i tam już Kitajcy. To w dali, to jakieś 10km, tyle z gpsa wychodzi, wydaje się na wyciągnięcie ręki.

Tu spotyka nas spora przykrość, okazuje się, że znajomego Alika zastąpił młody Kazach i rozmowa od razu przybiera fatalny dla nas obrót.

Alik w ostatniej chwili wciska amunicję głęboko za siedzenie, a pogranicznicy przetrząsają auto. Jest naprawdę nieciekawie. Kazach wykrzykuje coś w kirgiskim to w ruskim:

- To jest granica, gdzie wy tu bez pozwolenia! Jeszcze ten turysta! Aresztuje was.

W końcu znikają gdzieś we dwójkę, a my z Bolotem spokojnie siadamy pod płotem. Znaczą on spokojnie a ja dziwnie spokojnie. Mam nadzieje, że Alik wie co mówić.

Wolałbym odegrać tradycyjnie swoją rolę, tu klimatu absolutnie pozytywnego nie ma, za grosz. Z jednej strony, niby ocaleni, ale z drugiej to wpadliśmy chyba z deszczu pod rynną. Po dwóch godzinach przyjeżdża jakaś ekipa myśliwych. Repetują bron, podjechali Misiem Pajero, lukam. Silnik V6, więc benzyna. Ok, jakby co, to pójdziemy po prośbie.

Po chwili wychodzą wszyscy razem, okazuje się, że ci z Pajero to dobrzy znajomi Alika. Atmosfera już nie tak gęsta, Alik obejmuje Kazacha i coś mu szeptem. Koledzy szybko odlewają nam 5l benzyny na wszelki słuczaj. Komendant zaprasza nas na czaj:

- Pijesz czaj Darek?

- No oczywiście, że pije.

Siadamy do stołu, po dawnej agresji już ani śladu, ale Alik sugerował w przejściu, aby się w ogóle nie odzywać. Wymieniamy więc grzeczności, tradycyjnie pitolenie o cenach, tu rozczarowuje przy okazji komendanta, gdy dowiaduje się, że nie jestem nadzianym turystą. Na potrzeby podróży zawsze jestem nauczycielem fizyki, w końcu niedoszłym, więc nie grzeszę strasznie.

Komendant nawet sam nalewa nam wódkę, on jednak nie pije. Ramazan. Wypijamy więc jego zdrowie.

Potem Alik daje znać z komendantem, abyśmy z Bolotem poszli na spacer. Wychodzimy na zewnątrz i siadamy pod płótnem, osłaniając się od przenikliwie chłodnego wiatru. Spoglądam w kierunku granicy chińskiej to na Bolota.

- Ten Kazach to drań, ment. Tylko czycha na kasę...

I wymownym gestem krzyżuje palce przed oczami. Chyba nie ma nas na myśli? Zresztą tak naprawdę, to jesteśmy dla komendanta kłopotem, który najłatwiej rozwiązać małym okupem. Przecież nas nie zamknie, bo nic mu z tego. Specjalnie, poza brakiem pozwolenia, tonic na nas nie ma. Tak sobie rozmyślam, chowając się przed wiatrem i wystawiając twarz do słońca. Powieki robią się coraz cięższe, przesuwają mi się obrazy, śnię na jawie. Z odrętwienia wrywa nas Alik przyprowadzając komendanta:

- Darek, trzeba komendantowi sprezentować spalnyj mieszek!

Nie wspominał już, że dałem mu moje ostatnie 800 somów. Biorę Alika na stronę i pytam:

- A dlaczego mój?! Wiesz co, ja z nim pogadam!

Przybieram postawę uległą, ale bez przesady i nadaje:

- Panie komendancie, bez tego śpiwora moje wojaże po górach przy obecnych temperaturach są niemożliwe. Dostałem go od sponsora i co mu powiem? Trudna sprawa, poza tym zobowiązałem się do relacji a nie ma jazdy po górach to brak relacji...

- Darek, rozumiesz.... macie duży problem! Tu granica, jutro wizytacja, to dla mnie tylko kłopot.

Hm, przegrałem więc mieszek, przegrałem kasę...

- Ok, ale daj chociaż 40l saliarki i trochę benzyny.

- Mogę dać 20l, trudno mi będzie się rozliczyć!

Komendancie, mieszek to koszt około 200\$ plus te somy... to niezła cena za 40l!

- 30l i ani grama więcej!

- Ok! Zgadzam się od razu.

Po chwili żołnierz przynosi paliwo i lejemy je do baku, pozostałe 10l wlewam do kanistra na zapas.

W międzyczasie Bolot płucze filtr w benzynie, a jej resztę, czyli prawie 5l dolewam do baku.

Żegnamy się. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Zmiana planów już raczej pewna, w Altaju to pod kocem zamarznię... Bolot jest całą sytuacją mocno zażenowany. Wspólnie wyzywamy sobie komendanta od bladzi, nie przeszkadza to jednak strzelić z nim fotkę☺

Na koniec jednak zadaje pytanie:

- Druzja, nie udała się przeze mnie podjezdka?

Ee ee, jebał pies komendanta. Alik pociesza mnie:

- Darek, ja mam w domu mieszek to ci dam!

Nie, nie ma sprawy. Ta przygoda z Wami jest więcej warta niż wszystkie mieszki, poza tym kosztował on 150\$ i jest mój, więc problem będę miał tylko z żoną.

Śmiejemy się, no ale jak Elwood?

A Elwood po staremu. Ale wcześniejszemu! Idzie jak czołg i wsio ma głęboko. Tyle, że znowu zleciał cały dzień i wieczór tuż tuż. Staje szybko i w ostatnim słońcu robię nam zdjęcie.

Jest tak pięknie,... wiem jedno. Moja przygoda z Kirgistanem dopiero się zaczęła. Te tereny są naprawdę fantastyczne i Kirgizi zapraszają mnie:

- Tym razem koniecznie musisz przyjechać z rodziną. Maszynę zrobisz i pogulamy po takich rejonach, że hej! A takich kanionów Czarynów to tu za każdym rogiem ałoo, tyle i wymownym gestem podsumowuje.

Alik nalewa po stakanku. A niech tam, na pohybel! Tym razem mamy więcej szczęścia i dłużej mogę się delektować otaczającą przyrodą.

- Patrz, patrz! Cztery Archary!

Wystawiły się jak do zdjęcia, na grani...

Czeka nas trudny, stromy podjazd, ale już wiem, że należy cisnąć na jedynce do oporu. Potem trudny bród, w tę stronę był łatwiejszy podjazd, w drugą czyli obecną jest stromy najazd, około 2m, ot taki próg wyrzeźbiony przez rzekę.

Pierwsze podejście jest nieudane... zapomniałem włączyć przedni most. Przy drugim, przy chręście stali lądujemy na górze, tyle, że poprosiłem, aby obaj wysiedli na moment.

- Maładiec! Teraz jeszcze tylko przełamany most. Jedziemy nim, czy brodem?

- Nie, mam już dość offroadu na tej ekskursji. I śmieje się.

Naprawdę się ciesze, bo powrót już dużo łatwiejszy i w jakże innym nastroju. Elwoodzik kochany nie zawiódł po raz kolejny. Z tym rozrusznikiem to się już chyba pobujam do kraju, tak czuję. W końcu osiągamy ten gładziutki szuter. Na początku jest lekko z górki, więc toczę się praktycznie cały czas na luzie. Ostry zjazd z przełęczy na biegu, oszczędzam paliwo jak mogę.

Do Barskoon wjeżdżamy w środku nocy, po drodze trochę przekomarzań na poście, przy okazji pęka tam równe 10000km. Tuż przed miastem zatrzymuje nas patrol Biezapasnej Służby, czyli służby bezpieczeństwa i trzepią auto. Szukają złota, bo dowiedzieli się, że zjeżdżamy z okolic Kara Say, a tam kanadyjskie Kamień& dobywa szlachetny kruszec. W dali widzieliśmy światła kopalni, pracuje na okrągło. Ludziska tam dygają po 18h by zarobić 1500\$ Praca dobra, tyle tylko, jak długo tak można ciągnąć?. Prawie każdy z Barskoon tam pracował...

Zanim zaległem w łóżku, Bolot przygotował szybko jakąś przekąskę. Ale nie mam ochoty jeść, pije tylko krowi kumys, czyli kefir i szybko kładziemy się spać. Dzisiejsza noc jest bardzo chłodna, oscyluje już wokół zera, a dwa dni temu było jeszcze 17st! Tak, jesień tu krótka.

Długo jeszcze nie mogę zasnąć, myślę o wilkach, lisach, Archarach,..., pograniczu, komendancie..., tyle tego się wydarzyło...

W końcu zapadam w nicość...



Najgorzej było jak Elwood zdychał w takim miejscu, nieraz pchaliśmy go we trójkę i 100m. Albo spychaliśmy w dół takiego zbocza



Sponiewierani z Bolotem. Jak się okazało, 4 dni wcześniej jechał tędy Ural z zaopatrzeniem dla postu. Jego ślady widoczne na trakcie. Nas czekał ostry zjazd (a w drodze powrotnej podjazd) do tej doliny, praktycznie tylko na dwóch serpentynkach. W lewo otwierał się na dole kosmiczny krajobraz, cudny wąwóz ze ścianami na 300-400m. Do postu jeszcze około 10km



W środku 22-letni komendant, żeby nie powiedzieć gówniarz. Dosłownie trzy dni temu został oddelegowany kumpel Alika, na pogranicze z Chinami. Stąd Alik (ten z prawej) nie mógł o tym wiedzieć. Zdjęcie miało być tak robione, aby nie było widać budki wartowniczej.



Jeszcze tylko jedna fotka ze mną będzie... Łącznie, zdaje się, 6szt ich było z 1433 zdjęć



Po tym zdjęciu, bateria padła na amen. Niteczki wiodą do doliny, w której położony był posterunek graniczny. Te ośnieżone szczyty to już Chiny. Zresztą za niecałą godzinę, było już ciemno

Dzień dwudziesty dziewiąty - 2008-09-22

Nie, to nie pomyłka... dlaczego? To bardzo długa historia.

W maszynie ziąb straszny, ale opatulony w śpiwór elegancko znoszę niewygody. Alik kimał na siedzeniu pasażera i zmarzł okrutnie, my z Bolotem wtuleni w siebie jak niemowlaki mieliśmy się całkiem dobrze tyle, że po co wstawać parę minut po 6-tej! Na litość Boską, i tak trzeba czekać, aż się ociepli.

- Darek wstawaj, jemy śniadanie i idziemy się z Bolotem przejść, widzisz jakie klimaty?!

Widok zapiera dech w piersiach, mroźne powietrze również. Słońce już gdzieś tam wstało, ale wyplaszczenie, na którym jesteśmy okrywa się jeszcze cieniem. Trochę wieje, ale zobaczymy... i w tym momencie zdaję sobie sprawę, że... nie wziąłem filtrów paliwa, baniaczek z benzyną też został przy generatorze... Szlag!

Dobra, wyciągam saganek, i łajno jaków jeszcze spod Piku Lenina. A tak się Alik śmiał i nie widział potrzeby zabierania, bo ponoć łajna wszędzie miało być dostatek. Nie tutaj. To pustkowie, nie ma pastwisk, a z nimi domowych zwierząt.

Teraz przynajmniej zagotuję w kazanie wodę na kawę...

Jeszcze w nocy śledziły nas pary świecących oczu:

- To wilki.

- Jesteś pewien? Skąd wiesz Alik, że to wilki? A może lisy?

- To wilki.

Przecież normalnie się nie szwendają za ludźmi, swój rozum mają.

- Te jakoś się szwendają, ciekawe... Pewnie skurczybyki wiedzą, że nie mamy broni, czy jak...

Broń mamy odebrać po minięciu granicznego postu na jakimś zadupiu, od znajomych Alike i tam ją mamy potem zostawić, bo gdyby nas na drodze z bronią spotkali... ale wracajmy do wilków. Jakoś te patrzalki dawały na wyobraźnię, wracam pamięcią do Białego Kła, ech, brr, z wilkami nie ma żartów.

Parzę więc, te wodę. Odszedłem od auta na jakieś 5m, do niecki, gdzie wydawało się, że mniej wieje. Szybko rozpałem ogień, jego ciepło przyjemnie grzało szybko marznące dłonie. Grzejąc je, poczułem na sobie spojrzenie, to pewnie Alik już Bolotem wrócił.

- No widzicie, a mówiłem, że gówno...

Odwrociłem się i głos uwiązał mi w gardle. Jakieś 5m ode mnie stał wilk! Nie znam się na zwierzakach, ale od razu wiedziałem, że nic dobrego z tego wyniknie. Nie mogłem przełknąć śliny, co teraz?! Biorąc pod uwagę auto, tworzyliśmy idealnie trójkąt równoboczny. Tyle samo metrów do auta i do siebie... Jedyne co mogłem zrobić szybko, to założyć rękawiczki "fakirki", takie robocze, z jedną stroną gumowaną, drugą z bawełny. Złapałem za uszy kazań, bo to jedyna bron pod ręką była, siedziałem tak w kuckach i patrzyłem na wilka. Ten zaś centymetr po centymetrze przesuwiał się w moim kierunku, niby nic, ale dystans zmniejszał.

Kątem oka spojrzałem na Elwooda, że też cholera zamknąłem boczne drzwi! Tam na wierzchu siekiera. Odstawiłem powoli kazań, wilk się zatrzymał, przesywał mnie swoimi ślepiami... Nagle złapałem płonące gówno jaka, ciskając nim w wilka, ruszyłem do drzwi. Złapałem za klamkę, już byłem przy drzwiach, kiedy przesywał mnie potworny ból!

Ścierwo dorwało się do mojej łydki! Nie mogłem wskoczyć do auta, tylko szamotaliśmy się przy drzwiach. Nie mogłem zrobić nawet pół kroku, wilk szarpał za łydkę, zaraz mi ja pewnie wyrwie, strasznie szybko opadam z sił. Kurwa, to nierealne pokonać bestii, bez jakiegoś narzędzia. Jego szczęka, jak imadło, miażdży tkanki, a ty nic nie możesz zrobić... tylko krzyczeć w niebogłosy:

- Alik!! Bolot!! Ratunku!! Ratunkuuuu!!

Wilk, jakby na moment przeraził się mojego dzikiego wrzasku i zwolnił chwyt. To wystarczyło, by ostatkiem sił, wgramolić się do auta, ciągnąć za sobą potwora. Rozpaczliwie próbowałem sięgnąć siekiery. No kurwa!! Gdzie jesteś siekiero, Jezu!! Nagle coś we mnie wstąpiło, szarpnąłem się nadludzko i poczułem, że chyba... nie mam łydki! Udało się! W dłoni mam chłodny drzewiec... Patrząc już prosto w ślepią wilka walnąłem z całej siły, między wymierzone we mnie gałki! Ten trzymał jednak mocno. Walnąłem drugi, trzeci... waliłem obuchem! Nie mogłem przekreślić rękojeści tak, by trafić ostrzem. W końcu wbiłem je w łeb z całej siły...

Wilk opadł. Spojrzałem na ręce, były całe we krwi...

Gdy się ocknąłem, stała nade mną żona Bolota.

- Darek! Czy wszystko w porządku?

- O Boże, jęknąłem, jestem uratowany!

Pierwsze, spojrzałem na ręce, dalej były we krwi i potem szybko na nogi, zacząłem rozpaczliwie zwałać pled by zobaczyć co z nogą?!

Łydka cała we krwi ale... cała!

- Jest, jest, krzyczę!

- Co jest Darek?!

- No łydka! Łydka jest na swoim miejscu.

I nagle... poczułem znowu straszliwy ból. Tyle, że wilka już nie było. To był... skurcz!!

Rany Julek, więc to był sen! Usiadłem na łóżku, skołowany. Patrzę na ręce, na nogi...Ale skąd krew?! Przy łóżku, stoją dwaj najmłodszy i zanoszą się od śmiechu. Moja żona zna już ten ciężki przypadek, który mnie dopada „ab und zu”. Ten sen, to była erupcja nagromadzonych w ciągu tych dwóch dob emocji. Mało snu, sporo walki, aresztowanie na granicy...

A krew? A no stąd, że zdobywając mój pierwszy „dziewiczy” pamiński 4-tysięcznik, poobijałem sobie strasznie golenie, i szamotając się przez sen z moją nogą, rozdrapałem strupy...

No, jak się już ogarnąłem z tym wszystkim, wilkiem, krwią itd. Bolot zaciąga mnie na śniadanie.

Siedzimy całą rodziną, poza drugim najstarszym od końca synem, który uczy się w Biskeku. Bolot ma pięciu synów, małżonka więc, nie ma wielkiego wsparcia w sprawach domowych. Zresztą dodatkowo prowadzi ten magazyn otwarty od 6.00 do 23.00. Tuż nad jeziorem mają 10ha ziemi, sadu z brzoskwiniami, jabłkami i gruszami. Tradycyjnie trochę zwierza domowego, są samowystarczalni. Powodzi im się lepiej niż sąsiadom, ale okupione to jest mnóstwem wyrzeczeń i ciężką pracą.

Na śniadanie jajecznica i sałatka ze świeżych ogórków i pomidorów skropionych olejem w delikatnej przyprawie. Do tego prawdziwa kawa i czaj z mlekiem. Pychota! Wszyscy się ze mnie śmieją raz jeszcze, gdy wytłumaczyłem, skąd te moje poranne wrzaski, co pół domu postawiły na nogi. No, sen był tak realistyczny, zresztą chwilami trudno mi jeszcze uwierzyć, że szafneliśmy ten temat, tyle tego pompowania...

Młodsze dzieciaki, Czyngis i Ingiz idą do szkoły, żona do magazynu (pomaga jej tam 25-letnia Mira i wyręcza Ingiz, gdy ma wolne, a mama musi się zająć domem). Bolot na pole, a ja... Ja biorę się za powolne pakowanie auta. Mam czas i nie mam kasy. Za dwa dni żona mnie wspomocze, więc teraz mogę się oddać wszystkiemu. Mycie, pakowanie, zajmuje mi cały Boży dzień. Wieczorem, gdy będzie prąd, obiecałem zgrać im wszystkie fotki na komputer domowy, bo taki mają. Mają nawet Internet! Ale chwilowo nie raportują,

nie skumałem do końca dlaczego, a szkoda, bo mógłbym Wam świeże wieści puścić szybko, a i pościągać te programy do zmniejszania fotek. Wszyscy oglądają zdjęcia z wypiekami na twarzy, podobnie było w Pamirze. Generalnie to Kirgizi i Tadźycy bardzo lubią się fotografować i pozwalają bez problemu, nawet zachęcają, Afgańcy też chętnie pozowali. Korzystałem też za dnia z nieobecności domowników i latałem w gatkach co by jeszcze trochę tego ostatniego słońca złapać. Przy okazji w ogródku wytropiłem krzak "gieroiny", która jest tu dość pospolitym zielskiem Jutro już nie dam się dłużej zatrzymać, chce jeszcze trochę sam pobyc nad Yssyk kulem skoro pogoda tak dopisuje. W nocy już jednak temperatura oscyluje wokół zera, jak zjeżdżałem z Tosor to chyba był ostatni tak ciepły wieczór nad jeziorem.

Śpię przy otwartym oknie, ale wełniane pledy doskonale trzymają ciepło. Może kiedyś takie kupię do domu, naprawdę praktyczna i ładna rzecz...

Dzień trzydziesty - 2008-09-23

Poranek podobny, wspólne śniadanie, też jajecznicą. Decyzja już zapadła, spadam dzisiaj, tyle, że ciężko się jakoś rozstać z tymi ludźmi. Bolot prosi żebym chociaż do obiadu został.

- Ok, tylko pomóż mi wtarabanić moje madejowe łóżko do auta, żebym mógł dokończyć pakowanie.

Do obiadu mam już wszystko w środku, kiedy wpada Bolot i informuje, że krowa padła na drodze. Widocznie ją auto potraciło... taki pech. Trza szybko sprawić ją na miejscu. Bolot chwyta nóż i w drzwiach jeszcze rzuca:

- Darek poczekaj tylko na mnie!
- Może Ci w czym pomóc?
- Nieee, to pójdzie szybko.

W czasie gdy spakowałem się, Bolot sprawił krowę. Żegnamy się, wymieniamy adresami, wpada Alik:

- Darek już jedziesz?!
- No tak.
- A pieniądze z domu już masz?

Nie, odbiorę jutro. Spokojnie dam rade, naprawdę się nie przejmujcie!

Chłopy się naradzają, w końcu Bolot podchodzi i wciska mi 1000 somów.

- Daj spokój! Nie nada!

Alik bierze kasę i mówi do mnie:

- Jedziemy!
- Gdzie?
- Jedziemy!

Podjeżdżamy na stację paliw, Alik karze koleśowi lać 40l paliwa.

- Do Almaty można ci wystarczy?

Wracamy pod magazyn, Bolot chce mnie wyposażyć jak na wojnę, świeżym mięsem z ubitej krowy, ziemniakami, owocami... No nic nie mogę przyjąć ale nie śmiało wspominał o arbuzie. Wiecie, chodzi ten arbuź za mną już od tygodnia. Po chwili Bolot pakuje mi do auta ogromnego arbuza. Zaglądam jeszcze na podwórze do Alika. To taki wieczny bezrobotny, normalna robota mu nie służy, zreszta dużo jej tu nie ma. Do kopalni nie pójdzie robić. Tak naprawdę, to nie wiem z czego on żyje. W ogrodzie siedzi kilku gości i piją wódkę. I ja wypijam za ich zdrowie. Zwłaszcza jeden z nich przykuwa moją uwagę. To weteran wojny afgańskiej. Musiało być już bardzo źle, skoro Rosjanie na ten front posyła

Kirgizów. Ciemniejsze nacje służyły z powodzeniem na zachodzie, w NRD, Polsce, Czechosłowacji... Za to biali Rosjanie wojowali na wschodzie. Podczas krótkiej rozmowy, weteranowi łzy nachodzą do oczu. Ciężko mu wspominać. Jego oddział złożony był z niewyszkolonych żołnierzy, w pośpiechu wysyłanych na front, który się załamywał:

- My szli, kak te barany, na rzeź.

Okazało się, że ze stuosobowego oddziału ocalało tylko trzech żołnierzy, w tym on. Najbardziej wstrząsające zaś było to, że wystrzelała ich grupa dzieci, może najstarszy z nich, miał 8 lat?!! Pojawiali się z nikąd, oddawali serie z kałasznikowów i znikali tak szybko, jak się pojawiali. W niespełną godzinę, wybili cały oddział...

Wracam na ulicę, Mira pracująca w magazynie również przychodzi się pożegnać:

- Darek a w fabryce rękodzieła byłeś?

- Nie, a gdzie ona się znajduje?

- Choć, to niedaleko, zaprowadzę cię!

Parę domów dalej wchodzimy w spore podwórze, na zapleczu domu znajduje się duży warsztat gdzie właściciel wyrabia czapki, kaptcie itp., ale podstawą jego egzystencji jest budowa jurt. Oprowadza mnie, pokazuje zdjęcia. Dwie jego jurty stoją nawet w Kalifornii, nie są tanie. Ceny od 50 000\$...

- Fajny pomysł miałaś Miro!

- Dziękuję, tak myślałam, że ciebie to zainteresuje.

Niestety już po sezonie i fabrykant nie ma ani jednej czapki, zresztą ja pieniędzy. W czapki zaopatrzyłem się jeszcze w Pamirze, na targu w Murghab i Chorog.

Ostatecznie zbieram się z Barskoon i jadę leniwie brzegiem jeziora szukając odpowiedniego miejsca na biwak. W dali widzę cypel, to jest „to” miejsce. Parkuje w sadzie moreli, dając sobie szansę odpalić auto bez pomocy z zewnątrz. W słońcu jest ciepło, w cieniu temperatura około 16 stopni. Jak prawdziwy turysta biorę koc, krzesło i arbuza pod pachę. Piasek czyściutki i cisza wokół, tylko szum morza, kirgiskiego morza.

Opalam się i czytam. Nadrabiam zaległości, przebrnąłem jeszcze raz przez Modlitwę o deszcz Jagielskiego i wspominam mój krótki pobyt w Afganistanie. W miejscu zapomnianym przez Boga, zamkniętego łańcuchami Hindukuszu, Pamiru i Karakorum, Korytarza Wachańskiego.

Po ostatnich przygodach zauroczył mnie Kirgistan, bardzo się cieszę, że zaliczyłem okolice Song Kul i tę pojezdkę z dwoma Kirgizami... muszę tu wrócić!

Słońce zachodzi szybko, rozpalam ognisko i czytam w świetle warsztatowej jarzeniówki. W kazanie gotuje się pierwszy od wielu dni własny ciepły posiłek. Cebula zeszkłona w oleju i ryż z kaszą gryczaną w wywarze rosółowym. Wystarczy!

Spróbowałem nawet kąpieli, jutro wszystko powtórzę, będę się byczył cały dzień. Kapał, opalał, czytał i wcinał arbuza, pysznego chłodnego arbuza...



Leniwie przegląd wszystkiego. Jestem gadem, Ci co mnie znają, dobrze o tym wiedzą. W ostatnim słońcu wystawiam do niego każdy niemal członek. Latam po tym podwórzu w gatkach, piorę wsio, ładuję akumulatory, sprzątam... taka gosposia ze mnie



Mira wyciąga mnie do fabryki jurt...

To chyba fabryka, bo "wigwam" zaczyna się od 50 000\$. Kilka jurt tego gościa stoi w Kalifornii. Zalety jurt są nie do przecenienia. Stawia się ją w kilka godzin, wytrzymuje huraganowe wiatry, chroni przed najcieńszym mrozem, latem daje zbawczy chłód. Koleś wyrabia przy okazji wszystkie "kredensy" i takie tam, potrzebne w zagospodarowaniu przenośnego obejścia



Szkielety jurt



Wełna w obróbce... Filc rules. Żadna membrana nie zastąpi zalet wełny



Fabryka pracuje



Magazyn Czyngiz, żona Bolota



Spacer po Barskoon



W tym gaju morelowym się rozbijam



Dzień ma się ku końcowi, słońca czerpałem wiadrami z... Yssyk Kula



Mercedes nastarszego syna... na litewskich blachach



Pogoda jaka jest...



Tien Szan u wrót Barskoon, czy Barskoon u wrót Tien Szan?



... każdy widzi



Magazyn Czyngiz



Elwood w gaju



Pstrykam i pstrykam...



Jadę nad Yssyk Kul



Sorry za tyle ujęć, ale tak tu pięknie, że nie wiem co wyciąć. Więc tnę... z umiarem.



... i maluję obrazy



Tam gdzieś... Polska. Tylko
6000km



Biwak w gaju



Hej słoneczko...

Dzień trzydziesty pierwszy - 2008-09-24

Noc była chłodna, zmarzłem w stopy. Mogłem zabrać jeszcze jedną parę wełnianych skarpet, jako takich „kapci” do auta właśnie, coś trzeba będzie pokombinować w temacie... Rozpalam pod kazanem ogień, będę grzać wodę na kawę. Mleka nie mam, ale jest śmietanka w proszku i to dosłownie. Zdażyła się ładnie wymieszać z ziołami prowansalskimi, ciekawe jak będzie smakować? Moje rozważania przerywa nagle tętent koni. Z morelowego gaju w pełnym galopie wypada źrebak, a zanim młody jeździec na koniu. Źrebak nie ma żadnych szans, młody Kirgiz niczym gepard dopada swoją ofiarę, fantastycznie reagując na susy w bok źrebaka... tylko marzyć o takiej jeździe, od razu stanął mi obrazek sprzed roku, dokładnie po drugiej stronie jeziora, gdzie w trakcie narodowego święta podchmieleni Kirgizi popisywali się niebywałą sprawnością w dosiadanu konia... ech.

Złapany źrebak już posłusznie drepcze przed jeźdźcem, którego pozdrawiam pierwszy w uznaniu dla jego umiejętności.

Jeszcze woda nie zawrzała, a zatrzymuje się nieopodal Żiguli, wysiada z niego jakiś grubasek i coś do mnie pokrzykuje. Okazuje się, że to właściciel sadu, ale po krótkim wyjaśnieniu z mojej strony kto zacz i co tu robię, pozwala mi do woli rozkoszować się pięknem tego miejsca.

Leję kawę w termos, biorę koc, krzesło, arbuza, książkę i śmigam na”plażę”.

Dzisiaj już znacznie odważniej zażywam kąpieli, oddaję się błogiemu lenistwu. Przy braku wiatru słońce grzeje w sam raz.

Wyleguję się tak nad wodą aż do wieczora! Jest cudownie. Skóra przybrała ciemnobrązowy odcień. Przyglądam się sobie w lusterku, twarz ogorzała od wiatrów mrozu i słońca, przyprószona siwizną broda... nie przypominam zupełnie tego gościa, który m-c temu ruszał spod domu po swoją przygodę...

Mam sporo czasu na podsumowania, wczoraj odkryłem, że prawy przedni słupek też pękł, co z brakiem śpiwora przekreśla praktycznie wojaże po Ałtaju, po asfaltach przecież nie będę śmigał.

Na syberyjskie asfalty dobry każdy cywilny w miarę sprawny samochód, nie trzeba tam paliwożernej terenówki. Nie bez znaczenia jest też przekroczony budżet. Popijam więc kawę przyprawioną ziołami i dalej dumam, znaczy się pozostają mi praktycznie dwie możliwości:

- powrót najkrótszą drogą przez Biszkek i powtórzyć „Szlak Trzech Mórz Prezesa” (ładny, marketingowy bajer☺).
- przez kanion rzeki Czaryn i Pietropawłowsk, by liznąć Syberię w okolicach Tiumenia i Tobolska.
-

Pierwszy wariant ma dwie zalety, będzie najbliżej i ciepło!

Drugi wariant ma dwie wady, będzie daleko i zimno!

Sięgam więc po jednogroszówkę do bocznej kieszonki spodni i rzucam monetą. Orzeł to Syberia, reszka to Szlak Trzech Mórz. Wyrzucam monetę i... oddycham z ulgą bo pada na orła!

Na Syberię ciągnęło mnie od zawsze, w zasadzie udało mi się ją zjechać dość dokładnie. Zaliczyć wszystkimi środkami transportu: samolotem, pociągiem, kutrem, na mule, pieszką i dwa razy autem terenowym. Przesiąknięta modrzewiem, rybami, czosnkiem i wódką Syberia działa na mnie jak magnes, tyle, że dzisiaj tej atmosfery nie ma już w wielkich miastach. To nowoczesne metropolie, ludzie żyją jak na zachodzie, ale wystarczy mały skok w bok i wpadamy jak w studnię czasu. Zdaje sobie sprawę, że z niesprawnym rozrusznikiem i reduktorem nie będę mógł sobie pozwolić na zjazd w tajgę, by wieczorem przy ognisku delektować się opowiadaniem Grzelaka „Szamani, mumie, ałmysy”, w całkowitej samotności wsłuchiwać się w szepty mrocznych kniei..

Ale co tam! Syberia zawsze mnie czymś zaskakiwała, to i pewnie tym razem nie będzie inaczej.

Na rozwieszonych linkach suszy się pranie, wietrzy koc, płonie ognisko, w zachodzącym słońcu jezioro powoli zlewa się z okalającymi je potężnymi szczytami.

Do oświecenia znowu zlatują budzące się do życia nocą ćmy. Jest już za zimno na komary, których latem tu nie brakuje. Czytam Jagielskiego i od czasu do czasu odganiam upartą, ogromną ćmę. Nie widziałem jeszcze takiej. W pewnym momencie trafiona książką spada mi pod nogi. Ogłuszonej mogę się bliżej przyjrzeć. Potężne skrzydła, a na nich duże oczy, którymi straszy pewnie potencjalnych konsumentów... No nic, pora spać. Jutro odwrót!



Już po wspaniałej gonitwie



I tak zleciał cały dzień. A to leżałem na kocu, a to siedziałem w foteliku, a to pluskałem się w chłodnym jak sierpniowy Bałtyk Yssyk Kulu. Od czasu do czasu, jacyś Kirgizi przyjeżdżali na mały biwak nad jezioro, ale nikt poza mną nie zażywał kąpieli



I ten gaj...



Gdy strumyk płynie z wolna... la, la,



A mnie się baaardzo, bardzo tu podoba



... raniem śmigam na plażę. Koc, poducha, arbuza, książki, bajka...



Fale leniwie rozbijały się o brzeg. Z rzadka słysząc słysząc "krzyk drobiu Więckowskiej nieświeży"*, znaczy się rybitwy jakiejś. A ryby w Yssyk Kul mało, przetrzebiona rabunkową gospodarką. Po płn. stronie jeziora mającą szczyty łańcucha Ala Too, których grań wytycza granice z Kazachstanem.



A "słońce zachodzi nad wędzarnią krwawo"*



Elwoda zostawiam w skąpcym cieniu. Na szczęście nie wieje, bo wiaterek chłodny. Mimo 16 st słońko przygrzewa czule. Pod koniec dnia będę już opalony konkretnie. Ostatni raz tak spiekłem się chyba w wojsku, kiedy to koledzy maszerowali na zajęcia, a ja... w krzaki, którym porastał stadion. Mościłem sobie tam gniazdo jak ptak i niewidoczny, opalałem się cały boży dzień

Gdzieś tam Ałmaty, do której jutro zmierzam



Pod kazanem ogień na wieczorną strawę



Na zachodzie bez zmian



Szybko zapada mrok. W świetle warsztatowej jarzeniówki krzątam się przy obejściu. Dorzucam chrustu i gówno iszaków do ognia, strzelającego w niebo iskrami. Do światła zlatują się ogromne ćmy, są wielkości dłoni, ale mi to nie przeszkadza zupełnie



Cichutko, wiatr ustał. Tylko ja, Elwood i marzenia...

Dzień trzydziesty drugi - 2008-09-25

Zwinięcie majdanu nie zabiera mi więcej niż 15 min, pogoda jak drut, koniec wylegiwania. Wiza kończy mi się za dwa dni, mógłbym więc, ten jeden dzień jeszcze zabradziażyć, ale niczego też nie chce już robić na ostatnią chwilę.

Najpierw wizyta w Karakol, jadąc doń kusiły strasznie te niteczki biegnące gdzieś między szczyty i tam gubiące się... Gdzieś tam właśnie owa wspaniała dolina pełna niebieskich kwiatów, ciekawe czy jeszcze... dość!! Najpierw bankomat, potem relacje, a potem..., potem zobaczymy. Granica i kanion Czaryn.

Kupuję dwa piwa (litrowe w plastikowej flaszcze, znaczy się najtańsze) i siadam do kompa, wcześniej upewniam się o której wyłączają prąd, okazuje się, że mam co najmniej 4h. Wystarczy, by trochę podciągnąć temat, tym bardziej, że naprawdę jest się czym z Wami podzielić. Pisze mi się lekko, na pewno browarek pomaga. Cztery odcinki gotowe, uśmiecham się do tych wilków:)), chyba Wam też się spodoba.

Łącznikiem jest Pastor, stary motocyklowy wiarus. A dlatego łącznikiem, bo nie mogę się zalogować do swojej poczty, brakuję jakiejś tam Javy, komunikujemy się przez pocztę forum. Chcę zatwierdzić treść gdy nagle..., dosłownie na sekundę wyłączają prąd... uśmiecham się, nie mam już siły do tego netu, o zdjęciach nawet nie pomyślałem.

Wybieram 400\$ i ende, więcej nie budżet, hm, trza jeszcze raz przeliczyć wszystko i pogadać z Elwoodem, co by rzucił palenie, bo teraz limit „na sto” to 8,5l ropy, przede mną jeszcze 6500km. Dostaniesz litra za 80 centów, damy radę Bracie! Musimy, wyjścia niet. W tengach jeszcze 60\$... idę na ostatnie zakupy, wymieniam trochę na somy w kantorze i szaleję na bazarze: pomidory, czerwona i żółta (ta biała, nie to co u nas w marketach sprzedają) papryka, dwie lepioszkę, a na deser 2kg winogron. Na koniec jeszcze jeden litr taniego, ale znośnego piwa.

Siadam na ławeczce przed „kioskiem” i sączę póki chłodne. Jeszcze raz wyciągam grosika, jeżeli padnie na reszkę, to trzeci, ślepy los rozstrzygnie ostatecznie. Znów pada na orła, nie ma żadnych wątpliwości. Flaszkę lokuje przy ręcznym i ruszam,. Tuż za Przewalskiem łapie mnie na suszarkę milicjant, ale jakoś łatwo odpuszcza, biorę to za dobrą monetę. Wokół żniwa, mnóstwo ludzi pracuje w polu, zbierają ziemniaki zdaje się, zagospodarowany jest każdy metr.

Droga łagodnie wznosi się ku granicy z Kazachstanem, pojawiają się świerki, wraz z soczystą zielenią traw wpływa to kojąco na psychę. Dojeżdżam do miejsca, w którym w zeszłym roku zagapiłem się i wjechałem pasterzowi do stodoły niemalże. Teraz tu

zorientowano post pobierający opłaty klimatyczne, aż przebywanie na terenie Parku Narodowego Yssyk Kol.

- Opłatę wniosłeś?
- Nie, ponieważ nie byłem nad jeziorem.
- Jak to nie byłeś?
- A no nie byłem, wspinałem się na Chan Tengri i zjechałem tu przez góry.
- Którędy jechałeś?

Wyciągam mapę i pokazuję. Koleś robi małą rybę i duka:

- Ok, szczeniwa!

Widz w tym, że droga, którą mogłem dojechać wpada do rzecznej za tym postem właśnie☺

Zdaje się więc, że mi w kieszeni zostaje coś kole 15\$. Na granicy stoję po 15 minutach, nie gaszę silnika. Tu kirgiski tamożnik zaskakuje mnie pytaniem o wriemiennyj wwoz, jak zima naszych drogowców. Brak oczywiście takiego sprowadza się do jednego: za ile?. W somach zostało mi jakieś 3\$ i jest to kwota, która po krótkich negocjacjach okazuję się wystarczającą, przy argumentach typu; uczytel fizyki i takie tam.

Na kazachskiej bradziazę ciut dłużej, ale mapki i wiza afgańska w stemplach robi na nich spore wrażenie, na tyle spore, że spędzam tam dokładnie tyle czasu ile zajmuje wypisanie kwitów, czyli razem około 10 min. Sama kontrola to zwykła formalność, podniesienie klapy i opuszczenie i... Welcome in Kazachstan.

W zachodzącym słońcu docieram do kanionu, wiem jak zjechać i gdzie. Niestety nie mogę znaleźć odpowiedniego miejsca do zaparkowania, nigdzie należytej górki... cha, trudno, więc do Medey pod Ałmaty!

Może to i lepiej bo wjadę tam już po zmroku i nie będę się tak rzucał w oczy z tym gruzem na aucie, co go do kraju postanowiłem dowieźć w całym majestacie.

Medey to chluba Ałmaty i nie tylko, znajduję się tu ośrodek sportów zimowych, w tym największy na świecie tor lodowy. Już na miejscu przekonuje się, że jest to również dzielnica VIP-ów. Zatrzymuje się na bramce, która wygląda mi na bramkę pobierania opłat, czyżby tu wjazd był płatny? Nie mogę sobie poradzić z kazachskimi bazgrołami, cyrylica, a i owszem, ale nijak to do ruskiego podobne, do tego jakieś cyferki i daty. Do tak zastanawiającego się co czynić wychodzi z budki milicjant:

- Dobry wieczór!

No, kurna, jaki grzeczny jegomość, dumam, może myśli, że jestem gościem, którejs z tych wspaniałych willi powyżej?

Czy wjazd jest płatny?

- Nie, ale proszę o umycie auta przy najbliższej okazji.

No, no, widać kulturę jegomościa. Wzruszony rzucam, że nie omieszkam i śmigam w górę. Lexusów tu jak papryk na targu, LC V8 w co drugim obejściu, a tylko o apartamentach wspominam, bo do hacjend po lewej nie zajrzysz. Z jednej strony wysokie ogrodzenie i budki przy bramach, jak w alei gwiazd w Beverly Hills. Cmokam z podziwu i śmigam dalej. W pewnym momencie droga atakuje stromo okalające wzgórza do tego stopnia, że moje MT-eki wydają jęki na zakrętach, a do wyboru mam praktycznie dwa biegi, jedynekę i dwójkę. Asfalt równiutki... tylko jak oni tu sobie radzą zimą, he? Mijam stację Szymbulak 2000, dalej kończy się asfalt i szuter prowadzi stromo w górę. Jestem zmęczony i odpuszczam, do dalszej walki nie zachęcają mnie nawet ciągnące jeszcze dalej co rusz BMW i inne takie nowoczesne, europejskie i japońskie zabawki.

Szlus, ende, jutro obaczym, może znajdą zastosowanie narty, które wziąłem ze sobą?

Gps pokazuje 2348m, więc do górnej stacji kolejki jeszcze niecałe 700m, dobranoc Wam jednak...



Wschód na zachodzie



Koniec



Wschód na wschodzie



Za Przewalskiem



Po drugiej stronie jeziora



Elwood o wschodzie



Wschodni cypel Yssyk Kul



Żniwa



Granica przede mną

... tylko kazachski step...



Do granicy



Chiński Tien Szan



... z dziurą w ziemi. Kanion rzeki Czaryn



Swierki koją, jeszcze parę km i post ekologiczny. Pobierają tu opłatę za "korzystanie z urody Yssyk Kul"



Już po kazachskiej mańce, granica kirgiska w tle



Zjeżdżam do kanionu



Post za mną, w lewo do granicy



Pożegnanie z Tien Szan



Planowałem tu nocleg, ale nie moge znaleźć miejsca, które gwarantowałyby mi rano odpalenie

Elwooda



Po pokonaniu tych hopków już...



Czaryn



Jeszcze tu robie przymiarke, ale spadek zbyt mały. W step wjechałem już o zmroku. Po lewej odprowadzał mnie łańcuch oddzielający od Yssyk Kul. Na przedmieściach Ałmaty, gaicznicy

za późno dostrzegli nietypowe blachy, ich nahalne machanie zignorowałem i wjechałem do centrum.

Dzień trzydziesty trzeci - 2008-09-26

Wstaję tuż po wschodzie słońca, dolina widoczna w rozwidleniu już w pełnym blasku słońca. Ja przycupnąłem w cieniu Szymbulaka 3000, widać sporą połać śniegu, ale moc tym razem nie ze mną. Nie zrobię użytku z nart, które zabrałem choć byłoby to ładne zwieńczenie tego co udało mi się do tej pory osiągnąć, poza tym jest mi pioruńsko zimno, temp oscyluje wokół zera, ale brak śpiwora daje się odczuć, marznę w te stopy cholerne i trzęsę się jak w delirium.

Słyszę dobiegający z zza winkła szum wody, biorę więc sprzęt do mycia zębów i śmigam tam skąd głos się niesie. Ale wody niet, jeszcze nie o tej porze znaczy się, z jakiegoś bardzo wąskiego przepustu woda wylatuje pod dużym ciśnieniem i zamienia się w śnieg! Taka naturalna armatka do naśnieżania stoków, fajny widok. Wracam więc do maszyny i korzystam z zapasu wody bieżącej. Na potrzeby tej wyprawy zabezpieczyłem się w 10l baniak na wodę użytkową i to w zupełności wystarcza, nawet gruntowna kąpiel nie pochłania więcej niż dwie butelki po Muszynie. Nie ma problemów z dostępem do wody, no może w Kazachstanie trochę, ale tranzyt to trzy dni no i pogoda już nie dokuczliwa. Jeszcze trzy tygodnie wcześniej byłoby ze 35st, teraz ledwie 15 co mi bardzo odpowiada, idzie wytrzymać.

Śmigam więc w dół, nie ma jeszcze siódmej, ale ruch narasta z każdym metrem w dół, bramkę przejeżdżam bez problemu, jednak kilometr poniżej już mnie wypatrzył kolega z szerokim rondlem na głowie. Zdążył tylko się przedstawić i nadział się na kontrę:

- A witajcie, witajcie, powiedzcie proszę, jak tu najszybciej wydostać się z miasta? Przyjechałem w nocy i bardzo mi śpieszno do stolicy na spotkanie z naszym konsulem!
- Aaa, to musicie na pierwszym skrzyżowaniu pojechać w prawo, tam zawrócić na rondzie i już jesteście na głównej arterii miasta, nie wolno jednak jechać nią brudną maszyną!
- Kanieszna! Dlatego pytam, bo w nocy to sami wiecie jak jest, wsie koty czarne!
- Szczęśliwa!

No i ładnie, wyjeżdżam na główną arterię, mam trochę szczęścia, gaicznicy zajmują się głównie rozładowywaniem korków, a obstawiają każde skrzyżowanie! Ukrywam się jak mogę i po niecałej godzinie wjeżdżam w step. Zatrzymuję się przy pierwszym barze i dostaję gratis 1,5 litra wrzątku, robie więc sobie mocną kawę mleczną. Pierwszy kubek smakuje wybornie i szybko stawia mnie na nogi, mleko tu mają 6%-owe (już po przetworzeniu) i takie dodają do kawy. Tęskno mi trochę do świeżego, ale na tym etapie

muszę się zadowolić tym z kartonów. Mleko krowie ma 4% tłuszczu, mleko jaka zaś 6% i mówię tu o świeżym produkcie, różnica w smaku jest naprawdę wyczuwalna. Śmietana z jaka to jak nasze masło a masło... hm, nie mam porównania☺

Popijam więc sobie kubeczek za kubeczkiem i połykam kilometr po kilometrze, najbliższy postój zaplanowałem nad jeziorem Bałkasz, a to jeszcze tych kilometrów w pierona jasnego. Zanim jednak wyjechałem na główną drogę do Astany halt na pierwszym poście za miastem. Tym razem jednak o dziwo, zatrzymany zostałem z czystej ciekawości, przy okazji pytam gdzie tu można walutę wymienić, bo w tym unikaniu kontroli zupełnie mi to z łepetyny wyleciało, widoków jednak na to nie ma. Pierwsze większe miasto to Bałkasz nad jeziorem Bałkasz. Nudna ta jazda jak flaki z olejem, do tego nie jestem psychicznie właściwie nastawiony do Kazachów. Nie lubię tej nacji i już, podobnie jak nie przepadają za nimi Kirgizi czy Tadźycy. Na tranzycie nie masz sposobności poznać ich lepiej a ten sporadyczny kontakt to w czasie kontroli właśnie, kiedy to próby wymuszania łapówki są na porządku dziennym i cała gra idzie o to aby zapłacić jak najmniej. Poza tym co „rajon” to inny obyczaj. Jadąc bez świateł, przejechałem po tym kraju już ponad 3000km i nikt mnie zatrzymał z tego powodu, tu zaś przed Bałkaszem ekipa tylko z tego żyła:))

Kilkanaście km przed miastem a słońce chyliło się już ku zachodowi wyleciał taki bystro na drogę i każe mi zjeżdżać na bok.

- Czemu jeździsz bez świateł?!
- A to na światłach należy?
- Kanieszna! Będzie sztrafa!

No faktycznie jakoś wyjątkowo wszystkich na światłach do tej pory mijalem ale nie daję za wygraną i mówię, żeby mi pokazał przepis. Przepis pokazał i przy okazji stertę praw jazdy zatrzymanych z tego powodu z odpowiednim kwitem.

No podeszli mnie bracie...

- Mandat 5000 tenge zapłacisz w poniedziałek i odbierzesz sobie prawo jazdy!

No i koleś bierze się za wypisywanie kwitów. Jest sobota, tranzyt kończy mi się w niedzielę. Ja to wiem i on też wie, obaj więc już wiemy, że coś z tym nada zrobić.

Przy moich zasobach finansowych absolutnie nie mogę sobie pozwolić na taki mandat ani na jego połowę a nawet ćwierć. Gdy szczęśliwy koleś pisze w skupieniu dane z prawa międzynarodowego ogarnia mnie spokój. Ok, frajerze, gdybyś mi zatrzymał dowód rejestracyjny była by klasyczna dupa i nędzna pozycja ma.

A pisz sobie, dumam, niech ta moja książka w waszych przepastnych archiwach dokończy żywota i nawet nie podejmuje negocjacji, tylko bardzo bojaźliwie, z pozycji podeszwy rzucam:

Trudno, jak tak, to tak... z miną Nowickiego ogrywającego Mikuna w Wielkim Szu.

Chłop pisze zapamiętałe ale jego kompan czuje bluesa nosem i mówi:

- A ty bez prawa i tak pojedziesz?
- No jak, bez prawa?
- Dostaniesz od nas kwit.
- No to pojedę bez prawa. Bo kasy nie mam.
- A podarka jakiegoś nie masz?
- No gdzie? Przecież zrobiłem już u was łącznie 3500km to skąd brać te podarki?

Fabryki u mnie niet. Ale poczekajcie, została mi ostatnia kamizelka.

- Jaka kamizelka?

Zaraz zobaczysz. Faktycznie została mi jedna więc idę po nią i daję wypisującemu mandat, bo zawsze szef jest. Rozrywam folię...

Dla nich to marzenie, ale jest tylko jedna. Szef już jednak z mety zaakceptował takie rozwiązanie.

Odjeżdżając widzę w lusterku jak wychodzi z auta, cały w pawiach i zatrzymuje na chybił kolejnemu kierowcę już sam!

Te kamizelki to bardzo dobre i tanie rozwiązanie na tych bęcwałów, nawet w Rosji cieszyły się powodzeniem ale tu byłem zatrzymany tylko jeden raz, na poście przed Penzą o czym pisałem.

Tak czy owak wjeżdżam do Bałkasza i od razu jestem zatrzymany. Tu stosuje taktykę z Ałmaty i szybko pytam o kantor wymiany.

Niestety nie ma takiego cuś, a bank już zamknięty, koleś był na tyle zaskoczony, że w spokoju odjechałem, ale odpuszczam jezioro. Nie wiem, chcę po prostu jak najszybciej opuścić Kazachstan, nic, kompletnie nic mnie tu nie trzyma. Wcześniej dwa razy wypiąłem się na kontrole, kiedy facet wyskakiwał mi przed maskę w ostatniej chwili. Stosowałem prosty manewr, odwracałem głowę, kątem oka obserwując absztyfikanta. Ten patent robił...

Ok, mimo zmęczenia decyduję się jechać na maksa.

Astanę przejeżdżam około trzeciej w nocy, są tu kantory czynne całą dobę. W sumie mógłbym się tu zatrzymać na dzień bo miasto nawet w nocy robi ciekawe wrażenie tyle, ale nie tym razem.

Trochę klucze po mieście, żeby wyjechać na Pietropawłowsk. Już na głównej drodze, stoję w środku budowy betonowej autostrady i padam jak kawka...

Dzień trzydziesty czwarty - 2008-09-27

No ładnie zaparkowałem, nie ma co! Stałem na zjeździe do jakiejś wiochy i auta objeżdżają mnie po strasznych koleinach ale jakoś nikomu to nie przeszkadza. Zresztą inaczej nie mogłem stanąć, w przeciwnym razie po prostu nie odpaliłbym. Skoro wszyscy sobie tak dobrze radzą wokół, to na razie nie zmieniam pozycji, fajnie wyglądają te moje poranne ablucje. Ze stacji nieopodal podchodzi do mnie Kazach i wypytuje co i jak, ja mam tylko jedno pytanie, czy załatwi mi wrzątek.

- A ile chcesz!

Powoli przyzwyczajam się do niskich temperatur i już nie marznę w stopy. Ach... jak ta kawa smakuje! Na takich dojazdówkach, to mój główny posiłek w ciągu dnia, do tego przegryzam lepioszkę na zmianę z papryką. Czasami kawałki placka smaruję pasztetem lub domowym smalcem do tego pomidor i kęsy cebuli, taki zestaw jestem w stanie przygotować w trakcie jazdy, nie zatrzymując się.

Krajobraz powoli się zmienia, step przechodzi w namiastkę tajgi, pojawiają się zadrzewienia, przeważa brzoza na skraju. Wyraźnie już pożółkłe liście wspaniale kontrastują z igliwem świerków. Wprowadza to mnie w lepszy nastrój, północ jeź też bardziej rosyjska i znacznie lepiej rozwinięta pod względem gospodarczym w przeciwieństwie do tzw. Kazachstanu „kaspjskiego”. Ten od wielu lat najrzadziej zaludniony region ze względu na surowy klimat graniczący z suszą i depresją nadkaspjską, nigdy nie sprzyjał osadnictwu ze swymi skalistymi płaskowyżami i piaszczystymi połaciami ciągnącymi się po horyzont.

W okolicy Kokszetau zjeżdżam odetchnąć nieco do Parku Narodowego Burabaj. W uroczych okolicznościach przyrody przycupnęły trzy jeziora otoczone zalesionymi górami. Mam wrażenie, że jestem w Szwajcarii, gdyby nie koleś w rondlu, który w ostatniej chwili próbuje mnie zatrzymać. Śmiesznie to wyglądało, widząc mnie przejeżdżającego na jego wysokości, a prowadził właśnie kontrolę jakiegoś gruzawika, wyskoczył jak pajac z rękami do góry na szeroko rozstawionych nogach... przez chwilę obserwowałem go jeszcze w lusterku ale ani mi w głowie było tutaj parkować.

Park rozczarowuje mnie swoim porządkiem, wjazd za opłatą, czysto schludnie, zakaz parkowania po drodze, tylko w wyznaczonych miejscach akurat to mnie na tej wyprawie zupełnie nie pociąga, mam tego dość na co dzień. Niestety w ogóle nie można rozpalać ognisk więc nici z popasu...ech! Cywilizacja...

Przed granicą tankuję po sam korek, co ciekawe najtańsza stacja paliw znajdowała się na granicy właśnie, na 160 litrach, które wlałem zaoszczędziłbym 16\$, cóż to ewenement. Na tejże jednak kolejka i to taka dość. Jestem 12-sty jak liczę do tego sznur ciężarówek, które są wpuszczane na zmianę z osobowymi. Gaszę silnik i jest z tym trochę kłopotu, bo koleiny dość spore i sam absolutnie nie daje rady przepchać auta, sporo jednak rąk do pomocy. Podchodzi do mnie Kirgiz:

– Widziałem ciebie jak spałeś za Astaną, dwa razy też ciebie wyprzedzałem a ty mnie raz!

Faktycznie kojarzę, audi ogórek... są bardzo dumni z niego, trochę im psuje humor gdy podaję cenę, za którą kupili by go w Polsce:)) Przelicznik jest prosty, nasza cena x 2 to cena tych aut tutaj, wcześniej gdy paliwo było tanie jak barszcz opłacało się jechać po jedną gablotę na Litwę, teraz już nie.

Jakoś dotaczam się do samej bramki, kwitek już pobrałem. Kwitek to kawałek papieru na którym wpisany jest nr auta, podstemplowany przez pogranicznika oddawany jest na wyjazdowej bramce. Po co ta procedura to nie wiem, koleś na bramce steruje wpuszczaniem bezpośrednio na granicę, to tak jakby chodziło im o zachowanie jakiejś strefy buforowej... Wjeżdżając w zeszłym roku do Rosji mogłem się przez 12h zastanawiać po co im to:))

Tym razem po godzinie z pomocą „bramkarza” i kilku takich jak ja odpalam i podjeżdżam do kontroli. Mam małego pecha bo trafiam na zmianę służby u Rosjan ale i tak wszystko idzie dość płynnie. Rosjanka obejmująca służbę na tamożni poleca mi raz jeszcze wypełnić druki, kreśląc wszystko i instruując co i jak ale w normalnej atmosferze bez ciśnienia. Nie wspomniał bym o tym gdyby nie fakt, że wypełniłem ponownie druk... dokładnie tak samo. No i było ok!

Ech, ta Rassija...

Dziwne, ale czuję się prawie jak w domu, może dlatego, że coraz częściej o nim myślę? Może dlatego, że to już Europa prawie? Nie wiem.

Rosja przeobraża się strasznie szybko, cywilizacja pożera dosłownie te rejony. Dziwni też są ci Rosjanie chwilami, dumni ale zawstydzeni sobą. Do Tiumentia kawał drogi, pogoda nie najgorsza, trochę pada, może dociągnę? Zobaczmy.

Z każdą chwilą jednak pada coraz mocniej, ma to ten negatywny skutek, że przez spora przerwę w słupku leci mi woda do środka, na razie zatykam kawałkiem szmaty i jakoś to robi. To pierwszy deszcz od ponad m-ca, poza małym opadem śniegu w Pamirze. Lecę na MT-kach więc po prostu zwalням nie co i tyle. Po godzinie jazdy deszczem zaczyna jakoś dziwnie miotać wokół auta, przecieram gałki... tak to śnieg! Kontroluje wskaźnik temp zewnętrznej, plus jeden, no tak, Syberia w końcu. Zaczyna sypać coraz bardziej, jest już zero stopni, zwalням do 70km/h, w końcu staję, żeby dotknąć stopą tej brei co się już zdążyła pojawić na szosie. Jak na razie to tylko ja taki ostrożny wszyscy tną ostro. Faktycznie nie marznie „to” to jeszcze, ale na wszelki słuczaj przekręcam sprzęgiełką na look.

Pogoda pogarsza się z minuty na minutę, śnieg już wali nie sypie, przed maską widzę tylko atakujące mnie wściekle płatki, skutecznie ograniczające widoczność nie ma do zera!

Najgorsze co może spotkać zmęczonego kierowcę to właśnie coś takiego lub gęsta mgła, żadnego pkt zaczepienia, pasy na szczęście są ale wypatrzyć je w tej masie płatków nie sposób. Wyprzedza mnie TIR, czepiam się więc jego świateł jak rzep psiego ogona. Teraz mi łatwiej ale koncentracja sięga zenitu. Nagle widzę wyprzedzającego mnie jakiegoś szaleńca, to chyba Żiguli, do tego z przyczepką... no Bóg go chyba opuścił. Przywołuje wszystkie znane mi córki Koryntu! Śniegu już dobre 10cm, jedziemy już jednym korytem w śnieżnej brei ale co się dzieje? Koleś odpuszcza, no chyba mu rozum wrócił... Nie to jednak nie rozum, światła Tira mocno czerwone, wyraźnie zwalniają. Teraz widzę, że prowadzi mnie kolumna TIRów ale czemu zwalniają, jedziemy już najwyżej 10km/h. Po chwili wszystko staje się jasne i to dosłownie. To co widzę przede mną przypomina jakiś surrealistyczny pokaz rewii na lodzie. W poprzek drogi stoi TIR, pobocze usłane powywracanymi autami, rzucającymi chaotycznie snopy świateł ku niebu. Ludzie stoją w tej śnieżycy i wydzwaniają z telefonów komórkowych, jakiś gość próbuje zatrzymać kolumnę aut przede mną ale nikt nie staje, ja też nie. Powoli przeciskamy się wśród tego pobojuwiska, to chyba wywrócony Land Cruiser... Czemu nie stanąłem? Nie wiem, stało tam sporo aut, w zasadzie to nie było się jak zatrzymać. Termometr pokazuje -1 st, w takim tempie, to nie ma szans dojechać dzisiaj gdziekolwiek, jest trochę lepiej gdy wjeżdżamy do lasu, przynajmniej nie tworzą się zaspas. Jadę oczywiście z zapiętym przodem ale opony MT to najgorsze rozwiązanie z możliwych. Elwood jednak prowadzi się stabilnie. Od czasu do czasu naciskam na heble dla kontroli przyczepności, auto nie fika.

Marzę już tylko o jednym, gdzieś bezpiecznie zatrzymać się. Obserwuje ciekawe zjawisko, bujam się w okolicy 100mnpm. Poniżej tej granicy temperatura podnosi do +1st, na granicy 100m termometr pokazuje 0st a powyżej -1st. Z gpsa wynika, że coś większego na trasie to za jakieś 40km... chyba dociągnę, zresztą muszę. Mijam kilka stojanek po drodze, ale decyduje się trzymać za moim TIRem. Przed miastem, widocznym już z daleka pogoda tak samo nagle poprawia się. Wiatr nie co słabnie, uff!! Dojeżdżam do miasta, a tam płasko jak na desce do prasowania, wycofuję się więc w okolice ronda, gdzie droga rozwidła się na Czelabińsk i Tiumeń. To drugie zdecydowanie na północ i tam chciałem jechać. Znalazłem jakąś górkę przy bazie transportowej i parkuję. Przed snem przeglądam atlas Rosji... nie, nie odpuszczam. A niech tam, przecież nigdzie w tajgę już się pchać nie zamierzam, w końcu mam 10 dni na przejazd przez imperium, a Czelabińsk to nie Syberia tylko Ural!...

Dzień trzydziesty piąty - 2008-09-28

O 6-stej rano termometr wskazywał -2st, pierwszy raz spałem w kompletnym opakowaniu. Do tej pory nie było okazji, w Tien Szan jeszcze dysponowałem śpiworem.

Tu wdziałem bieliznę termoaktywną, polar na górę i spodnie od dresu. Stopy wtrynąłem do jutowego worka, na siebie koc, a ręcznikiem przykryłem twarz. W takim komplecie spokojnie przetrwałem do rana, w termosie jeszcze resztki ciepłej kawy, i to dobre!

Wokół wszystko zamarzło, zaparowane wcześniej szyby pokryły się szronem. Wygramoliłem się na zewnątrz, wiał strasznie nie przyjemny wiatr, smagał mnie lodowatym batem gdzie się dało. Trzęsąc się z zimna zgrabiętymi rękami odkręcam korek od baniaczka z wodą, w delirium myję zęby, pomyślałem przez chwilę o ekipie z Volvo i Koperskim, brrrrrrr! To już nie wystarczy być twardzielem do kwadratu, jeszcze jaja z wełny mieć i to Jaka...

Spadam szybko do środka. Staczam się z małej górki, Elwood odpala bez problemu, cieszę się, bo nie muszę nikogo prosić o pomoc.

Ruszam do Tiumentia, wokół wszystko w lodowej poświacie, tu jednak opady nie dotarły, wstaje słońce. Jest cudnie, brzozy jako forpoczta tajgi, pokryte szronem i ta gra kolorów. Piękna jest tajga jesienią, dużo tu grzybów i te pojawiają się w koszykach z ludźmi przy drodze.

W Azji handel przy drodze kwitnie, kupujesz tam to, co w danym regionie dominuje, jak przy trasie kolei transsyberyjskiej. Oczywiście stopy arbuzów są wszędzie, tutaj jednak dochodzą odmiany niedostępne w kraju. Stoiska z arbuzami i melonami to dla mnie symbol Azji Centralnej.

Słonko przyświeca, energia we mnie wspiera, z każda minutą dosłownie. Jak już we mnie wezbrała, ... to silnik zaczął przerywać i zgasł. Zacząłem się śmiać, przypomniałem sobie nasze pompowanie w Tien Szan na pograniczu chińskim. Cały czas ten sam filtr, he, he. Kłapa w górę, zaczynam od filtra, mam jeszcze trzy w zapasie, a ten zapchany parafiną po pachy. Muszę jednak ściągnąć kanister z dachu by dolać paliwo do filtra przed ponownym montażem. No tak, krupniczek, nie dziwota. Benzyny naturalich niet qrwa, ale do stacji paliw nie dalej jak trzy km na szczęście.

W zbiorniku paliwa tego krupniku to ze 140l mam. Filtr wymieniony teraz tylko ktoś mnie musi deczko pociągnąć, żeby odpalił. Pierwszych kilka ciężarówek się nie zatrzymało, co mnie zdziwiło wielce i zaraz pomyślałem o wczorajszych śnieżnych przygodach. Teraz już wiesz, co to znaczy nie zatrzymać się! No moja sytuacja jest klarowna jak drut, ale nie

zmienia to faktu, że czułem spore wyrzuty, bo skoro w Polsce zawsze się zatrzymuję, w nocy i w lesie, zawsze pomogę... Masz za karę! Zatrzymuje się za to dwóch młodych Rosjan w Żiguli. Boją się jednak mnie pociągnąć, zresztą nie ma za co złapać, a ponieważ stoję na zupełnie płaskim (Syberia w końcu, nie?) brakuje nam mocy, aby pchnąć należycie Elwooda. Dziękuję za pomoc i łapię dalej.

Tym razem Kamaz ale wyobraźcie sobie, nie ma gdzie podpiąć taśmy, żadnego zaczepu, czegokolwiek, strzelam karpia ze zdziwienia!

- Jak Ty przyjacielu radzisz sobie w takim razie w podobnych sytuacjach?!
- Eee, no nie miałem jeszcze takiej sytuacji!

Dodam jeszcze tylko, że zaczepów nie było ani z przodu ani z tyłu...:)

Po kilku minutach zatrzymuje się Wołga z trójką chłopaków, mają hak i po minucie Elwood warczy już jak należy.

Zawracam biegusiem i na stację po benzynę, przed samą stacją chciał mi zgasnąć, ale utrzymał obroty. Szybko tankuję do baku 7,5l benzyny i 2,5l do baniaczka. Po pół godzinie zapominam już o problemie, tajga prezentuje się wspaniale. Cieszę się jakoś tak sam z siebie i jednocześnie strasznie, ale to strasznie żałuję, że nie dane mi będzie poobcować z tą tajgą wieczorami, tak jak to sobie zaplanowałem. Szkoda mi tych wieczorów przy ognisku z samym sobą, wieczornych wizyt w wioskach, rozmów o codziennym życiu, troskach i zabawie z Sybirakami. Do tego ryba, kiszzone ogórki, marynowane grzyby, kawałek świeżego, ciemnego chleba, czosnek i wódka. A jak trafisz na kogoś, w którego żyłach płynie polska krew, a miałem już mieć taką przyjemność... to wysysają z ciebie wszystko do ostatniej kropli, każda nawet najdrobniejsza informacja jest tu wagi państwowej.

Czujesz się wtedy jak honorowy krwiodawca, tak moi drodzy, ojczyzna nie jest tu pustym słowem...

Do Tiumentia wpadam w południe, bez problemu trafiam do „mojej” gastinicy, czy spotkam Sonię? Ciekawe czy dyrektorka mnie pozna, w zeszłym roku nie była za sympatyczna. Opieprzała mnie za buszomanię:) I nie chodzi tu o mego kumpla, też Busza (do zobaczenia na Biesowisku, Krzychu!)

Pcham drzwi i widzę Sonię w pogwarce z dyrektorką.

- Zdrastwujcie!
- Miło jest radować cudze dusze.
- Darek, to ty?!
- A ja, we własnej osobie ja!

Ciekaw jestem reakcji dyrektorki, ale ta szybko mnie poznaje.

– Miłe Panie, zostaję do jutra, nie, nie, w hotelu nie nocuję. Tak Soniu, w maszynie, mam tam fantastyczne wyro, poza tym w tym sezonie wyprawowym żadnych hoteli!

Zostawiam Panie jednak tymczasem i śmigam na miasto celem nadania Wam zaległych relacji, a już ich się uzbierała pokaźna kupka. Spotkamy się z paniami wieczorem, pogadamy przy herbacie, poplotkujemy, ponarzekamy wspólnie na Busza i będzie git!

Znam tu dwa pkty z netem, ale spotyka mnie spore rozczarowanie, żaden już nie funkcjonuje i na domiar złego nikt nie potrafi mi udzielić informacji, gdzie w ogóle taki pkt. się znajduje. Po 2h bezowocnych poszukiwań ląduje ponownie w hotelu. Sonia gania gdzieś po pokojach, za to dyrektorka mocno zdziwiona, że nie ma w mieście Internetu, bierze się bystra do roboty:

– Jak to nie ma Internetu?!

Chwyta za słuchawkę i dzwoni na informację, można się od niej uczyć, jak w sposób sympatyczny, ale zdecydowany uzyskać potrzebne informacje.

Dostaję dwa adresy, jeden co prawda na końcu miasta nieomal, ale dość mam już na ten moment jazdy za kółkiem i wybieram długi spacer. Idę na Rzewską 78a, jest tam kafejka internetowa. Docieram na miejsce po niespełna godzinie, kafejka jest „Na Rzewskiej”, ale o Internecie nikt nie słyszał..., drugi adres podobnie. Gdy wpadam do hotelu bije na 18-tą. Sonia proponuje mi skorzystanie ze służbowej łazienki, dyrektorka kwituję krótko na moje spojrzenie:

– Kanieszna!

Biorę bambetle i śmigam pod prysznic, rany Julek! Kabina, kibełek europejski... no, no, cmokam.

Chwilę się zastanawiam, ile to ciepłych kąpieeli wziąłem do tej pory?... No więc tak, trzy razy w Garmczaszma, jeden raz u Bolota, gdzie skorzystałem z bani i teraz. No i? No i do dupy taki prysznic:)

W gorących źródłach to jak w wielkiej wannie, pławisz się, woda o temperaturze prawie 60st otwiera w tobie wszystko, lecznicze minerały z siarką dezynfekują, oczyszczają i Bóg wie co jeszcze. Bania to jak sauna, efekt podobny tylko siarki niet. A tu stoję i jakiś wąski deszczyk na mnie kapie, jak klata przyjemnie ciepła to tyłek w lodzie:) Stoję jak zapięty w dyby, ręce oparte o ścianę i lawiruję cielskiem co by ciepło równomiernie kąsało. Co tam, nie będę łął, przydało się!

Idę do maszyny się przebrać w czyste i świeże ciuszki, no taki nowy obywatel RP się narodził.

Zbieram więc siły na wieczór, ale moja uwagę przykuła grupka ciemnej nacji ludków żywo czymś zainteresowana pod blokiem stojącym na przeciw.

Widzę, że leje się wódka, no coś świętują, tylko co? Na Tatarów mi nie wyglądają, choć jest ich tu mnoga, bo to pogranicze Baszkirii i Tatarstanu, a sam Tiumeń był ostatnią kozacką stacją wystawioną przez cara na wschód. Skoro więc nie Tatarzy, to kto, dumam. Dopóki nie podejść, to się nie dowiem. Biorę więc aparat i śmigam do grupki. Okazuje się, że to Kirgizi, a powodem zebrania jest pierwszy krok na który zdobył się malutki brzdąc. Ot, zwyczaj jak u nas.

- Bardzo proszę! Zrób nam kilka zdjęć, kanieszna!

Pstrykam więc fotki małej i na koniec całej grupie. Zgodnie z tradycją muszę wypić za zdrowie, co z ochotą czynię. Nawiązując do obyczajów stwierdzam, że powinienem zapić na drugą nogę, co przyjmują salwą śmiechu i ochoczo napełniają stakanek. Momentalnie zostaję zaproszony na kontynuację do mieszkania w bloku. Bez oporów zaproszenie przyjmuję, czym sprawiam jeszcze większą radość obecnym.

Skąd Kirgizi w Tiumeniu? Powód prozaiczny, przygnała ich tu praca. W Kirgizji jest spory problem z robotą, do tego zarobki nie przekraczają 50\$, tutaj mogą zarabować i 20x tyle. Szybko zaprzyjaźniam się z Samirem. Pracuje "w oknach", bardzo dużo buduje się w okolicy, jak bambus czy grzyby po deszczu, pną się kolejne biurowce, rąk do pracy potrzeba, a specjaliści są bardzo cenieni. Podobnie jak na zapadzie, smagłe nacje wykonują najprostsze prace, sprzątają w marketach, ulice itp.

Moi Kirgizi są przykładem szybkiej adaptacji cywilizacyjnej, nawet ich rodziny, rozrastające się już w Rosji mają europejski charakter, to znaczy nie są już tak liczne. Ich rówieśnicy z kirgiskich kizlaków mają min 5-tkę dzieci, tu trójka to maks.

Na stole same miejscowe frykasy, głównym daniem jest manta, czyli pieróg z mięsem gotowany na parze. To specjalność gospodyni, matki rzeczony córki. Zaraz będzie podana.

W międzyczasie toczymy klasyczny razgawor, jest bardzo rodzinnie, ja sprawiam im ogromną przyjemność swoim pobytem na ich imprezie, po córce jestem teraz głównym gwoździem programu.

Manty wjeżdżają na stół, są przepyszne, może też i dlatego, że od kilku dobrych dni moje menu to czysta wyprawówka była. Okazuje się, że pierwszy spałaszowałem swoją porcję i żartuję:

- Przepraszam Was bardzo, ale gdzie są te manty?! Ja tu czekam i czekam, a mant jak nie ma, tak nie ma

Wybuch śmiechu i sąsiadka wkłada mi na talerz swoje! No chyba ostatnie lody zostały przełamane, stakanki szybko są napełniane, na zmianę wznosimy uroczyste toasty. Jest bosko.

W pewnym momencie, przy okazji kolejnego toastu pozwoliłem sobie zaśpiewać... 4 pancernych! Ten serial znają tu wszyscy, jego popularność jest ogromna. Stąd też płynie ogromna sympatia do Polaków Na deser dorzucam "W stepie szerokim". Akurat osobiście bardzo lubię ten kawałek, ma on w sobie spory patriotyczny ładunek i nawiązuje do naszych korzeni. Wszyscy szybko poddają się nastrojowi, Kirgizi to urodzeni wojownicy i momentalnie łapią klimat.

W rewanżu panie pięknie śpiewają dla mnie. Próbuję naśladować czym wzbudzam kolejne salwy śmiechu, mnie osobiście bardzo podoba się ten kirgiski "świergot". Finałem, związanym z dzisiejszym świętem są tańce. Dowiaduję się, że zgodnie z obyczajem po tańcach najlepszej tancerce przyznawane są korale, a tancerzowi zegarek. Zgadnijcie, któremu tancerzowi zegarek przyznano?!

To był bardzo miły gest, co prawda chiński wyrób dał znać o sobie, bo przy zakładaniu na rękę... pękła sprzączka! Co wcale nie wprawiło gospodarzy w konsternację, a tylko wywołało kolejny śmiech:

- No tak, ot kitajska robota! Jednorazówka! Komentują i co wzbudza falę podobnych komentarzy.

Zegarek będzie fajną pamiątką, pozostawiłem na nim czas tiumeński.

Impreza ma się ku końcowi, Samir pyta, czy nie mógłbym ich rozwieźć do domów:

- Nie ma problemu, tylko niemnoszka wypiliśmy, a w maszynie ciut ciasno.

- Nic nie szkodzi! Jeden z naszych gości pełni tu bardzo wysoką funkcję i sam jest najlepszym giejtem!

- Jak tak, to tak!

Wyglądaliśmy jak wesoły autobus, zapakowany po brzegi, nawet warkotu silnika nie było słyhać. Do tej pory nikt mnie na drodze nie zatrzymywał, nie ma tu też absolutnie w zwyczaju kontrolować stan trzeźwości kierowców. tym razem jednak już przy pierwszej krzyżówce zatrzymuje nas lokalny patrol.

- Co to za hałasy?! Jest 1-sza w nocy!

W tym momencie, ów gość sięga po legitymację. Robi ona piorunujące wrażenie na milicjantach a na mnie ich reakcja:

- Szczęśliwa! Spakojna ujeżdżajcie!

No to pojechaliśmy! Ścisk tylko umacniał integrację, jeździliśmy tak śpiewając po pustych ulicach dobre pół godziny. Ostatni przystanek był niedaleko hotelu, stanąłem nieopacznie na równym i był straszny kłopot, aby odpalić maszynę. Z pomocą przyszli młodzi Rosjanie kontynuujący zabawę na mieście i maszyna odpaliła przy wtórze pozdrowień.

Zaparkowałem pod hotelem...



Parę minut po 6-tej, staruję z Medey do Ałmaty



Krajobraz monotony, gdzie niegdzie niecki po wyschniętych, okresowych jeziorach



... setek km. Gdzieś tam w tle a`la Bajkonur



Wyciąg w konserwacji



Jade wzdłuż jeziora Balkasz, to i suszone ryby przy drodze. Poza rybami jeszcze arbuzy i melony, o kolorystyce nie spotykanej u nas



Po 2000km zmiana krajobrazu



Stamtąd zjeżdżam



Jezioro Balkasz...



Pojawia się sosna, zwiastun tajgi



Chluba Ałmaty, największy tor lodowy na świecie



Wjechałem do parku Narodowego Byrabaj



Kupa km stepem, kierunek Astana



Kazachska Szwjcaria





Asfalt też szwajcarski, tylko w Parku.



Ranek był bardzo ponury, zimno jak diabli. Wszystko zamrożnięte. Zaparkowałem przy jakiejś bazie transportowej na wszelki wypadek.



Szkrab do rosolu



Wjechałem do Rosji, Syberia przede mną. Zaskoczyła gwałtownym atakiem zimy. Jeszcze jadę w deszczu, pierwszym od m-ca. Za godzinę, śniegu będzie 10 cm, a miejscami zaspy do półmetra, na odsłoniętych odcinkach drogi

Był tu zreszta jedyny możliwy spadek na odcinku jakiś 5 m. Zmrożony Elwood po zrzuconiu nie chciał się stoczyć, ale po pchnięciu jakoś się udało. Odpalił bez problemu, ale za godzinę "zdechnie" podobnie jak w górach Tien Szan. Tym razem jednak pełen looz, cywilizacji na drodze dostatek



Złotych ust korale miłych gospodyń



I skończyło się tak. To ostatnie zdjęcie z autorem



Ten mikrus sprowokował mnie do akcji.



Już ubrani, jeszcze kilka figur tylko... Super się bawiłem. Na pierwszym planie Samir

Dzień trzydziesty szósty - 2008-09-29

Tuż po 6-stej budzi mnie wspomnienie wczorajszej zabawy. Zachodzę do hotelu, by pożegnać się z miłymi paniami i przy okazji zrobić sobie kawy na cały dzień.

Pogoda pod psem, do tego ruch jak na Marszałkowskiej a to oznacza, że będę miał problemy z odpaleniem. Zaparkowałem tak aby przeciąć ulicę i stoczyć się na podwórze, gdzie świętowałem z Kirgizami. Po półgodzinie stworzyła się mała luka, która pozwoliła mi zepchnąć Elwooda na ulicę i... ugrzązłem między małymi koleinami☺. Z pomocą pieszych szybko usunęliśmy auto z ulicy, gdzie zdążył utworzyć się już spory korek.

Uff, jadę do Tobolska. W Tiumeniu zaliczam jeszcze dworzec kolejowy, ale jest tak płasko, jak na kurzej kłacie, więc nie zaliczam kolei transsyberyjskiej i wydostaję się szybko z miasta.

Droga do Tobolska bardzo dobra, co mnie cieszy tylko pogoda coraz gorsza. Tobolsk wita mnie mgłą gęsta jak śmietana z Jaka. Widoczność spada do zera! Zawracam, na samym szukaniu placu do parkowania w tych warunkach zeszłoby z pół dnia! Jestem rozczarowany, powiedzieć, to mało. Miasto leży w zakolu Irtysza, który sprawcą zamieszania, do tego jest przenikliwie zimno. Odwrot! Nie będzie już więcej żadnych skoków w bok. Archipeląg Gułag zaliczymy osobną ekskursją.

Na nocleg stanąłem w okolicach Permu. Nigdy nie staję na stojankach, czyli płatnych parkingach gwarantujących bezpieczeństwo, tylko gdzieś tam "pa darogie" aby woda była i jakakolwiek górka...

Podeszło do mnie dwóch strażaków. Zajechali Żiguli i lukają na mapy na aucie, ja akurat oddaliłem się na moment za potrzebą, wracam i ich widzę. Pierwsze, co pomyślałem, że to ochrona, czy coś, ale to leśnicy byli. Strasznie im się podobała moja wyprawa. Z ogromną ciekawością wypytywali o wszystko, nawet zapisali sobie link do strony Varianta. Interesujące było jednak co innego, zaraz dołączyła do nich pięknej urody blondynka, pracująca w pobliskim barze. No taki cud z darem natury połączony.

- O rany, ty jesteś bohaterem! Jak ja ciebie strasznie podziwiam! Musisz być bardzo odważny!

Nabrałem tlenu w płuca i jadę:

- Odważny to ja byłbym gdybym zaprosił Ciebie na kolację!
- Ale to ja Ciebie zapraszam!
- No tak, tylko nie stać mnie już na kolację!
- No zapraszam przecież! A masz może jakieś zdjęcia z Afganistanu?
- Mam w aparacie, tylko tak możemy obejrzeć.

Następnie przez dobre 15 min cała trójka oglądała zdjęcia z wypiekami na twarzy... Ech, gdybym miał 20 lat mniej, znaczy się przed ślubem... Wpatrzona we mnie jak w obrazek, a ja... rezygnuję z kolacji!

Nie byłem głodny, rano tylko zaparzyła mi kapiatok i była jeszcze piękniejsza niż wieczorem...

Dzień trzydziesty siódmy - 2008-09-30

Teraz to już tylko kilometry zliczam. Mknę na zachód, kusiło mnie, co prawda miejsce pochówku Romanowów i cmentarz w Jekaterynburgu, będący niemym świadkiem skutku wojen toczonych przez miejscową mafię ale już mam ciąg do Polski, jak konie do wodopoju na stepie.

Za to staję w Iżewsku, chcę pstryknąć dla Was kilka fot w Muzeum Kałasznikowa. Nagle rzuca mi się w oko reklama klubu internetowego! To jedna z ostatnich okazji wysłać aktualne info do kraju i Wam przede wszystkim. Zajmuje mi to równo 6h! Koleś dwa razy blokował mi okno, bo nie wzbudzałem zaufania wyglądem:)) Po wyjściu nie było już czasu na nic, tylko korekta czasu w zegarze i w drogę.

Wieczorem docieram do Kazania i przed wjazdem do miasta parkuję przy bazie transportowej.

Dzień trzydziesty ósmy - 2008-10-01

Budzi mnie stróż z owej bazy i prosi abym lekko przedstawił auto, bo mogę blokować wyjeżdżające gruzawiki. Jest ciepło, 8st, zgrzałem się pod kocem nieźle. Przy okazji ucinamy sobie krótką pogawędkę na temat skąd, po co i dlaczego. Poleca mi szybszy wjazd do miasta z powodu narastających z każdą chwilą korków, jest też możliwość zatankować po 15 rubli paliwo z czyjegoś baku, zostały mi jednak dolary a rubli niet. Gdybym wiedział, że wleję za całość, znaczy się za 100\$ bo drobniejszych nie miałem w ogóle bym się nie zastanawiał. Później okazało się, że bym mógł, co pozwoliłoby zaoszczędzić około 80zł... piechotą nie chodzą.

Jeszcze przed Permem przekroczyłem granicę Azji z Europą ale ponieważ jadę starym syberyjskim traktem, nie zaliczam znanego większości komercyjnego punktu.

Sam Kazań rankiem nie jest szczególnie interesujący, temperatura szybko rośnie i po 10-tej osiąga już 15 st. Wymieniam walutę, zaliczam spacer po kremlu, który jest imponujący. Miał kniaź po czym deptać. Nocą otwiera się nań piękna panorama u zbiegu Wołgi i Kazanki. Zresztą Wołga a zwłaszcza jej rozlewiska towarzyszą mi przez wiele km, jest tak ogromna miejscami...

Droga już nie tak monotonna, przecinam Ural, łagodne hopki. Jestem w Tatarstanie, mijam charakterystyczne drewniane domki, cerkwie i mini platformy, bo republika ta oczeń zasobna w ropę. Zmieniają się też odcienie tajgi, tu jeszcze brzozy zielone, na Syberii pożółkłe, miejscami straszyły już nagimi witkami.

Dzień bez historii, wieczorem docieram do Włodzimierza. Parkuję przed hotelem znanym mi z poprzednich wojaży. Cena pokoju jednak zabija. Jeszcze w zeszłym roku była dostępna kwartirka za 470 rubli, dzisiaj ta sama za 800... nie będzie więc obowiązkowej rejestracji, poradziłem sobie z tyloma problemami, że i ten zdaję Opatrzności. Jakoś to będzie...

Do snu w Siuzdalu próbuje mnie ukołysać deszcz, towarzyszący mi od południa. Smutno tak jakoś...

Dzień trzydziesty dziewiąty - 2008-10-02

W Siuzdalu próbowałem cofnąć się w czasie, ale padający deszcz zmywał równie szybko nastrój minionych epok. Poszwendalem się trochę wśród monastyrów i izb, mając nadzieję, na chwilowe przejaśnienie... nadzieje płonnymi się okazały...

Poza faktem, że korek przed Moskwa miał około 100km długości nic wartego zapisu nie miało już miejsca. Mijając Toyota Centr Izmailowo wróciłem za to pamięcią do wydarzeń sprzed roku i pozwolę sobie, celem urozmaicenia relacji pamięć tą i Wam odświeżyć, zapisem z dziennika wyprawowego:

Na tydzień przed wyjazdem odwiedził mnie Konrad Dobrzyński, który na MW 750 dojechał na Syberię/Bajkał by po roku jeszcze stamtąd wrócić, ostrzegał mnie przed obwodnicą moskiewską i kolegach w furach z przyciemnionymi szybami śmigającymi bocznym pasem bez poszanowania prawideł ruchu. A zwłaszcza w kryzysowej sytuacji aby z nimi Broń Cie Panie Boże nie wchodzić w żadne dysputy.

Nie pomny ostrzeżeń aby też nie wbijać się w Moskwę tylko objeżdżać ja szerokim łukiem przegapiłem ten pierwszy balszokrug. Cóż jechałem wieczorem, lalo okrutnie, korek na 100km od centrum, słynny koniec weekendu, niedziela. Wszyscy wracają z dacz do miasta. Właśnie tego doświadczyłem :D

Posuwam się w korku powolutku i patrzę na te towarzystwo co śmiga pasem awaryjnym olewając całą resztę. Średnia no nie więcej niż 5km/h, pomyślałem o uwagach Konrada... jak pomyślałem tak, skręcam w prawo, przeciskam się do pasa awaryjnego i rura za kołami. Kątem oka widzę, że wzdłuż pasa awaryjnego ciągnie się pas ziemi ograniczony z boku słupami i setkami aut parkującymi w oczekiwaniu na zluźnienie korka lub po prostu odpoczywającymi. A niech tam! To ostatni OR na tej wyprawie... walę na pobocze i w pędzel, auta po pasie awaryjnym jada gdzieś 30-40km/h, ja jadę 60-70km. Miejsca mam tyle, co w Pamirze w najwęższych odcinkach, ale skoro tam szafnąłem to tu chyba też dam radę. Pobocze zryte przez ciężarówki, parkujące auta zatopione po osie w błocie a ja tnę jak kozak. Błoto wali spod kół, ale to tylko mnie jeszcze bardziej podnieca, Polacy też mają fantazje. Szybko doganiam czarnego Lexusa, kiedy się z nim zrównuje wpadam w ogromną kałużę i potężny bryzg błota i moskiewskiego brudu ląduje na szybach i masce gościa. Reakcja jest taka, że kolega z Lexusa skręca i goni za mną. Powoduje to reakcję lawinową, widzę w lusterku, że co rusz ktoś idzie naszym śladem. Najgorsze, że przed nami też widzą, że otwiera się szansa i po kilkunastu minutach jedziemy wszyscy na 5-ciu pasach ruchu☺

Ale walnąłem tak ze 20km. Prędkość znośna, stabilizuje się na poziomie 40km/h, jest ok, do momentu, kiedy rzucam okiem na deskę i wskaźniki... ten od temp zbliżył się do czerwonego pola!

No kuźwa, zachciało mi się OR... czuje dodatkowo temperaturę na twarzy. Szukam gorączkowo miejsca do zatrzymania no i staję na poście DPC/GAI. Deszcz leje, otwieram klapę i ruszam korek od chłodnicy. Byłem za mało delikatny i wyjechał z hukiem uderzając o klapę, na szczęście szybko go znajduje i badam dalej temat. Folia i nura pod Elwooda, po chwili jest sprawca. Przetarł się przewód od gorącej wody, nie był przytwierdzony jak należy i sobie tarł się i tarł... aż się przetarł. Ulga ale teraz do roboty. Nie mogę sobie jednak poradzić, dolewam więc płynu i ruszam w poszukiwaniu stacji paliw, tam pod zadaszeniem zdiełam co trzeba. Stacja jest nieopodal ale zadaszenia wystarcza na klapę silnika, deszcz tak napierdala, że rezygnuję na dzisiaj. Jest już 1-wsza w nocy, ciekawe co rano przyniesie.

Wstaje o 7-mej, wygania mnie potrzeba, daję upust fizjologii i co widzę? Przeogromne centrum Forda, rozglądam się dalej i ??... Toyota Centr Izmailowo! Jestem w domu. No nie ma siły, żeby mi w Toyocie nie pomogli, trochę ubarwię i przyjmą mnie jak bohatera. Centrum jest ogromne, takie mniejsze Tesco.

Tuż po 8-mej pcham wrota, tak wrota, nie jakieś tam drzwiczki. Wchodzę do ogromnej hali, wystrój trochę mąci kilka wiader rozpaczliwie wylapujących wodospad wody lejący się ze szklanego dachu. Ale nic to myślę, takie rzeczy się zdarzają. Pytam panie w konsoli centralnej gdzie serwis. Grzecznie mi wskazują odpowiednie stanowiska. W tym momencie zdaję sobie sprawę, że wyglądam zajebiście, cały upierdzielony w błocie i smarach. Rano dokonałem niezbędnej ablucji twarzy i jamy ustnej, ale zapomniałem o reszcie. Może to i lepiej, będę bardziej przekonujący jako podróżnik co to mega km zaliczył na swojej maszynie. Walę prosto do sympatycznego rudzielca. Przedstawiam kto i zacz, ściemniam, że za mną 30000km no, że Koperski to małe piwo i że problem taki a taki i czy da się mi pomóc, bo z kasą krucho.

- Oczywiście, podejdzie pan do stanowiska nr 2 tam udzielą panu wszelkiej pomocy, powodzenia!

Smaruję do rzeczzonego stanowiska, w skrócie melduje co u Rudego i odpowiedź:

- Oczywiście, że pomożemy. 1900 rubli rbh...

Hm, przepraszam bardzo ale nie zrozumiał mnie pan. Kasy nie mam a potrzebuje tylko kawałek suchego stanowiska i sam dam rade.

- Niestety, u nas za wszystko trzeba płacić.

Ok, więc poproszę z pana przełożonym. Po chwili zjawia się grzeczny przełożony. Kawa na ławę, a on, że oczywiście, nie sprawy. Pomożemy!... 1900 rubli rbh.

No to dowidzenia, idę do Forda.

- Bardzo proszę.

Jestem deczko zde gustowany, ale to nie prowincja, tylko stolica i czego możesz oczekiwać w miejscu, gdzie przeciętny właściciel Toyoty musi zostawić co najmniej klocka by cokolwiek wymienić.

Z mniejszym sporo zapałem śmigam do Forda i tu mile zaskoczenie. Żywo zainteresowani autentycznie próbują pomoc. Problem w tym, że kategorycznie nie wolno im obsługiwać obcych marek. Szef serwisu jednak przynosi mi taśmę uszczelniającą Wurtha (na kij mi ona), ale przynajmniej wykonał cały szereg pozytywnych gestów, proponuje kawę i gratuje wyprawy. Informuje mnie, że 500m dalej jest najazd bezpłatny na którym powinienem sobie poradzić z problemem. Jestem usatysfakcjonowany, w końcu tego właśnie oczekiwałem.

Niestety rzeczony najazd był ale wjazd nań był niemożliwy ponieważ teren na którym się znajdował akurat został wystawiony do sprzedaży i dwa dni temu ogrodzony. No jeb... was faszystowski pies. Rozglądam się po placu i widzę parkujących Żiguli milicjantów.

Panowie, gdzie tu mogę sobie dokonać malej naprawy?

- Tu jest hangar, tam zdiełasz wsio.

Ów hangar był zamknięty ale dorwałem jakiegoś stróża, który stwierdził, że szef ustrojstwa przychodzi o 10-tej i na bank jest tam podnośnik. Lukam na czas moskiewski i mam 8.45. Więc zaparzam kawę, szykuje śniadanko i uzupełniam zapisy w dzienniku podróży. Gdy kończę bije na 10-ta. Witam się z szefem wszystkich szefów i dostaje krotko odpowiedz. Oglądanie 200 rubli a co dalej, zobaczymy. No kuźwa Nikoś Dyzma w rzeczy samej ale nie mam siły walczyć... niech dłubią. Diagnoza potwierdzona, demontaż trochę trwał tak więc usprawiedliwiłem brak walki tym bardziej, że deszcz walił na zewnątrz w najlepsze. Żywica na zimno i montaż. Idę do bosa, proszę o ludzki wymiar kary. Po raz pierwszy się uśmiecha i wystawia szciot na 700 rubli. Daje ostatnie 50\$, wymienia mi po korzystnym kursie i ma mnie... w dupie. Przy okazji naoglądałem się wszelkiej maści silników d4d Toyoty, chłopaki robią wszystko a celują w Toyotach właśnie. Do mojej jednak niestety nic nie mają. U nas takich staruszków niet, dostaje krótką i rzeczową odpowiedź.

Wsiadam do Elwooda, klepię go pieszczotliwie po desce. Ty Przyjacielu jesteś ze mną na dobre i na złe. W Pamirze zaniedbałem Ciebie strasznie a Ty mnie jeszcze z luźnym kołem 150km po wyje bach dowiozłeś na miejsce spoczynku. W takich chwilach, kiedy jesteś sam i nie masz z kim pogadać, rozmawiasz z maszyną jak z psem. Elwood okazał

się wiernym kundlem ale w jak najbardziej pozytywnym wydaniu. Kundel, bo sprawiłem mu miedziana instalację hamulcową, która zawiodła. Na szczęście trzy razy zawodziła na płaskim tylko, że tuż po karkołomnych zjazdach. Myślę, że prowadził mnie dobry duch. W Garczaszma, ojciec nauczyciela matematyki, który nas gościł, dwa razy odprawił za nas tradycyjną modlitwę na szczęście w podróży. W Kirgistanie, w trakcie święta narodowego, miejscowa pieśniaczka zaśpiewała dla nas przepięknie ludową pieśń w intencji szczęśliwego dotarcia do domu. Ponieważ wpadłem jej w oko, zgodnie z tradycją byłem zobowiązany zaśpiewać coś dla niej. Wiec zaintonowałem... W stepie szerokim☺. W życiu takich braw nie dostałem, a gdy uzasadniłem o kim ta pieśń, to zachwył uczestników biesiady sięgnął zenitu...

Pokonując samotnie Syberię w pewnym momencie zboczyłem z głównej drogi, całkiem przypadkowo i pojechałem na Kazań mniej uczęszczaną odnoga. Po drodze zabrałem autostopowicza, który okazał się nauczycielem historii (jakieś szczęście do tych nauczycieli na wyprawie). Zmierzaliśmy w kierunku Iżewska. Na pytanie, czy wiem z czego słynie to miasto, wyraziłem tylko ubolewanie z niewiedzy.

- W tym mieście żyje konstruktor najlepszej broni automatycznej świata... Pan Kałasznikow. Zostałem zaproszony do muzeum. Co prawda nie przepadam za militariami, ale razem zgodnie stwierdziliśmy, że gdyby mieszkał na zachodzie, byłby dzisiaj milionerem. Tak czy owak, darzony jest tutaj ogromnym szacunkiem, rok temu odwiedził go Putin... Mikołaj szczerze mnie podziwia, też ma duszę putieszestwiennika. Siłą zaciąga mnie do czegoś w rodzaju miejscowej Desy i kupuje dla mnie podarek. Dzwoneczki ręcznie zrobione w glinie, które mają mnie chronić przed złymi duchami. Kosztują 150 rubli (15zł,) ale dla niego to spory wydatek. Niczym nie mogę się zrewanżować, bo już nic nie mam. Jedziemy do jego znajomego nauczyciela mechaniki, który dorabia jako ochroniarz na zawodzie. Na stróżówce pijemy herbatę. Od Siergieja dostaje na drogę siatkę jabłek z własnego ogródka. mają dla mnie jakiś szczególny wymiar. Dał to, co miał, po prostu. Mikołaj patrząc jak przy okazji robie porządek w szpeju, wywalając wsio z maszyny, zwraca uwagę na śpiwór. Pyta o dane, więc mówię, że ten akurat ma komfort cieplny do -15st. Odpowiada, że ma podobny Campusa i bardzo chwali polska markę. Ma jeszcze kubek termiczny, ale zbiera na termos. Jeszcze nie wie, ale wyślę mu porządny na gwiazdkę... Ściskamy się serdecznie na pożegnanie, wymieniamy adresami... który to już raz na tej wyprawie...

Moskwę opuszczam bez żalu, nie tęskno mi za takimi aglomeracjami. Tęsknię za tymi noclegami we wsiach, gdzie szacunek dla gościa leczy Ciebie z każdej manii, zwłaszcza tej wielkiej. Brak mi tych spontanicznych noclegów, ot stajesz i namiot, albo pod chmurką.

W Tadżykistanie jeden post przekraczaliśmy trzy razy. Już za drugim razem nas rozpoznano i zaproszono na kolację. To był podły płow ale to było wszystko na co było ich stać. Warunki służby nie do opisanja, teraz latem ok., ale zimą?? Kiedy temp spada do -30st?... Jeżeli znajdziesz w Polsce opuszczony dom, ograbiony ze wszystkiego, z wybitymi szybami, to przybij tam szyld: Post Służby Granicznej, postaw trzech ludzi... Ostatecznie śpimy razem z nimi. Po trzeciej wizycie traktują nas, jak swoich. Nikt nie sprawdza dokumentów, nie podnoszą szlabanu tylko dlatego, aby jeszcze z nami pogadać chwilę i się pożegnać. Jadąc na południe Pamiru dostajemy tyle namiarów na istoczniki, czyli źródła, że mogę spokojnie służyć za przewodnika. Notabene konsultując w Duszanbe z przedstawicielką największego biura turystycznego ich program, bez żadnej fałszywej skromności mogę stwierdzić, że nasz o niebo przerasta ofertę każdego biura. Za Koziółkiem Matołkiem, to com widział i com przeżył, żadne biuro Wam nie powie☺.

Do granicy dojechałem nocą, to szósta doba na terenie Imperium i trzy dni na obowiązkową rejestrację... a może nie? Może zakony zmieniły się? Pażywiom, uwidzim. Przynajmniej ciut adrenaliny jeszcze we mnie.

Granica rosyjska bez historii, nie ma kolejki, więc odprawa leci migiem. Celnik trzyma mnie jeszcze 15 min, bo jego kolega takimi oponami jak moje jest bardzo zaineresowany i wypytuje co i jak.

W portfelu zostało mi 500 rubli, w baku około 100l i kanistrach łącznie 50l ropy. Za nim więc podjadę na łotewską granicę idę zaszaleć w sklepie diuti fri. Litr Jelcyna i karton fajek, wychodzi 499 rubli.

Wjeżdżam do Łotwy, oczywiście ten dumny posterunek na karteczki i dopiero potem reszta obsługi.

Kiedy widzę tę blondynkę, uśmiecham się do siebie. Spotykamy się już trzeci raz i zawsze w tych samych okolicznościach. Ja ją pamiętam dobrze, ona mnie chyba jeszcze lepiej...

- Wyłączyć silnik!
- Nie mogę.
- Dlaczego?!
- Bo starter nie rabotajet.
- Przyjechał iii... od razu starter nie rabotajet?!

Mam niezły ubaw, kobita chce koniecznie pokazać, kto tu rządzi a ja już tutaj, mam wszystko w d...

- Prawo jazdy!
- Proszę. I wręczam międzynarodową książkę.
- A ten mały kartonik?!

- A proszę.

Blondyna tarmosi kartonik, przewraca...

- Proszę otworzyć auto!

Zagląda do przodu...

- Teraz klapę!
- Nie mogę.
- Dlaczego?!
- Bo zepsuta.

Znaczy się mógłbym ale nie chce mi się jej podtrzymywać bo teleskopy faktycznie nie trzymają.

- Skąd jedziecie?!
- Z Afganistanu.
- Aaaa, to pewnie narkotyki, broń?!
- Na granicy tadżycko-kirgiskiej jest taki mały piesek, który pracuję dużo lepiej od was.

Cisza...

- Ujeżdżajcie!

Jeszcze przed północą kieruję się na Davgapils, jadę ostrożnie, w portfelu mam tylko 20zł polskich i nie stać mnie już na nic kompletnie.

Staje tuż przed granicą z Litwą, przy głównej drodze i szybko zasypiam.

Dzień czterdziesty - 2008-10-03

... OSTATNI

Wstaję przed wschodem słońca, to skutek jazdy na zachód. To co było 8-mą rano 3000km na Syberii, tu bije na czwartą.

To dobrze, zaraz za granicą z Litwą, której już formalnie nie ma, zjeżdżam w prawo nad widoczne z drogi jezioro. Kończyłem tam ostatnią wyprawę, skończę i tą.

Pogoda dopisuje, jest czyste niebo, wschodzące słońce szybko rozgrzewa. Rozbijam biwak, wyciągam kabanosy, to ostatni posiłek w wyprawowym, pełnym trybie. Krupnik z dodatkiem makaronu, to mi smakuje „wiecznie”. To też czas na ostatnie porządki, więc piorę ale przede wszystkim myję się gruntownie, bo ostatnio okazji specjalnie nie było. Po praniu dłonie czyściutki.

Paraduję w samych spodniach, w pewnym momencie dostrzegam kobietę prowadzącą dziecko, chyba do szkoły. Oboje przyglądają mi się ja specjalnie nie zwracam na nich uwagi, robię swoje, pakuję się. Już wiem czemu mi się tak przyglądają, sami opatuleni, szale na szyi a ja prawie goły. Pakując bambetle do Elwooda lukam na wskaźnik temperatury zewnętrznej, pokazuje 4 stopnie...

W zeszłym roku celebrowałem ten popas długo, teraz jakaś siła wewnętrzna każe mi się szybko zwijać. Jestem jej posłuszny. Wyjadę dużo wcześniej więc trasę modyfikuję o Wilno i Troki, taka mała sentymentalna podróż w przeszłość.

W Wilnie z powodu licznych korków i ścisku nie mogę odpowiednio zaparkować więc nic nie mogę zobaczyć. Potem kluczę jak ślepy by dotrzeć do Troków. Mamy piątek, mijam więc kilka ślubnych par udających się na tradycyjny spacer do Pałacu Tyszkiewiczów.

Gdzieś za Alytusem łapie pierwszą polską stację radiową i słucham w normalnym języku wieści z kraju ze świata. Na wyprawie jest to dla mnie temat obcy, nawet wchodząc do Internetu nic nie czytam, choć przyznam, że kusiło mnie poznać wynik Kubicy z Singapuru w Łżewsku bardzo.

Bankructwo Islandii... rany Julek, co to się porobiło...

Tuż za granicą Polski oddzwaniem do syna, który próbował mnie łapać wcześniej. Ze słuchawki dociera do mnie.

- Tato, już jesteś w Polsce?!

-

Łzy napływają mi do oczu, łzy radości...



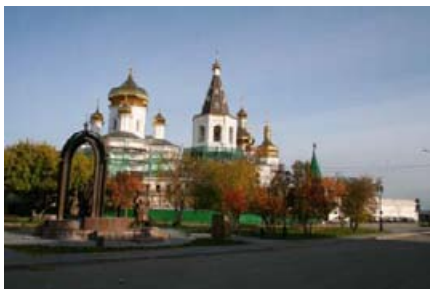
Troicka cerkiew w Tiumentiu. Kopuły
szczerem złotem kryte



Tiument, jak wiele miast
syberyjskich i tu fundament to
wieczna zmarzlina. Stąd
zapadające się z czasem domy



Baszkiria

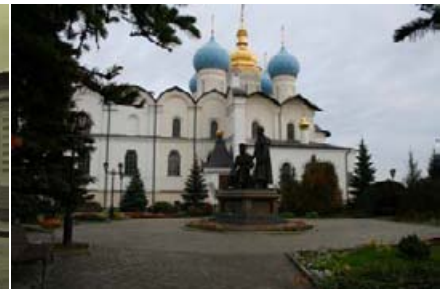


Tatarstan szybami stoi. W tle
płonący szyb



Ural

Od ostatniej fotki minęło 1000km



A tak było przed wojną



Przed kremlu Muzeum Tatarstanu



W tle Wołga

Kazań



Między Kazaniem a Moskwą



W tle Kazanka

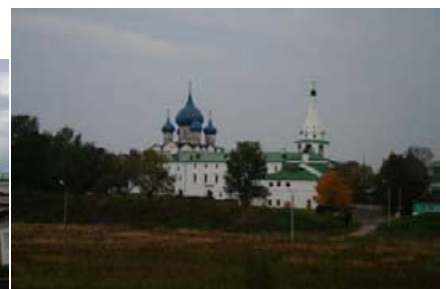
Kreml w Kazaniu



Spacer po kremlu



Jeszcze raz kremlowski prospekt



Siuzdal, architektoniczna perełka carskiego siola



Toyota Centr Izmailowo,
wspomnień czar



Tam już tylko wspomnienia



Centrum Forda, wspomnień czar

Do granicy z Łotwą z jakieś 100km



Obwodnica moskiewska

Ostatni dzień wyprawy, o
wschodzie słońca przekraczam
granicę z Litwą

Wjazd do Moskwy



Czwarty i piąty pas ruchu

M9, najgorzej jeżdżą TIRy z Łotwy i
Litwy. To głównie one parkują w ten
sposób

Zaparkowałem "z górki" i
wpatraszam Elwoda



Ostatni biwak



Państwo Młodzi udadzą się teraz do...



Po 40 dniach widzę ponownie znaczek PL



Ostatnia stawa w kazanie



... leżącego po drugiej stronie jeziora pałacu Tyszkiewiczów (czy Tyszkiewiczusów), taka tradycja



Już tak blisko...



Troki



Okolice Troków



16 763km, 17.00, 2008-10-03